

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH „WSCHÓD-ZACHÓD”
KOLEGIUM LITERATUROZNAWSTWA
WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU
KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICKIEGO
MIASTO ZABŁUDÓW

Jan Leończuk

Poezje
zebrane

TOM I:
1970–1997

SERIA NAUKOWA „PISARZE PODLASIA I KRESÓW”
– TOMY I I II

Wydawca: Temida 2

Przy współpracy i wsparciu finansowym Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku

Redaktor Naukowy Wydawnictwa Temida 2: Eugeniusz Ruśkowski

Rada Naukowa Wydawnictwa Temida 2:

Przewodniczący Rady Naukowej Wydawnictwa Temida 2: Rafał Dowgier

Członkowie z Uniwersytetu w Białymstoku: Stanisław Bożyk, Leonard Etel, Ewa M. Guzik-Makaruk, Adam Jamróz, Dariusz Kijowski, Cezary Kosikowski, Cezary Kulesza, Jarosław Ławski, Agnieszka Malarewicz-Jakubów, Maciej Perkowski, Stanisław Prutis, Eugeniusz Ruśkowski, Walerian Sanetra, Joanna Sieńczyło-Chlabicz, Ryszard Skarzyński, Halina Świączkowska, Jarosław Volkonovski, Mieczysława Zdanowicz

Członkowie z Polski: Marian Filar (Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu), Edward Gniewek (Uniwersytet Wrocławski), Lech Paprzycki (Sąd Najwyższy)

Członkowie zagraniczni: Lidia Abramczyk (Państwowy Uniwersytet im. Janki Kupały w Grodnie, Białoruś), Vladimir Babčák (Uniwersytet w Koszycach, Słowacja), Renata Almeida da Costa (Uniwersytet La Salle, Brazylia), Chris Eskridge (Uniwersytet w Nebrasce, USA), José Luis Iriarte Ángel (Uniwersytet Navarra, Hiszpania), Marina Karasjewa (Uniwersytet w Woroneżu, Rosja), Bernhard Kitous (Uniwersytet w Rennes, Francja), Martin Krygier (Uniwersytet w Nowej Południowej Walii, Australia), Petr Mrkyvka (Uniwersytet Masaryka, Czechy), Marcel Alexander Niggli (Uniwersytet we Fryburgu, Szwajcaria), Andrej A. Novikov (Państwowy Uniwersytet w Sankt Petersburgu, Rosja), Sławomir Redo (Uniwersytet Wiedeński, Austria), Rościśław Radyszewski (Uniwersytet im. Tarasa Szewczenki w Kijowie, Ukraina), Bernd Schünemann (Uniwersytet w Monachium, Niemcy), Sebastiano Tafaro (Uniwersytet w Bari, Włochy), Wiktor Trinczuk (Kijowski Narodowy Handlowo-Ekonomiczny Uniwersytet, Ukraina)

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem – bez pisemnej zgody Wydziału Filologicznego UwB i wydawcy.



Temida2

Wydawnictwo Stowarzyszenia Absolwentów Wydziału Prawa

Uniwersytetu w Białymstoku

ul. Mickiewicza 1, 15-213 Białystok

tel. 85 745 71 68, fax 85 740 60 89

e-mail: temida2@uwb.edu.pl <http://temida2.uwb.edu.pl>

Jan Leończuk

Poezje zebrane

TOM I:
1970–1997

Wstęp

Jarosław Ławski

Redakcja naukowa

Jarosław Ławski i Dariusz Kulesza

Współpraca redakcyjna

Marek Olesiewicz

Białystok 2020

Recenzenci: prof. dr hab. Zbigniew Chojnowski (UWM, Olsztyn)
dr hab. Anna Szawerna-Dyrzka, prof. UŚ (Katowice)

Redakcja: Jarosław Ławski, Dariusz Kulesza

Współpraca redakcyjna: Marek Olesiewicz

Wstęp: Jarosław Ławski

Skład, opracowanie graficzne: Ewa Frymus-Dąbrowska (Wydawnictwo PRYMAT)

Korekta: Zespół

Projekt okładki: Hubert Pilicki

Kwerenda: Michał Siedlecki

Opracowanie tekstów: Łukasz Zabielski



©Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2020

©Copyright by Jan Leończuk, Białystok 2020

Publikacja dofinansowana ze środków Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku oraz Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.



Publikacja wsparta dotacją Urzędu Miejskiego w Zabłudowie.

ISBN 978-83-65696-52-6

Druk: PRYMAT, Mariusz Śliwowski
ul. Hetmańska 42, 15-727 Białystok
tel. 602 766 304, 881 766 304,
e-mail: prymat@biasoft.net



Steenak

KOMITET NAUKOWY
EDYCJI *POEZJI ZEBRANYCH* JANA LEOŃCZUKA

Józef Zenon Budziński – Grajewo

Dr Grażyna Dawidowicz – Białystok

Ireneusz Dawidowicz – Białystok

Dyr. Jolanta Gadek – Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego

Dr hab. Anna Janicka, prof. UwB – Uniwersytet w Białymstoku

Dr Krzysztof Korotkich – Uniwersytet w Białymstoku

Prof. Dariusz Kulesza – Uniwersytet w Białymstoku

Prof. Jarosław Ławski – Uniwersytet w Białymstoku – *Przewodniczący*

Mgr Marek Olesiewicz – Uniwersytet w Białymstoku, Knyszyn

Mariusz Śliwowski – Białystok

Anna Worowska – Białystok

Dr Łukasz Zabielski – Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego

Od Redakcji

Jan Leończuk należy do tych poetów polskich, którzy swój los powierzyli przyszłości. Po niemałym rozgłosie, jaki towarzyszył jego tomikom w latach 70. i 80. XX wieku, poeta wycofał się z tej sfery, którą nazywamy życiem literackim, profesją literata, promującego swą twórczość, zabiegającego o głosy krytyki. Jego twórczość można nazwać najwybitniejszym, osobnym i oryginalnym dokonaniem liryki polskiej na północno-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej w nowych, pojałtańskich granicach. Od lat 70. XX wieku – prócz Wiesława Kazaneckiego – nikt aż do początku XXI stulecia nie wybrzmiał tak pełnym, wybitnym głosem liryka na Podlasiu.

To przypisanie Leończuka do miejsca ma nieprzecenione znaczenie, bo jest to poeta ze świata zawieszonego między katolickim krzyżem a bluźnierstwem buntu, między niezgodą a pokajaniem, tradycją a nowoczesnością, katolicyzmem a religiami europejskiego Wschodu, obrazem a ikoną. Ale nie powinno ono ani na jotę przesłaniać faktu, że to poeta o znaczeniu ogólnokulturowym, uniwersalnym, mający swój język, idiolekt, własne tematy, symbole, obsesje i tęsknoty. Własną jaźń liryka i umysł intelektualisty-erudyty.

Analizując *Żalnik* (1979), Elżbieta Feliksiak przenikliwie wydobyła te ponadregionalne, nie-miejscowe cechy uniwersalnej liryki Leończuka: „Przed nadmiarem ekspresyjności chroni poezję Leończuka właśnie jej głębokie zakorzenienie w micie. Doświadczenie indywidualne, ból osobowego istnienia wypowiada się w *Żalniku* nie inaczej niż przez to, co wspólne – wspólne z drugim człowiekiem, z tradycją zbiorowości, a także z całością natury, kosmosem. Bycie w świecie jest tu podstawowym źródłem doświadczenia poetyckiego” („Lite-

ratura” 1980, nr 2). To samo chciałoby się powiedzieć o fazie późnej twórczości poety – oszczędnej, lubującej się w ekfrazach, mało znanej i nieupublicznianej szeroko przez samego autora. Lektura całości tego Dzieła każe myśleć, iż jest to istotne w ogóle dokonanie w skali poezji polskiej. Owszem, ma miejsca lepsze i gorsze. Tworzy jednak oryginalne sploty tematów i poetyk, niemające precedensu w liryce drugiej połowy XX wieku, choć ich pobratymstwa poetyckiego na różnych poziomach można szukać u młodego Miłosza, Czechowicza, Iwaszkiewicza, Stachury, Różewicza, Herberta.

Edycja *Poezji zebranych* ma dać czytelnikowi – każdemu czytelnikowi: miłośnikowi poezji, nade wszystko uczonemu i studentowi – możliwość prześledzenia możliwie najpełniej w tym zbiorze oddanej drogi Jana z Łubnik, z Zabłudowa i Białegostoku. Całej – nie znaczy pełnej. Tom przynosi wszystkie wiersze zebrane w tomach, teksty poetyckie lub liryczne komentarze do zdjęć, rzeźb, obrazów i rysunków, ale też sporą garść liryków odnalezionych w zapomnianych dziś czasopismach regionalnych. Nie są to wszak *opera omnia*. Niewątpliwie nie dotarliśmy do wszystkich wierszy rozproszonych, ale też nie udało się namówić poety do przejrzenia jego przepastnych szuflad i szaf z rękopisami liryki, listami, prozą. Czy teksty te zostaną przywrócone nauce o literaturze, wydobyte na jaw nawet „późnym wnukom”, którzy więcej zechcą zrozumieć, to czas pokaże. Całość ta, oczywiście, nie obejmuje prozy Jana Leończuka, którego siedem części *Zapisków* powinno być zebranych w jednym tomie i wydanych krytycznie. Te początkowo felietony radiowe to zastanawiająca synteza publicystyki i poematu prozą, ewokacja poetyckiej wizji świata, konstytutywnego elementu osobowości Leończuka.

Habent sua fata libelli! Wydania tej książki nie doczekał śp. Marek Olesiewicz, regionalista i badacz, który dokonał wstępnego składu tej ogromnej, tysiącstronicowej spuścizny, a wcześniej zgromadził pokaźną część dorobku pisarza, którym miał ambicje zajmować się naukowo. Zginął tragicznie w roku 2017, pozostawiając pamięć o swym zaangażowaniu w utrwalenie dokonań łubnickiego liryka. Jakby tego było nie dość, choroba uniemożliwiła Janowi Leończukowi zaangażowanie się w prace nad tomem, przed czym się zresztą taktownie wzbraniał, podkreślając, iż jeśli już coś podobnego ma powstać, to powinno to być dzieło samych uczonych i edytorów.

Dlatego wyrazy wdzięczności składamy Małżonce Poety, Barbarze, która zebrała i udostępniła nam publikowany dorobek męża. Podziękowania serdeczne zechcą przyjąć osoby zaangażowane od początku w ten projekt – znakomity fotograf, pani Anna Worowska, która udostępniła wszystkie swoje i nie-swoje

zdjęcia na potrzeby edycji; dyrektor Jolanta Gadek z Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego – od początku wspierająca ideę naukowej edycji liryki Leończuka; poeta Józef Zenon Budziński – który użyczył nam materiałów z domowego archiwum i entuzjastycznie wsparł edycję; edytor Mariusz Śliwowski – przyjaciel Poety i wieloletni jego wydawca; prof. Dariusz Kulesza – który zasilił naukowo tę publikację wstępem, wydobywając jej, Muzy poetyckiej Leończuka, oryginalny, wschodni charakter. Bez wsparcia tych a nie innych osób ta wielka Leończukowa Księga Liryki nie powstałaby nigdy.

Jakkolwiek spojrzeć na poezję Jana Leończuka, jawi się ona jako zjawisko wybitne i arcyosobne. Wprawia w podziw, ewokuje melancholię, bywa, że irytuje, zadziwia wschodnioeuropejską nutą inności, odrębności. Bliżej jej do idealnego, wyobrazonego jako eschaton, świata Wielkiego Księstwa Litewskiego, niż do koroniarских włości warszawskiej i krakowskiej odnogi poezji polskiej. A jednocześnie, podkreślę raz jeszcze, jest to poezja o uniwersalnej wymowie: mówiąca o cierpieniu, osobności, samotności, lecz i o pięknie, które być może na co dzień nie koi bólu, ale w końcu czasów zbawi, „utuli” świat i Poetę.

Jarosław Ławski

Elk, 21 października 2018 roku



Jarosław Ławski
Katedra Badań Filologicznych
„Wschód – Zachód”
Uniwersytet w Białymstoku

Jan Leończuk

– nowoczesny poeta europejskiego Wschodu

Wszystko, co może Pan pomyśleć w związku ze swoim dzieciństwem, jest dobre. Wszystko, co czyni z Pana coś więcej niż to, czym był Pan dotąd w swoich najlepszych godzinach, jest słuszne.

Rainer Maria Rilke, *Listy do młodego poety*¹

Wyjście z mitu

Jan Leończuk to w moim odbiorze poeta uniwersalny. Nie będąc ze Wschodu (ale przesiąknięty nim...), patrzę na lirykę Leończuka z dystansu Północy: zimnej, chłodnej, racjonalnej. Zbyt krótko znam Poetę, by mu w pełni wierzyć, zbyt długo jednak, by nie przejąć się jego opowieścią. Ale – z empatycznym dystansem!

Janowi Leończukowi przytrafiło się w dziejach XX-wiecznej poezji polskiej to, co wielu przed nim – stygmatyzacja, przypisanie, etykietyzacja. Oczywiście, bez złych intencji. Wczesną fazę badań nad poetą, każdym poetą, charakteryzuje zawsze szukanie uniwersalnych wrót do dzieła – biograficznych, estetycznych, ideowych albo, co najczęściej, kluczy umocowanych w kategorii wpływu.

¹ R. M. Rilke, *Listy do młodego poety*, przeł. J. Nowotniak, Izabelin 1996, s. 70.

Liryk jest wtedy „kontynuatorem”, „naśladowcą” tej czy innej poetyki, tego czy innego poety. Od razu powiem: przed tym drugim kluczem – „wpływu”, „naśladowania” i „kontynuacji” – Leończuka bronić nie trzeba. Jego talent naturalny, liryczny, rzekłbym talent liryczny aż do bólu, jawi się jako coś przedustanowionego, danego mu z góry². Jako dar. Powtórzmy raz jeszcze: „poeta z Bożej Łaski”.

Ale tu właśnie otwiera się pole licznych uproszczeń i nadużyć krytycznoliterackich harcówników. Pole metamorfoz – „dzieła” w „mit”. Poeta z Bożej Łaski to przecież, jak to odczuwam, poeta pełny, naturalny, ale mało świadomy tego, co pisze. Niepanujący nad słowem, niepracujący nad formą, niepogłębiający intelektualnie swej poezji. Sugestie takie nie mogą odnosić się do Jana Leończuka – nie spotkałem większego erudyty i zarazem poety częściej niż on rozmyślającego nad formą i istotą poezji. Lecz sugestia przyłgnęła do pisarza. Sugestia nie tyle naturalności talentu, ile jego swoistego „naturszczykostwa”. Nie ma ona wprost nic z prawdą wspólnego.

Wszakże mity, mitobiografie nie biorą się znikąd. W tym miejscu muszę przywołać fragment jego biogramu, fragment konstytutywny dla legendotwórczej pasji krytyków i historyków literatury:

„Urodził się 24 czerwca 1950 roku w Łubnikach nieopodal Zabłudowa jako syn Antoniego i Józefy z domu Dakowicz. Z rodzinnymi Łubnikami związany przez całe życie. Ukończył szkołę podstawową w Zabłudowie, a następnie (1976) Technikum Rolnicze w Dojlidach koło Białegostoku. Studiował w latach 1969–1973 polonistykę i historię na Wydziale Humanistycznym Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Magisterium filologii polskiej uzyskał w 1975 roku. Absolwent studium bibliotekarskiego na Uniwersytecie w Białymstoku (2000).

Debiutuje w 1970 roku w „Kontrastach”, a jego wiersze drukują w tych czasach między innymi „Literatura”, „Poezja”, „Tygodnik Kulturalny”. Tomy wierszy z lat 70. i 80. zyskują ogólnopolski rozgłos: *Rachunek* (1973), *Żalnik* (1976), *W drodze do Damaszku* (1980), *Żertwa* (1987). Piszą o nich najwybitniejsi krytycy tamtych lat³.

Urodzony w Łubnikach (zapyta poeta z Wrocławia, gdzie to jest?), związany z Łubnikami „przez całe życie” – dalej przeczytamy o pracy na roli, a nawet o jego byciu sołtysem. To wszystko zmieszane z informacjami jakby z bieguna innego świata: debiut w 70. roku, znajomość a to ze Stachurą, a to z Milczewskim-Bruno (których zapraszał do Białegostoku), wykładowca uniwersytecki,

² Z prac o Leończuku zob. *Bibliotheca mundi. Studia bibliologiczne ofiarowane Janowi Leończukowi*, red. J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016.

³ Jan Leończuk, w: *Bibliotheca mundi...*, dz. cyt., s. 23.

który wprowadzie kariery znaczonej stopniami naukowymi nie robi, ale zapisuje się w pamięci studentów jako postać wybitna, doktorant prof. Czesława Hernasa, o którym stale i niezmiennie mówi „mistrz”. Dalej Leończuk to dyrektor i współtwórca największej biblioteki naukowej w północno-wschodniej Polsce – Książnicy Podlaskiej, której nadaje imię Łukasza Górnickiego, arcyrenesansowego pisarza osiadłego w Tykocinie⁴. W tejże Książnicy tworzy Dział Naukowy⁵. Juror konkursów literackich, działacz ZLP w latach 90. (mający swoje gusta i preferencje literackie, więc nie przez każdego hołubiony). Do tego trzeba dodać pasję tłumacza – nade wszystko z języka białoruskiego, którego zwrotami on, zdeklarowany Polak i katolik, lubi przeplatać długie rozmowy. Człowiek – nie, nie napiszę człowiek-instytucja. Do Jana Leończuka już w XXI wieku ciągną tłumy pisarzy, polityków, ludzi kultury. Wszystkich dyrektor przyjmuje w swym „bibliotecznym” pałacu jak pan na włościach. Gości, snuje wielogodzinne rozmowy, wspiera.

Coraz mniej pisze od początku XXI stulecia. Już tu dodam: coraz mniej pisząc, pisze coraz lepiej. Rezygnuje z ethosu literata – swe wiersze publikuje w wyborach albo, te, które nazywamy ekfrazami⁶, w albumach zdjęć, rysunków. Im jest go mniej na „rynku literackim” małego podlaskiego światka literackiego, tym, jestem pewien, większą gęstość, esencjalność zyskuje jego liryka. Liryka, o której między 2003 a 2016 rokiem⁷ coraz mniej osób pamięta. Leończuk, już wtedy zmagający się z cukrzycą, wycofuje się ze splendorów bycia literatem, chroniąc się w intymnym ethosie poety.

Wtedy właśnie jest już gotowy regionalny mit pisarza. Mit „poety z Bożej Łaski”, debutanta z roku '70, poety, który na chwilę rozbłysnął w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na krajowej arenie literackiej, a potem już tylko

⁴ Zob. *Łukasz Górnicki i jego czasy*, red. B. Noworolska, W. Stec, Białystok 1993.

⁵ Por. Uchwała nr 76/329/2000 Sejmiku Województwa Podlaskiego z dnia 7 marca 2000 roku w sprawie nadania statutu Książnicy Polskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Mocą tej uchwały Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego zmienia nazwę na Książnicę Podlaską. W tymże roku pod red. Anny Sitarskiej i Jana Leończuka ukazuje się pierwszy numer „Bibliotekarza Podlaskiego”. W 2012 roku Książnica zyskuje status biblioteki naukowej (od 2009 roku pracuje Dział Naukowy, Promocji i Wydawnictw). Od 1997 roku biblioteka ma ustawowe prawo do egzemplarza obowiązkowego. Lista osiągnięć Jana Leończuka jako jej dyrektora jest w latach 1998–2016 imponująca.

⁶ Por. A. Gleń, *Ekfrazja i przedmiot poetycki w poezji Tadeusza Różewicza*, „Kresy” 2008, z. 1–2, s. 99–109; A. Dziadek, *Obrazy i wiersze. Z zagadnień interferencji sztuk w polskiej poezji współczesnej*, Katowice 2004.

⁷ Zob. M. Olesiewicz, *Poezja Jana Leończuka w oczach krytyki literackiej. Rekonesans*, w: *Bibliotheca mundi...*, s. 91–114.

gast, przechodząc do annałów prowincjonalnej, podlaskiej historii literatury „regionu”. Lata 70. wpisują Leończuka w pewną – wartą analizy socjologiczno-literackiej – sytuację grupy pokoleniowej, która ma swoich mistrzów, ale nade wszystko, jak każde pokolenie, egzaltuje się poezją, żyje ethosem literatury i literata, bawi się, kontestuje. Grzeszne lata siedemdziesiąte przemijają szybko. Leończuk schodzi ze sceny krajowej, na której tom *Żalnik* (1976) mocno zapisuje jego pozycję, i wkracza w świat białostocki.

Jaki to był Białystok, ten lat 80., mogę jeszcze zaświadczyć, bo patrzyłem na to miasto przerażonym okiem od 1987 roku. Miasto wydziedziczone z przedwojennej tradycji – polskiej, żydowskiej, wielokulturowej – i zasiedlone przez przybyszów ze wsi. Miasto z odbudowanym Pałacem Branickich w sercu, tuż obok przypominające wieś rozsypujących się, kiedyś może pięknych domów drewnianych⁸, nad którymi wznoszą się peerelowskie blokowiska. Szpetota, wiejskość w złym znaczeniu. Równocześnie trwa tu ukryte i jawne życie intelektualne. Rodzi się Filia Uniwersytetu Warszawskiego (1968), istnieje stosunkowo liczne środowisko pisarzy, dziennikarzy, artystów teatru, malarzy – z gwiazdami tej miary co Wiesław Kazanecki, Jerzy Lengiewicz, Wiesław Janicki, Sokrat Janowicz i – pewny dziś swego miejsca w dziejach literatury polskiej – Edward Redliński. Do tego silna po stanie wojennym „Solidarność”, martyrologiczna historia ks. Popiełuszki i ks. Suchowolca, mocny kresowy patriotyzm i dwie gałęzie chrześcijaństwa w ciągłym tu, pełnym napięcia dialogu: prawosławie i katolicyzm. W mieście i wokół niego mniejszości: Białorusini, Tatarzy, Ukraińcy, nieco oddaleni Litwini z Suwalszczyzny, staroobrzędowcy, garstka Rosjan. Brzydkie miasto pięknego życia ducha. Co później, na przełomie XX i XXI wieku, zmieni się w piękne, nowoczesne cywilizacyjnie miasto marazmu literacko-artystycznego (z apogeum w drugiej dekadzie XXI wieku).

Z takiego miasta Leończuk ucieka do Łubnik, by z „takich” Łubnik wracać do Miasta. W jedną, to w drugą stronę: z Łubnik do Miasta, z Miasta do Łubnik. I do Zabłudowa, który poetyzuje. Łubniki to mała wioska, wioseczka pośród pól, Zabłudów to już „starożytne” miasto (założone w 1553 roku)⁹, niegdyś ośrodek protestanckiego i żydowskiego życia, poddawany przez Leończuka, tak jak domowa osada, mitologizacji:

„Nadsłuchiwałem tej ziemi przez długie lata. Trudna do zrozumienia w swoich tęsknotach. Z wytyczonym renesansowym rynkiem, ze świątyniami osadzonymi

⁸ Por. W. Wróbel, *Bojary 4: w sercu dzielnicy*, Białystok 2014.

⁹ Por. *Zabłudów XV–XVIII wiek. Prawa i przywileje miasta i dóbr ziemskich*, opr. J. Maroszek, Białystok 1994.

w bocznych pierzejach, górującymi nad miastem. Zgromadzeni w świątyni błagali Najwyższego o pomoc i opiekę. Łączyli się w żarliwości w niebie katolickim, prawosławnym, unickim, ewangelickim, ariańskim, nie uświadamiając sobie w pełni ekumenicznego charakteru modlitw. Z pobliskich synagog rabini wznosili modły o pomyślność tej ziemi. (...)

Przetaczająca się nienawiść, ogniem wojen i zarazy niemotą bezsilna – po wielokroć dotykała boleśnie miasto Zabłudów i ziemie okalające gród nad Mielętyną. Gdyby ta ziemia potrafiła mówić, ileż by opowieści przywrócił codzienny gwar miasteczka i nieobecność jego mieszkańców? Nekropolie sprzed wieków, a właściwie ich resztki, odchodzą również w niepamięć¹⁰.

Wtedy właśnie – od lat 80. – rodzą się mitologie poety. W najmarniejszym czasie lat 80., w roku 1983, Leończuk zaczyna gospodarzyć na ziemi ojca, staje się... rolnikiem; ot, taki poetycki Cyncynat, który burzy się przeciw komunistycznej władzy stanu wojennego, ale wiosną i latem orze, sieje, zbiera.

Powstaje mit poety chłopskiego, chętnie konfrontowanego z nurtem chłopskim w literaturze polskiej. Jest on częściowo autokreacją Leończuka, częściowo wytworem otoczenia. Jan Leończuk to syn chłopa, lecz w takim samym stopniu ukochany syn szlachcianki, matki Józefy z Dakowiczów. O ile tę pierwszą opowieść – o ojcu-chłopie i o własnych zatrudnieniach w polu w owym czasie lat 80. – Leończuk opowiada, ba, rozpowiada chętnie, to opowieść o matce, jej manierach, szlacheckim ethosie poeta snuje rzadko i tylko wśród najbliższych.

Obserwując Jana Leończuka przez kilka lat prawie co dzień, widziałem w nim, „niestety”, stuprocentowego Sarmatę, szlachcica z dworku kresowego: hojnego, rozgadanego, często porywczego, ale przede wszystkim pełnego czułej, pańskiej gościnności. Pisarz wpisuje w swe poetyckie dzieło motywy domu, utraty, powrotu, grzechu, snu, ziemi z taką intensywnością, iż ma się wrażenie, że jest to liryka chłopskiego syna¹¹, który kaja się za ciężki pragrzech zdrady ojcowizny. Nic bardziej mylnego. Interpretacja nie powinna tracić z oczu ani chłopskiego losu ojca, ani ziemiańskiej tradycji matki.

Leończuk, wyrastając z obu tradycji i dziedzicząc ich piękności i narowy, należy już w pełni do ethosu inteligencji. Inteligencji w specyficznej odmianie północno-wschodnio-kresowej, wschodnio-polskiej, z identyfikacją przynależności do dziedzictwa i krajobrazów Wielkiego Księstwa Litewskiego. To w isto-

¹⁰ J. Leończuk, *Wstęp do: Ziemia Zabłudowska. Legenda – Historia – Przyroda*, fot. A. Worowska, teksty, wybór i opr. J. Leończuk, Zabłudów 2014, s. 5.

¹¹ Por. M. Siedlecki, *Jan Leończuk: portret wielostronny*, w: *Bibliotheca mundi...*, s. 49–88. Także: M. Siedlecki, *Mysliwski metafizyczny. Rozważania o „Widnokregu” i „Traktacie o łuskaniu fasoli”*, Białystok 2015.

cie świat zupełnie inny niż ten krakowski, częstochowski, nie mówiąc o warszawskim. To kosmos kulturowy, estetyczny o starej tradycji, aż średnich wieków sięgającej: z własnym systemem wartości, osobnym stylem życia. Świat wielu kultur, świat „metysażu” kulturowego¹², gdzie na co dzień mówi się kilkoma językami, prawie każdy zna cyrylicę, a polski patriotyzm, silny i najgorętszy, często, ale nie zawsze, spleciony z katolicyzmem (bo i unicki, i tatarski, i, bywa, prawosławny czy protestancki), uwzględnia to, że tuż za wschodnią granicą jest „inny”, „obcy”, Bizantyjczyk, Rusin z Wszechrusi, który przyszedł tu w 1795 roku, by odebrać im, ludziom Wschodu, Rzeczpospolitą wielu narodów. Tego „innego” też – w trosce o zachowanie własnego domu – trzeba czasem ugościć, potem przeczekać, potem z nim walczyć. Białostoczczyzna i Suwalszczyzna zachowują w nieco inny (ale podobny) sposób pamięć swej odmienności: od krajobrazu, przez wzorce życia, aż po wzorce zbawienia. To nie Kraków, nie Warszawa.

Do tego momentu wydobywamy niepowtarzalność Leończuka jako poety przynależącego do tradycji polskiej: północno-wschodnio-kresowej. Stało się jednak tak, że pisarz zostaje w pewnym momencie „geobiograficznie” przyporządkowany, wprost przywiązany do tej identyfikacji: to chłop z Łubnik¹³, poeta z Bożej Łaski, poeta domu, ziemi, snu, pisarz-katolik (tak...) z nurtu chłopskiego (czy lokowany tuż obok niego), samorodny talent, wreszcie (tu już z pozycji poklepywania po plecach przez „prawdziwych” pisarzy) łowca talentów poetyckich i „działacz” na niwie wspierania młodych poetów¹⁴. Równocześnie od samego początku formuje się negatywny stereotyp poetycki pisarza. Istotnie, niemało on sam nagrzeszył, trudno jednak zamykać jego twórczość w kilku krytycznoliterackich wymówkach, że wielosłowie, że się powtarza, że przetwarza w kółko rzeczywistość na metafory budowane zawsze tak samo, że jest twórcą intelektual-

¹² A. Balcer, *Metysaż kresowy*, „Nowa Europa Wschodnia” 5/2018, s. 14: „Metysażu nie da się także zrozumieć, postrzegając kulturę jako odrębny i niezmienny byt (immanentne cechy, esencja). Nie da się go sprowadzić do synkretyzmu. Nie jest bowiem fuzją tworzącą nowy byt z połączenia istniejących wcześniej kultur, lecz permanentną konfrontacją, a równocześnie dialogiem między nimi, dialogiem zmieniającym je wzajemnie. To oddziaływanie międzykulturowe zachodzi także pomiędzy wspólnotami znajdującymi się w konflikcie lub w relacji hierarchii politycznej. Samowiedza metysażu oznacza uświadomienie sobie, jak wiele w danej kulturze jest elementów innych kultur i *vice versa*”.

¹³ Poniekąd potwierdza taki stereotyp jedna z najdziwniejszych książek Leończuka, przygnębiająca w wymowie, zapisująca Polskę czasów stanu wojennego: tegoż, *Zapiski sołtysa; Wspomnienia*, Białystok 1997.

¹⁴ W istocie Leończuk zainicjował wydawanie w 2002 roku almanachu „Epea” (ukazywał się do 2015 roku) i antologii poezji ekumenicznej. Od 2008 roku wydawane są też *Środy Literackie Książnicy Podlaskiej* (t. 1, red. J. Taranienko, Białystok 2009).

nie wypalonym etc. Tonacja tak formułowanej krytyki wybrzmiewa stosunkowo wcześniej na przykład w tekście z 1986 roku:

„Jego samotność jest nieuleczalna, bo wynika z nieprzystosowania, z niezgody na brutalną i skorumpowaną rzeczywistość.

Ale jest też w *Białej sukience* coś, co osłabia jej działanie – przedawkowania metaforyki. Myśl, rozkojarzona na serię porównań, traci swoją siłę oddziaływania, zamienia się w pusty popis słowny. Po lekturze pozostaje wrażenie, że wersy w niektórych miejscach »przycina« niezbyt surowa ręka autora»¹⁵.

Dla przeciwwagi: fakt, iż poeta się powtarza, to też – obok wady – znak, że ma swój temat i że coś go boli aż do samej głębi. Liryka nie jest polem wyrazu systemów filozoficznych, mówi obrazami, które u Leończuka... nie! wcale nie tylko się powtarzają, lecz w sposób niekrzykliwy ewoluują, prowadząc do niemal marmurowych, kamiennych ekfraz z ostatniego etapu twórczości.

Tak Poeta zastyga w miłym micie chłopskiego lirnika, tylko gęśli brak. Dlaczego? Bo Leończuk jest jednak wyrafinowanym intelektualistą o ostrych, ale i zaskakujących poglądach konserwatysty, „prawicowca”, katolika. Owszem, jest też „kresowy”, podlaski, ale to tylko powiat jego wielkiej, większej ojczyzny: Wielkiego Księstwa Litewskiego. To prawda, że Leończuk tworzy własną, kresową wersję mitu czarnoleskiego, na miarę własnego świata – z Domem w centrum, ziemią wokół niego, Łubnikami jako *axis mundi* i „wielkim miastem” Zabłudowem. Mityzuje tę konstrukcję, naprzeciw której ustawia inteligencki, artystowski, zdrożny i ponętny Białystok, miasto wydziejczone, ale i odzyskiwane. Ten świat ma rys wielokulturowy, ale nieprawdą jest, że wszystkie elementy tej mozaiki (czy tęczy?) mają tę samą siłę: w centrum świata Leończuka tkwi chrześcijaństwo rzymskokatolickie. A przy tym kocha on ikony, przyjaźni się na co dzień ze swym sąsiadem, kapłanem prawosławnym, uwielbia kulturę ludową (rzeźba), zagaduje po białorusku, aktualizuje mity, takie jak mit polskich Tatałów. W świecie tym równocześnie nie ma miejsca na narracje rosyjskie, ukraińskie, etnicznie litewskie (choć Litwinów bardzo, o dziwo, lubi¹⁶, przy jego ambiwalentnym stosunku do Rosji, Ukrainy i... Zachodu)¹⁷.

¹⁵ O. Pacewicz, „*Takie proste jest życie poety...*”, „Gazeta Współczesna” 1986, nr 102, s. 6, cyt. za: M. Olesiewicz, *Poezja Jana Leończuka w oczach krytyki literackiej*, s. 103.

¹⁶ Jako dyrektor Książnicy rozwija współpracę z Biblioteką Wróblewskich w Wilnie, bibliotekami w Kłajpedzie i Kownie. Wydaje dwujęzyczną, polsko-litewską serię „Folia Bibliothecalia”. Publikuje przekłady literatury litewskiej. Zob. L. Gutaszkas, *Naszyjnik z wilczych zębów. Powieść*, przeł. J. Sienkiewicz, Białystok 2012.

¹⁷ Do Litwinów dystansuje go ich zamknięty nacjonalizm; wobec Ukraińców rzeź wołyńska (czyta powieści Stanisława Srokowskiego); w Rosji widzi totalitarne zagrożenie. Zachód zadziwia go postępującą sekularyzacją.

Do tego momentu stereotyp i autokreacja różnią się tylko w szczegółach. Poeta, ziemia, sen, utulenie (słowo-klucz tej liryki, pełne tajemnych znaczeń!), matka i ojciec, ból, dzieciństwo, śmierć – wszystko, już wszystko to, moglibyśmy powiedzieć, było u Leończuka od pierwszego wiersza. Trzydzieści dziewięć lat potem *thesaurus* motywów i symboli zbiera się w syntezę tomu *Ku wieczorowi* (2009), gdzie poeta raz jeszcze wyśpiewuje tę samą melodię. Śpiewa czy-sto...

* * *

ziemia powali
przygarnie
przytuli
jak tam
w dzieciństwie
nad głowami
chmury
ziemia przygarnie
oczy w proch zamieni
a tęsknotę oddali
z śmiertelnej pościeli
ziemio
moja ziemio
z kołyską zbutwiałą
niechaj moje wersy
raz jeszcze zaśpiewają
ponad twoim stropem
kwieciście i czule
jeszcze tulisz
moja ziemio
pełna tęsknoty
i bólu¹⁸

Oto, można rzec, kres poetyki Leończuka. Składanka – pięknie – złożonych motywów. Ale tu znów zwodzi nas nasza przedwiedza, ten mit, obraz poety, któryśmy z nim lepiłi. Jeśli wolno, proszę o eksperyment wyobraźniowy. Wytnijmy ten jeden wiersz z „Leończuka”, zjawiska, które znamy. Co zostaje? Zo-

¹⁸ J. Leończuk, *** *ziemia powali*, w: tegoż, *Ku wieczorowi*, Białystok 2009, s. 28.

staje – w najlepszych swych odsłonach – czysta liryka, bez przypisań do „Bożej Łaski”, Łubnik, ziemi¹⁹. Liryka trochę barokowa, trochę jak z klimatu Czechowicza. Liryka absolutnie czytelna ponad bramą/progiem czasu, kultury, przypisania do grup i pokoleń. To, co zostaje, to jest to, co pozaczasowe i pozamiejskowe; to jedno skrzydło tej poezji. Zapewnia ono jej uniwersalne rozumienie, lecz nie gwarantuje pełni zrozumienia, które zyskujemy, uruchamiając kontekst literacki, kulturowy, etniczny, geograficzny, pokoleniowy itd.

Ten eksperyment był mi potrzebny, by zaprosić do kolejnego. Do zupełnego opuszczenia mitu Leończuka, piewcy zdradzonej, chłopskiej, łubnickiej Arkadii, syna marnotrawnego, choć poety z powołania. Spróbujmy zapytać: czyżby opuszczenie domu było winą aż tak wielką, iż promieniuje ona na cały jego światoo obraz poetycki? Czego się boi to „ja”? Jakie koszmary nawiedzają je, kiedy przez całe życie i całe dzieło prosi o u t u l e n i e? Od czego ucieka, czego mu brak, jaką winę („sytuację graniczną”) rozgrywa poetycko bez miary, w nieskończoność?

Kiedy o to zapytamy, okazuje się, że Leończuk jest poetą nieznanym i nieprzeczytanym, przesłoniętym jakimś tabu niewyjawiania, zakleszczonym w stereotypach, które sam współtworzył, by się zasłaniać, osłaniać. Przed czym?

Wejście w mit

Za mitem oficjalnym tkwi u Leończuka świat mitologii wewnętrznych. Bynajmniej nie porządkują one świata, jak to mity, lecz go polaryzują. To mitologie wewnętrzne, poetyckie, utajone²⁰. Zbudowane na zasadzie *coincidentia oppositorum*, oksymoronu, dwubiegunowych przeciwieństw: egzystencji i esencji, materii i ducha, cielesności i duchowości, Erosa i tabu, seksualności i pragnienia świętości, witalizmu i *vanitatis*.

Całozyciowy rytm tworzenia dzieła poetyckiego też wskazuje u Leończuka na tajemnicę: wie dzie on od eksplozji lat 70. przez pauzy lat 80. i 90. przerywane

¹⁹ Por. tylko jako kontekst: G. Ostasz, *Śladami poezji czystej*, Rzeszów 2017 (tu o Lechoniui i Czechowiczu).

²⁰ Pięknie pisze o nich u Leończuka Elżbieta Feliksiak: *Poezja źródeł i ethos pogranicza*, w: *też, Antropologia literatury. Interpretacje i studia*, Kraków 2014, s. 237: „Czytelnik, zanim się spostrzeże, jest już wciągnięty w sam środek zachłannej przestrzeni mitycznej. Jej wyzwaniem płynie z magicznego działania obrazów i słów, które przeciwstawiają to, co bliskie uniwersalnemu doświadczeniu” (tamże, podrozdział: *Na fujarce do krwi*) [podkr. moje – J. Ł.].

tomikami, po zanikanie, cichnięcie, które dopełniają wybory wierszy, powtórzenia. Finałem tego procesu jest – o dziwo – pełne skrycie się Leończuka-liryka w albumach, w ekfrazach. Realnie poeta chroni się w łubnickim świronku, pełnym rzeźb twórców ludowych, książek, malowideł podlaskich niby-Nikiforów.

Już w najwcześniejszej poezji zabłudowskiego liryka wybrzmiewają nie tyle nostalgiczne akcenty żegnania się z domem, rodzicami, ile ciemne, groźne siły Nocy. Leończuk – to cecha znamiennej jego postawy – nie zamienia wewnętrzного bólu, rozdarcia, inności w poetykę katastrofy całego świata. On pokazuje tylko ciemność, lęk, spętanie tabu, które prowadzą go aż po najciemniejsze rejony agresji i autoagresji, demonicznej negacji. Ich ekspresja przybiera czasem dramatyczną formę jak w wierszu *Nie znam swych myśli* z debiutanckiego tomu *Rachunek* (1973):

zawsze niepewnie biorę pióro
zawsze niepewnie dotykam kogoś obcego
zawsze niepewnie patrzę w każdy zakręt
zawsze niepewnie stawiam kropkę
coraz pewniej trzymam w dłoni
nóż²¹

Te elementy dramatyczne nabierają siły w ramie arkadyjsko-nostalgicznej. Wcale nie są to wiersze o odejściu z domu, grzechu i powrocie, lecz o niekończącej się udręce wewnętrznego rozdarcia: między erotyczną cielesnością a zaszczepioną kulturową formą ekspresji pragnień i pożądań. Im więcej w nich matczyjno-ojcowskich odwołań, tym silniejszy rys wewnętrznej tragiczności. Jej spiętrzenia osiągają szczyty w *Żalniku* (1979), gdzie bezwzględnie wybrzmiewają już ukryte, główne tematy Leończukowej poezji: samotność, rozpacz, pragnienie miłości, rozdarcie między kulturowo utrwalonym wzorcem erotyki a alternatywą grzesznego, transgresywnego pragnienia²², między pustką a doświadczeniem pełni, spełnienia w poezji-życiu, w liryce-miłości.

Leończuk już tam odsłania się jako poeta tęsknoty, samotności, niewypowiedzianego pożądania, które wchodzi w dramatyczny rezonans z fundamenta-

²¹ J. Leończuk, *Nie znam swych myśli*, w: tegoż, *Rachunek*, Białystok 1973. Jerzy Sikora ujmuje jednak relacje poeta – świat w pokojową formułę „dogadywania się”. Tegoż, *Leończukowe dogadywanie się ze światem*, w: *Bibliotheca mundi...*, s. 873–879.

²² Znaczenie tych pragnień, ich natura zob. G. Ritz, *Enttabuisierung. Essays zur russischen und polnischen Gegenwartsliteratur*, Bern 1996; tegoż, *Jarosław Iwaszkiewicz. Pogranicza nowoczesności*, przeł. A. Kopacki, Kraków 1999.

mi jego kulturowego uformowania, czyli chrześcijaństwem, pragnieniem Dobra, kultem domu, rodziną jako prawzorem *harmonia mundi*. Leończuk jest poetą rozdartej Platońskiej trójcy: Dobro i Prawda przeciwstawiają się tu pokusom Piękna, które ma rys lucyferyczny, kusicielski. To rozdarcie jest bolesnym mitem interioru duchowego poety. Dobro, zrodzone i ciche, nie może tu znaleźć sojusznika w prawdzie, bo prawda, będąc kulturowym tabu, jest niemożliwa do wypowiedzenia. Aura erotycznego pragnienia i niewypowiadalnej transgresji, pokusy przekroczenia (które jakby już i dokonało się, i nie może się dokonać wciąż...) przenika wszystkie wiersze *Żalnika*, tomu gorzkich żalów nowoczesnego poety:

* * *

samotne noce czarnych ortalionów
ścian przyczajone wciąż czekają czekają
życiorys swój bielą zatrwożeniem nocy
uśmiech zawraca ortaliony bledną
z lancetem śmiech się w sercu gnieździ
dokąd twój tętent krwi w pośpiechu
wracają cienie chocholaste w słońcu
z wyprutej słomy dusze w niebo
cienistą ścieżką aby w jutro
karnawał w nocy owija westchnienia
i tylko cisza głaszcze obnażone ciała
samotne noce samotnych poetów
w pustce się rodzą hałaśliwe wiersze²³.

Oryginalność liryki Leończuka ujawnia się w pełni, gdy na ten egzystencjalny wymiar owiany tragicznością wewnętrznego rozdarcia nałożyć wszystkie kulturowe ramy, w jakich osadzone jest „ja”: dom, rodziców, ziemię, kresowość, polsko-północno-wschodniość, Wielkie Księstwo Litewskie, katolicyzm i prawosławie, kapliczki przydrożne i ikony, wreszcie północne niebo, zimne i chmurne, otwierające nocą oczy gwiazdzistego Kosmosu. Ale to nie jest *kosmos* – ład. W *Żalniku* to jeszcze uorganizowany, wymowny *chaos*, bezład. Właściwiej rzecz trzeba – ciemna więź sprzeczności, których nie można rozerwać, oderwać od siebie: kusicielskiego piękna (ciała, sztuki, ethosu poety straceńca) i pragnionego dobra (zdradzonego, cichego), które nadaremno prosi o prawdę.

²³ J. Leończuk, *** *samotne noce czarnych ortalionów*, w: tegoż, *Żalnik*, Olsztyn 1979.

Taki Leończuk to poeta jedyny w swoim rodzaju, poeta bez precedensu²⁴, jakiego poetycki polski Wschód nigdy nie miał. Rapsod, który nosi w sobie ciemny rdzeń, tajemnicę. Dobry śpiewak, który musi upaść w ciemność („grzech”), żeby dopełniło się jego prawdziwe istnienie w zgodzie z sobą. A równocześnie musi wyjść z upadku, by przeżyć i śpiewać dalej. Śpiewać inaczej, już pseudonimując, już peryfrazując, eufemizując tajemnicę pragnienia, ciała, zmysłów.

Na tej drodze w kolejnych odsłonach spotka znaki, które wywiodą go z ciemności, lecz już nigdy nie odejmą cierpienia, stłumionego bólu wewnętrznego mitu rozdarcia. Mitu nie porządkującego, ale pobudzającego ból, mitu „agresywnego” wobec własnego nosiciela, twórcy i adresata.

Pierwszym z tych znaków jest *patria*, ojczyzna. Przychodzi stan wojenny, rok 1981. Po 13 Grudnia w poezji Leończuka to, co ojcowskie, z ojcowizny, z chłopskiej chaty ojca i dworku matki, łączy się z tym, co ojczyźniane, narodowe, patriotyczne. To zdumiewające, że Leończuk nigdy nie przeszedł od mowy ezopowej do eksploatowania antykomunistycznych wątków „na całego”; nie popadł w dosłowność i grandilokwencję patriotycznej ekstazy. Może nie stało się tak, bo „wygadał się” w prozie, w publicystycznych notatkach, opowiadaniach, zapisujących prząsność PRL-u z lat 70. i 80.²⁵. Żywioł publicystyki nie zmiotł tej poezji, nawet jej poważnie nie dotknął.

Głównie jednak stało się tak za sprawą drugiego z drogowskazów, Boskości. Celowo piszę o Boskości, bo różne (tak!) są twarze Boga w tych wierszach: ewangeliczne, kościelne, kenotyczne, ale też czasami panteistyczne i panenteistyczne, gdy poeta wnika w naturę, a raczej ogarnia ją wyobraźnią, ukazującą mu wiecznego nie tylko Stwórcę i Twórcę wszechrzeczy, ale i Pana czuwającego, Podtrzymującego w istnieniu byt. Boga Podtrzymującego w istnieniu świat i poetę. Poetę będącego *W drodze do Damaszku* (1980), co pięknie i niejednoznacznie wyraża – pobrzmiwająca to Tuwimem, to Czechowiczem – fraza wiersza * * * *gdy płoną nasze głowy Panie* z tego tomiku:

Gdy płoną nasze głowy Panie
ognisty ogród w nas porasta
deszcz ześlij Panie w słowach czystych
i przyjaciela daj nam poznać Panie

²⁴ Poza kategorią „wpływu” pobratymstwa szukałbym i u młodych Miłosza, Czechowicza, Iwaszkiewicza, i u Stachury, Ratonia, Milczewskiego-Bruno, Plutowicza.

²⁵ Mam na myśli przede wszystkim VII tomów *Zapiski*: od *Zapisek: felietony radiowe* (Białystok 1996) po *Zapisek siódmy* (Białystok 2013).

zapomnij blizny krwawe szarym świtem
szew nocy błądzi polem hakeldamy
niech nasze słowa odwagą pisane
oddal srebrnika szeptu przywołanie

zapomnij zdradę wybac co niewierne
wszak miłość nasza Twoim darem Panie
nie daj rynsztoków zlizywać słodycze
pianą zachwyty nie unos nas Panie
by w nas wzrastało skamieniałe niebo
nieczułe Twojej prawdy Panie

przed nami śpiew pozostaw czuły
w rękach błądenie strawy ciepłej zdanie
a gdy wrócimy z płonącym sumieniem
przytul w nas synów marnotrawnych Panie²⁶.

Kluczowa jest w tym wierszu seria fraz, określających paradoksalizm samego istnienia Leończuka. Podmiot liryczny prosi, „by w nas wzrastało skamieniałe niebo / nieczułe Twojej prawdy Panie”, prosi o „przytulenie” synów marnotrawnych, którzy zostali obdarzeni „płonącym sumieniem”. Jest to ten sam kompleks utajonych znaczeń, który określał całe lata 70. Leończuka: pokusa, ciemne piękno ciała mężczyzn i kobiet, erotyzm, zdrada dobra, poczucie winy, niewysławialności prawdy, a to wszystko w złocistej ramie polskiego Wschodu.

Od tej pory zaczyna się „porządkowanie” świata poety. Niesprzeczne. To, co utajone, zostanie „na zawsze” utajone. Co wyciąga go z zapaści skrywanych tajemnic, czyli Bóg, przestrzeń ziemi, poezja, to od tej pory mniej lub bardziej intensywnie zaznaczać się będzie w jego postawie: człowieka religijnego, patrioty Wschodu, Polaka (tak, nie wstydy się polskości, aż nią czasem drażni otoczenie). W poezji zaś dochodzi do tego momentu, kiedy – ponieważ prawda jest niewysławialna, a i nie ma jej komu wysławić, co gorsza, nikt nie chce jej słuchać – kolejne wiersze stają się nostalgicznymi rekombinacjami tych samych motywów. Poetycki słownik Leończuka właściwie się nie zmienia, tylko bunt i grozę zastępują estetyczne zamienniki: oniryzm, melancholia, symbolika z kręgu *vanitatis*. Poeta zgęstniałej, wzburzonej egzystencji powoli staje się (z pozoru) poetą spokojnego trwania. W gruncie rzeczy ów spokój to iluzja.

²⁶ J. Leończuk, * * * *Gdy płoną nasze głowy Panie*, w: tegoż, *W drodze do Damaszku*, Białystok 1980.

W spokoju, utuleniach, snach, w powtarzanych za często metaforach żyją te same tematy: żywioły ziemi i powietrza, krew, ciało, Bóg, grzech, sen, dzieciństwo, natura, pejzaż, język, wysłowienie/niewysłowienie, pokajanie i znów bluźnierstwo, oczyszczenie i grzeszna pokusa, Kosmos i nicość. W końcu drogi dominuje wszechwładnie topika przygotowania na śmierć, lekcji ze szkoły życia i umierania (postać z nadrzeczywistości staje się dlań libański święty, ojciec Charbel, symbolizujący ozdrowienie, uleczenie, ale i nieśmiertelność)²⁷.

Zewnętrzne nie tyle pogodzenie się poety ze światem, ile jakby „dotarcie się” „ja” i natury przynosi zmiany w biografii Leończuka, który z sukcesami podejmuje kolejne role społeczne: naukowca-wykładowcy, regionalisty, dyrektora, autorytetu, działacza związku literatów. Z jeszcze większą radością bierze na siebie role męża i wspaniałego ojca, dla którego jego łubnicki Czarnolas, gdzie na św. Jana co roku zjeżdżają się przyjaciele, staje się małym rajem. Z tej Arkadii coraz częściej patrzy ku Polom Elizejskim.

W najdojrzałszej i najmniej znanej fazie twórczości niegdysiejszy buntownik, a potem melancholik, przechodzi od egzystencji do esencji. Jego późne wiersze to w przeważającej mierze ekfrazy: kilkudzaniowe komentarze poetyckie do rzeźb Naumiuka, fotografii Anny Worowskiej, rysunków Joanny Kossak. Jest w nich już tylko (i aż) patrzenie. Jest i stałe rozpraszanie się poetyckiego dzieła. Spojrzenie pada na obraz, rzeźbę, wraca obrazem, który wyjawia się w krótkich, poetyckich błyskach. Już tylko patrzenie – bez porywów myśli, buntu, bez pokusy i bez gorzkich żalów – określa tę lirykę. Teraz czystą, wydestylowaną, odartą z wielosłowia. Już nie ma co się starać, już się nie powie... i nie ma komu.

Frasobliwy Chrystus, Madonna, drewniany, rzeźbiony ptak – to Wszystko. Jakaś spokojność „ja” i „spokojność” bytu towarzyszą tu sobie w zrozumieniu Wszystkiego. Straszny, wewnętrzny, autoagresywny mit rozdarcia zostaje pochłonięty przez frasunek, frasobliwość. Pamiętajmy, iż słowo to pochodzi od niemieckiego *fressen* – żreć, pożerać²⁸. Ale teraz nikt nikogo już nie zżera, nic nie zżera, bo frasunek przysługuje tu Chrystusowi, który zwyciężył wszelką frasobliwość, tak jak Jego święty, święty Charbel z Libanu, pokonał rozkład, ból

²⁷ Św. Szarbel Makhlof (Jusuf Antun Machluf, 1828–1898) – katolicki święty, maronita z północnego Libanu. Jego grób i podlegające niezwykłym pośmiertnym przemianom ciało stały się miejscem pielgrzymek.

²⁸ Por. W. Szturc, „Maria” Malczewskiego. *Od vanitatis ku nihilizmowi*, w: Antoniemu Malczewskiemu w 170. rocznicę pierwszej edycji „Marii”. *Materiały sesji naukowej Białystok 5–7 V 1995*, red. H. Krukowska, Białystok 1997, s. 97–112.

ciała i śmierć, idąc za Mistrzem z Nazaretu. Liryka ta nabiera wysubtelnionej, ptasiej lotności, która bierze się z ostatecznego uspokojenia, choć niewolna jest też od bólu:

ptaki i sny
przysiadają na gałęzi
wyzłacanej księżycem
w milczeniu²⁹.

Świat Leończuka nie stracił pełni dramatyzmu, ale odnosi się on już do Całości: życia jako wspomnienia, śmierci jako finału, Boskości jako oczekiwania. Poecie jakby brakło tchu i słów wszędzie ozłocenia, księżyc, gałązki, ptaszki, a przede wszystkim natura. Bierze ona teraz odwet na kulturze, ona „tuli” oko poety, jego całego. Jest przepaść między młodym Leończukiem spod znaku Czechowiczowskiego Hildura i Baldura, brutalistą kajającym się antylirycznie w tomie *Duszna noc* (1981):

XI

biletem za 50 groszy do nieba
na kolację z anielskim dancingiem
z pornografią bezpłciowych białych
i czarnych alfonsów z Bojar
zacząjonych przy kasowniku

– skasuj no pan wreszcie –

tamto życie przeżarte kasownikiem
złośliwym nowotworem

w oczach na gapę przez niejedną ulicę

hildur i baldur jeszcze raz spojrzeli
na siebie³⁰

²⁹ J. Leończuk, * * * *ptaki i sny*, w: D. Purta, *Ptaki jak anioły*, komentarz poetycki J. Leończuk, fot. E. Szczesiul, Białystok 2013.

³⁰ J. Leończuk, *XI, biletem za 50 groszy do nieba*, w: tegoż, *Duszna noc*, Wrocław 1981.

– a poetą dojrzałym, patrzącym z transcendentnego oddalenia na życie, siebie, świat. Nasłuchującego czasów ostatnich i ostatecznych; jak w tomie ze wspaniałymi zdjęciami lasu, przyrody – Anny Worawskiej *Rytmy drzew* (2014), gdzie wszystko właśnie minęło:

do raju za daleko
jabłka pachną rozkoszą
i wiatr błądzi we wspomnieniach
niczym zagubiony sen
skosztuj mnie
wołały owoce³¹.

W późnej liryce Leończuka przychodzi uspokojenie. Dziwne, niepokojące. Uspokojenie z bólem, z niezrozumieniem wpisany w samo serce tej spokojności. Jeśli Leończuk-człowiek oddaje się teraz prawdom religii, to poeta w nim pozostał tym samym zdziwionym, złęknionym człowiekiem, który szuka utulenia. Osobliwe jest i coś innego – w życiu bywa radosny, ucieleśnia śmiech, żart (też „zdrożny”, ale z klasą), lubi atmosferę biesiadnej szczęśliwości, jeśli przez biesiadę rozumieć nie tylko ucztowanie, lecz intelektualny sympozjon przyjaciół, którzy, co rusz wybuchając śmiechem, „nagadać się nie mogą”. Leończuk-człowiek, dyrektor, autorytet słynie z łagodnego podejścia, niemniej jednak, kiedy zagrożone są wartości, którym poświęcał życie (od religii po bibliotekę naukową, którą stworzył), staje się stanowczy. Bywa odważny i zdecydowany, bezkompromisowy³².

W tym samym człowieku żyje przecież poeta. A może na odwrót – w tym poecie żyją ludzie, których role takie i inne przydzieliło mu życie. Droga poetyczka Leończuka jest drogą ewolucji: od lat 70. i egzystencjalnego buntu, przez samookiełznanie i „uporządkowanie” motywów od późnych lat 80., po pierwsze lata XXI wieku, aż po etap trzeci, etap esencjalności ekfraz. Jest to również droga powtórzeń tematów, motywów, symboli, form wiersza, gatunków³³. Ujmując temat inaczej: w powtarzalności motywów jest nie tylko pewna monotematyczność pisarza. Znajdziemy w niej również odbicie krajobrazu podlaskiego – bez wodospadów, gór, wielkich jezior i słowiczych gajów. Jest coś takiego, jak me-

³¹ J. Leończuk, * * * *do raju za daleko*, w: A. Worowska, *Rytmy drzew*, komentarz poetycki J. Leończuk, Białystok 2014.

³² Zob. J. Ławski, *Jan Leończuk. Pisarz – osobowość – dzieło*, w: *Bibliotheca mundi...*, s. 29–48.

³³ Por. W. Dąbrowski, *Obraz świata w twórczości Jana Leończuka*, Białystok 2007.

lancholia północnego krajobrazu, pewna jego monotonia, którą najlepiej poznać jadąc z Białegostoku do Mińska albo do Rygi: pola, lasy, lasy, pola, lasy... Pustki, bezludzia, odludzia, miasteczka, rzeki. Skończona nieskończoność – tak wolno nazwać ten krajobraz, za którym lira Leończuka podąża wytrwale, powtarzając i te same sytuacje liryczne, i te same motywy. Nie sądzę, że światowe podróże, gdyby były, zmieniłyby tu wiele, zbyt silne jest u niego promieniowanie tej wschodnioeuropejskiej, kresowej przestrzeni...

To w małym stopniu przestrzeń fizykalna, w większym metafizykalna. To jak gdyby uprzestrzenniona boskość, którą wypełnił się Wschód. Jedno wygląda z drugiego: Bóg przez ikony z nadprzestrzeni, przestrzeń wiedzie przez boskość w niewysłowione. Inaczej płynie tu czas, jego poczucie bliższe jest wschodniochrześcijańskiej, bizantyjskiej kulturze niż pragmatyzmowi Zachodu, kwantyfikującemu czas i przestrzeń, by je „wykorzystać”, „spożytkować”. To wszystko znajdziemy w zmierzających do czystego patrzenia późnych wierszach Leończuka. Właściwym szczytem liryki jest tu apofatyczne milczenie³⁴. Bezmowny akt adoracji istnienia. Istnienia przerażającego, chylącego się bez ratunku ku śmierci, ale też pięknego, ekstatycznie radosnego, święcie i grzesznie zmysłowego, zanurzonego w tradycji i wspólnocie, przenikniętego Obecnością.

Zaczarowywanie mitu

Lirykę Jana Leończuka wolno interpretować na wiele sposobów. Na jakiś czas trzeba ją najpierw wydobyć ze stereotypu, jakim jest „regionalne” przypisanie, oznaczające paternalistyczną marginalizację przez różne geo- i bio-ujęcia. Jak powiedziałem, jest to poezja uniwersalna. Po prostu poezja. Dopiero to stwierdziwszy, zauważamy, jak osobliwa i jedyna w swoim rodzaju jest ona przez swe wschodnie przypisanie, przez podlaskość rozumianą nie jako powiatowa prowincjonalność, lecz przynależność do wielkiego świata Wielkiego Księstwa Litewskiego, przestrzeni zetknięcia i starcia dwóch prastarych cywilizacji: Zachodu i Wschodu, *Slavia Latina* i *Slavia Orthodoxa*.

Spróbujmy zasugerować klucze, którymi tego skarbczyka nie otwierano. Zatem najpierw poeta metafizyczny, poeta zwady z Bogiem, pustki, diabelskich

³⁴ Zob. Pseudo-Dionizy Areopagita, *Teologia mistyczna*, *Listy*, przeł. M. Dzielska, przedm. T. Stępień, Kraków 1997. P. Evdokimov, *Poznanie Boga w tradycji wschodniej: patrystyka, liturgia, ikonografia*, przeł. A. Liduchowska, Kraków 1996.

pokus nicości, samobójczych opętań, a potem adorant istnienia, przepatrujący więc, gdzie przez naturę prześwituje nicość, a gdzie przeziera, odsłania się sfera *deitas*. To zawieszenie pomiędzy – linia między „nic” a „Wszystko” – to u Leńczuka ból, przemagany przez trudną, „ciężką” wiarę. Czytałem jego wiersze – tak, obstawię się teraz nazwiskami – zaglądając przy innej okazji do Simone Weil (1909–1943). Nie mogłem się nadziwić, jak rezonują bóle duszy poety i filozofki, piszącej w eseju *Miłość Boga a niedola* tak:

„Między niedolą i wszystkimi zmartwieniami – które nawet gdy są bardzo gwałtowne, bardzo głębokie, bardzo długotrwałe, są jednak czym innym niż niedola w pełnym tego słowa znaczeniu – istnieje zarazem ciągłość i rozdział w rodzaju progu, tak jak przy temperaturze wrzenia wody. Istnieje pewna granica, poza którą dopiero znajduje się niedola. Ta granica nie jest całkowicie obiektywna, wchodzą tu w grę różne czynniki osobiste. To samo zdarzenie może jednego człowieka wtrącić w niedolę, a innego nie.

Wielką zagadką ludzkiego życia jest nie cierpienie, ale niedola. Nie może dziwić, że niewinni są zabijani, torturowani, wypędzani z kraju, skazywani na nędzę i niewolę, zamykani w obozach i więzieniach, skoro znajdują się zbrodniarze, którzy to wykonują. Nie może też dziwić, że choroba wywołuje długotrwałe cierpienia, paraliżujące życie i czyniące z niego obraz śmierci, ponieważ natura poddana jest ślepej grze mechanicznych konieczności. Ale nie może nie dziwić, że Bóg dał nieszczęściu władzę nad duszami niewinnych, że pozwolił, by zagarniało je jak absolutny władca. W najlepszym razie ten, kogo naznaczyło nieszczęście, zachowa tylko połowę swej duszy”³⁵.

Cały ten i nie tylko ten tekst Weil oświecla Leńczuka ze strony najgłębszej: między cierpieniem ciała, nieszczęściem losu a niedolą duszy. Nawet jeden z tytułów wspaniałego wydania *opera omnia* Weil jakby puentuje życie poety: „Prawda jest nieszczęśliwa”³⁶. Ale jest... prawda jest. Dlaczego więc Bóg dozwala, byśmy za nią płacili nieszczęśliwością?

Wyobrażam też sobie monografię o Leńczuku napisaną z punktu widzenia metodologii, jaką German Ritz badał Iwaszkiewicza, a Olaf Kühl czytał Gom-

³⁵ S. Weil, *Miłość Boga a niedola*, [1942], w: tejże, *Dzieła*, przeł. M. Frankiewicz, Poznań 2004, s. 624.

³⁶ Tamże, s. 1107.

³⁷ G. Ritz, *Niewypowiadalne pożądanie a poetyka narracji*, „Teksty Drugie” 1997, nr 3, s. 43–60; tegoż, *Iwaszkiewicz i przekłady z Georgego*, przeł. M. Łukasiewicz, „Literatura na Świecie” 1998, z. 3, s. 251–275. O. Kühl, *Ciało i jego maskowanie u Gombrowicza*, „Teksty Drugie” 1996, z. 1.

³⁸ G. Ritz, *Dyskurs płci w ujęciu porównawczym*, „Teksty Drugie” 1999, z. 5, s. 122–123.

browicza³⁷. Ritz, który pisząc o niewypowiadalności doświadczenia płci, seksualności, cielesności, konkluduje, iż literatura polska z trudem wchodzi w fazę wypowiadalności tych doświadczeń: „W okresie późnorealistycznej prozy kobiecej lat dwudziestych i trzydziestych Iwaszkiewicz pozostaje wierny modernistycznemu modelowi niewypowiadalności bądź sublimacji. Próba narracji realistycznej w *Zmowie mężczyzn* ponosi klęskę. Gombrowicz radykalizuje ten model, ale go nie przekroczy”³⁸. Jan Leończuk rozrzuca liczne i, powiedzmy, aż krzykliwe znaki doświadczeń stłumionych, niewypowiadalnych, lecz sygnalizowanych, kamuflowanych, trochę jak w Czechowiczowskim micie miłosnym, gdzie: „(...) Czechowicz w jeszcze większym stopniu niż romantycy – wyrwa miłość z obyczajowych kontekstów, umieszcza ją poza światem, poza normalnym doświadczeniem”³⁹. Leończukowe odwołanie do poematu Czechowicza *Hildur, Baldur i czas* to tylko jeden z wielu znaków⁴⁰. Nie sądzę przy tym, by była to na dłuższą metę perspektywa interpretacyjna jedyna i odkrywczą (chyba że uwzględni ów wschodni, kulturowy substrat twórczości pisarza, w tym nakładanie się na poetykę niewypowiadalnego pragnienia wątków intymnie religijnych). Ale powiedzieć prawdę trzeba, nawet jeśli, powtórzmy za Simone Weil, prawda jest nieszczęśliwa. A może właśnie wprost przeciwnie: prawda jest; i prawda jest szczęściem.

Wyobrażam sobie w końcu czytanie liryki Leończuka, które wydobywa melancholię jako główny jej łącznik, srebrną nić, przewijającą się przez wszystkie tomiki. Tak, byłaby to melancholia z ikonograficznych ujęć⁴¹, melancholia z podręczników opisujących stany depresyjne. Sądzę, że byłaby to jednak także melancholia zapisana w krajobrazie, w światoczuć, w oku i zmysłach. Melancholia Wschodu z jego monotonią, podszytą grozą historii, melancholia skończonej nieskończoności, oka zapatrzonego w wieczność z bizantyjskiej ikony i rzeźbionego fraszobliwego Chrystusa. Melancholia natury, odlotu ptaków, przemijania. Te wszystkie melancholie trzeba by ująć także w ich kulturowym, polsko-rusko-litewskim osadzeniu, akcentując nawet tę odrobinę wschodnioeuropejskiego *dolce farniente*, która towarzyszy niepróżnującemu próżnowaniu ludzi Wscho-

³⁹ G. Grochowski, „*Eros i Psyche*”: dyskurs miłosny Czechowicza, „Pamiętnik Literacki” 1988, nr 2, s. 116.

⁴⁰ Por. M. Głowiński, *Eros i przemijanie. Wokół poematu Józefa Czechowicza „Hildur, Baldur i czas”*, w: *Stolice i prowincje kultury. Księga jubileuszowa ofiarowana profesor Alinie Kowalczykowej*, red. J. Brzozowski, M. Skrzypczyk, M. Stanisławski, Warszawa 2018.

⁴¹ Zob. W. Bałus, *Mundus melancholicus. Melancholiczny świat w zwierciadle sztuki*, Kraków 1996.

du. Bardziej niż do jakiegokolwiek innego stylu (sztuki, myśli, życia) odnoszą się oni do Baroku, do – także – *Księgi Hioba*. Myślę, że tak czytany Leończuk ma w sobie coś z kontynuatorów tej linii estetyki i światoobrazu, którą genialnie wyraża Słowackiego wiersz-parafraza fragmentu *Księgi Hioba*:

Czyż dla ziemskiego tutaj wojownika
Walka jest wieczną? czyliż dni człowieka
Nie są na ziemi jak dni najemnika?...
A jako sługa odpoczynku czeka,
A robotnik czeka swej zapłaty,
Tak mnie miesiące, co przynoszą straty,
Dałeś, o Boże, i stroskane noce;
A gdy położę się, myślę o wstaniu
I myślę tylko o prędkim świtanie,
I do świtania się nędzny kłopotę,
A skórę moją robactwo już stacza,
I proch jest na niej – i w kawały pada...⁴²

Nie wątpię, iż w głębinnym znaczeniu to samo doświadczenie wyraża dys-tych Leończuka z tomu *Ptaki jak anioły* (2016):

wystarczy jedno muśnięcie anioła
a ciało sposobi się do lotu⁴³.

Leończuk-melancholik lata po ziemskich i zaziemskich krainach, nade wszystko zalatując w Rejony Dzieciństwa, które są dlań figurą eschatologiczną, wyobrażeniem zbawienia.

Ekpyrosis

Świat Leończuka płonie od początku jego drogi twórczej po wiersze ostatnie. Płonie niepokojem, tajemnicą, drzeniem. Gdyby odwrócić tytuł słynnego

⁴² J. Słowacki, *Czyż dla ziemskiego tutaj wojownika...*, w: tegoż, *Wiersze. Nowe wydanie krytyczne*, opr. J. Brzozowski, Z. Przychodniak, Poznań 2005, s. 183. Por. J. Ławski, *Hiob. Wojownik. O lirycznym arcydziele Juliusza Słowackiego „Czyż dla ziemskiego tutaj wojownika...”*, w: *Modernizm. Zapowiedzi, krystalizacje, kontynuacje*, red. A. Grzelak, M. Kurkiewicz, P. Siemaszko, Bydgoszcz 2009, s. 62–104.

⁴³ J. Leończuk, * * * *wystarczy jedno muśnięcie anioła*, w: D. Purta, dz. cyt.

wiersza wieszczą *Uspokojenie*, to żywiołem poety białostockiego jest i będzie już zawsze *Nieuspokojenie*. Potrafi mu on często nadać skrzydła piękna.

Nemo propheta in patria sua (nikt nie jest prorokiem między swymi). Z tej mądrości biblijnej płynie zachęta do wyrozumiałości. Nie znoszę i nie akceptuję ściągania wszystkiego, co wybitniejsze, do poziomu „naszej” dobrej, pocziwej regionalności, tutejszości, swojskości. Leończuk nieraz padał ofiarą takiego poklepywania po plecach: „nasz”. Wcale nie „nasz”. Po prostu poeta – i nie tylko z Bożej Łaski, ale i z własnej pisarskiej samoświadomości. Zdumiewała mnie zawsze jego erudycja. Prócz erudycji „ogólnohumanistycznej” ma on swój osobliwy *erudicon*, na który składają się stare księgi, Biblie i pisma rabinów, wiersze poetów białoruskich i teksty folklorystyczne, poezja staropolska i klasyczna filozofia. Jak mało kto nabożnie traktował księgi i książki. Nie jest ironistą ani sarkastykiem, z książkami wchodzi zawsze w spór albo miłosne zapatrzenie – tylko serio.

Czuje się – choć tak często mówił ludziom co innego, wypróbowując podstępnie ich wyobrażenia o nim – przede wszystkim artystą. We wstępie do pełnego ekfraz tomu z fotografiami rzeźb Dionizego Purty wyznaje: „A ptaki Dionizego Purty przypominają wiele zdarzeń i niezapisanych opowieści. Są świadkami rodzenia się Artysty”⁴⁴. To o rzeźbiarzu – lecz przecież też o Leończuku. W jednej z wypowiedzi – już z 2018 roku – zapytany o swój stosunek do tak dziś „staroświeckiego” pisarza jak Kraszewski, Leończuk mówi: „Z chwilą przejścia na emeryturę wszystko we mnie wygasło, to znaczy nie byłem w stanie już czytać, bo najpierw ślepotą, a potem inne dolegliwości, które również zakłócały ten normalny rytm fascynacji Kraszewskim”⁴⁵. A obok tego słysząc tu rytmy fascynacji Iwaszkiewiczem, Stachurą, Czechowiczem, Wojtyłą, Kraszewskim, Herbertem, romantykami, Różewiczem, Dakowiczem i tyloma innymi... Tyle rytmów – czytania, pisanie.

Przewiduję, iż przyszłość zaproponuje taką formułę lektury liryki Jana Leończuka i jego prozatorskich *Zapisków*, która wydobędzie z dzieła splót i zderzenie kultury przednowoczesnej, jeszcze XIX-wiecznej, świata ziemianstwa z czasów Glogera, ze światem XX- i XXI-wiecznej nowoczesności. To zderzenie

⁴⁴ Tamże.

⁴⁵ J. Leończuk, wypowiedź w: *Józef Ignacy Kraszewski w zwierciadle współczesności: 2012–2017*, wstęp A. Karczevska, J. Ławski, red. I. E. Rusek, J. Ławski, Białystok 2018, s. 274–275; tegoż, *Szaleństwo panowało totalne...*, w: *Białostockie środowisko filologiczne 1968–2018. Historia w 45 wywiadach*, rozmawiał D. Sołowiej, idea, red. i wstęp J. Ławski, Białystok 2018, s. 242–256.

byłoby widoczne w nawiązaniach do tradycji, w formie wiersza, tematach. To prawda, są to części Leończukowego świata, z jednej strony późnego wnuka uwielbianego przezeń Glogera, z drugiej ucznia Czechowicza, Iwaszkiewicza i Herberta.

Tak jawi się zjawiskowa część prawdy o poezji Leończuka. W swej pozazjawiskowej głębi płonie ona zderzeniem życia i poezji z czymś pozahistorycznym. Czymś, co najlepiej wyraża ontologia ekfrazy – w której obraz i słowo wchodzi w rezonans z wiecznością. Wracam do ulubionego z późnych wierszy poety, gdzie wszystko zgęszcza się w esencjalnym splocie życia i śmierci, miłości i straty, śmierci i żalu, *vanitatis* i *aeternitatis*.

we śnie dojrzałem
ptasie gniazdko
a w nim dwa małe kamyczki
jakby położone na zapomnianej macewie
i głos dziecięcy spowiadał ten obraz
– mamó – mamó – ⁴⁶.

Kto pozna znaczenia Leończukowego „utulenia” – od gestu matki, przez zmysłowe doznanie miłosne aż po dotknięcie ręką śmierci i objęcie przez Boga – ten zgłębi lirykę poety.

To jest ten Leończuk, którego czytam, już nie tyle myśląc jego wiersze, ile patrząc na nie. Patrząc na patrzenie, bo są one tym właśnie – czystym oglądem istoty. Ten i taki Leończuk dopiero zaczyna swoje poetyckie życie...

Poeta, któremu dany był jego własny Kosmos.

⁴⁶ J. Leończuk, * * * *we śnie dojrzałem*, w: D. Purta, dz. cyt.

Zasady wydania

1.

Poezje zebrane Jana Leończuka zawierają całą drukowaną twórczość poetycką pisarza, do której udało się dotrzeć edytorom. Ten fakt należy podkreślić: twórczość, do której udało się dotrzeć. Szczególnie bowiem w latach 70. i 80. XX wieku poeta publikował wiele w trudno dostępnych dziś czasopismach, gazetach, periodykach regionalnych. Z przyczyn obiektywnych nie publikujemy też tekstów z rękopiśmiennego archiwum pisarza, które do 2019 roku prawdopodobnie zawierało jeszcze utwory poetyckie z wcześniejszych etapów drogi twórczej, wersje pierwotne utworów publikowanych i listy (a w nich, być może, również utwory poetyckie Leończuka i innych poetów).

Z kolei zjawiskiem osobliwym dla XXI-wiecznej twórczości Leończuka jest z jednej strony przedrukowywanie utworów w wyborach jego wierszy, z drugiej drukowanie liryków w rozmaitych albumach, książkach regionalnych, a nawet w materiałach dołączonych do płyt. W przypadku przedruków, wyborów liryki publikujemy tylko te wiersze z tych zbiorów, które nie były wcześniej udostępniane oraz te, w których poeta przedrukowując je z wydań wcześniejszych, dokonał jakichkolwiek zmian.

Wyzwaniem edytorskim były albumy z utworami Leończuka. Zamieszczone w nich wiersze mają czasem charakter ekfrazy, czyli komentarza poetyckiego do fotografii (rzeźby, krajobrazu etc.). Podkreślmy: mają c z a s e m taki charakter. W sporych objętościowo albumach lub książkach, takich jak tom *Ziemia Zabłudowska* (2014), wiersze Leończuka czasem odnoszą się do zdjęć, rzeźb, obrazów, ikon, a czasem nie odnoszą się do nich. W *Poezjach zebranych* przy-

wołujemy wiersze z tych tomów oraz te tylko fotografie, które bezpośrednio towarzyszą wierszom lub się z nimi tematycznie wiążą jako ekfrazy. Nie mamy natomiast możliwości przedrukowania całych albumów. Niewątpliwie, by odczuć niepowtarzalny klimat na przykład albumu *Sen drewna i jawa życia. Rzeźby Włodzimierza Naumiuka* (2010), uchwycić wszystkie jego konteksty i niuanse znaczeniowe, trzeba sięgnąć po cały ów tom, po fotografie Anny Worowskiej i towarzyszące jej poezje Jana Leończuka.

2.

Edytorzy obu tomów nie ingerowali w zasady pisowni i interpunkcji pisarza, traktując je jako sferę suwerennej decyzji autorskiej. Tam wszędzie, gdzie pojawiały się (w przypadku przedruków) wątpliwości, konfrontowano wersję ostatnią z pierwodrukiem. Starano się zachować chronologiczny porządek prezentacji twórczości, wyjątek czyniąc tylko dla wierszy rozproszonych, które wyodrębniono w osobnym bloku. W tomie uwzględniliśmy także tłumaczenia Leończuka z lat 1979–1996, pomieszczone w jego *Wierszach wybranych* (1996).

3.

W tomie 1 *Poezji zebranych*¹ pomieszczono wiersze z następujących wydań (po tytule podajemy w nawiasie kwadratowym również charakter publikacji: tom poetycki, album, płyta):

TOM I: 1970–1997

1. *Rachunek* [debiutancki arkusz poetycki], opr. graf. Pola Orzechowicz, zdjęcia Henryk Rogoziński, seria Białostocki Arkusz Poetycki, red. T. Gicgier, W. Kazanecki, Z. Piechociński, Woj. Dom Kultury i Zarząd Wojewódzki ZSMW, BO KKMP, [Białystok], 1973, 10 s.
2. *Żalnik* [tom poetycki], opr. graf. Janusz Wierzyński, Olsztyn: „Pojezierze”, 1979, 57 s.
3. *W drodze do Damaszku* [tom poetycki], Łubniki: Nakładem Autora, 1980, 14 s.

¹ Por. także: B. Piechowska, A. Strykowska, *Jan Leończuk. Bibliografia za lata 1970–2000*, Suwałki 2001. Ta ważna pozycja nie obejmuje twórczości poety po 2000 roku.

4. *Duszna noc* [tom poetycki], Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1981, 31 s.
5. *Sen odarty = Son agoleny* [tom poetycki w przekładzie na język białoruski], tł. z pol. Sokrat Janowicz, opr. graf. Juliusz Batura, Białystok: Klub Literacki ZLP: Miejski Dom Kultury, 1981, 12 s.
 Uwaga: tom przynosi wersję oryginalną i przekład białoruski, dokonany przez Sokrata Janowicza, utworu *Sen odarty*, pisanego w latach 1979–1980. *Sen odarty* został przez Leończuka włączony do tomu *Żertwa* (1986) jako jego osobna część. Nie publikujemy więc tego utworu jako osobnej całości, natomiast zainteresowanych przekładem białoruskim odsyłamy do tomu *Sen odarty* z 1981 roku.
6. *Biała sukienka* [arkusz poetycki], red. i opr. Jan Szaciłło, opr. graf. Władysław Pietrzuk, Białystok: Wojewódzki Dom Kultury, [1985], 12 s.
7. *Za horyzontem* [tom poetycki], opr. graf. Georgi Andreew, Białystok: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1986, 51 s.
8. *Żertwa* [tom poetycki], opr. graf. Sławomir Chudzik, red. Elżbieta Kozłowska-Świątkowska, Białystok: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1987, 52 s.
9. *Pieśni z karnawału* [tom poetycki], opr. Jan Szaciłło, Białystok: Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, 1991, 27 s.
10. *Zawołaj raz jeszcze ciemnym wierszem* [tom poetycki], il. Tadeusz Gajl, red. Elżbieta Kozłowska-Świątkowska, Białystok: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1991, 56 s.
 Uwaga: z tomu tego pominięto cykl *W Drodze do Damaszku*, opublikowany osobno w 1980 roku (pozycja 3), przedrukowany w niniejszym tomie.
11. *Zapisane. Wiersze z lat 1981–85* [tom poetycki], red. Jan Szaciłło, Białystok: Związek Literatów Polskich: Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, [1992], 30 s.
 Uwaga: z tomu pominięto wiersz *Madonno mojej Ojczyzny* (s. 337).
12. *Białystok w fotografii Piotra Sawickiego* [album], przedmowa Władysław Serczyk, komentarz literacki Jan Leończuk, wykaz zabytków Andrzej Lechowski, Białystok 1995, 128 s.
13. *W drodze do Domu* [tom poetycki], [Białystok]: AP HU „MAZD”, 1996, 57 s.
14. *Wiersze wybrane* [tom poetycki], Białystok: Mazd, 1996, 271 s.
15. *Dotykanie ziemi* [tom poetycki], „Świętojańska Seria Poetycka” 19, pod

red. Jana Czykwina i Jana Leończuka, ZLP w Białymstoku, red. Mariusz Śliwowski, Białystok: Mazd, 1997, 51 s.

4.

Na początku tomu publikujemy także debiutanckie wiersze Leończuka: *Czas usycha w tętnicach*, *Koniec*, *Poza ikarowym lotem*, opublikowane w „Kontrastach” w 1970 roku (nr 11, s. 15). Nie były one przez autora później przedrukowywane, pomimo niewątpliwych walorów estetycznych.

Jan Leończuk

Poeta, prozaik, eseista, tłumacz; w latach 1975–1985 (Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku) oraz 1987–1998 (Filia UW, a od 1997 roku Uniwersytet w Białymstoku) wykładowca i naukowiec, potem także bibliotekarz, społecznik, bibliofil.

Urodził się 24 czerwca 1950 roku w Łubnikach nieopodal Zabłudowa jako syn Antoniego i Józefy z domu Dakowicz. Z rodzinnymi Łubnikami związany przez całe życie. Ukończył szkołę podstawową w Zabłudowie, a następnie (1976) Technikum Rolnicze w Dojlidach koło Białegostoku. Studiował w latach 1969–1973 polonistykę i historię na Wydziale Humanistycznym Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Magisterium filologii polskiej uzyskał w 1975 roku. Absolwent studium bibliotekarskiego na Uniwersytecie w Białymstoku (2000).

Debiutuje w 1970 roku w „Kontrastach”, a jego wiersze drukują w tych czasach między innymi „Literatura”, „Poezja”, „Tygodnik Kulturalny”. Tomy wierszy z lat 70. i 80. zyskują ogólnopolski rozgłos: *Rachunek* (1973), *Żalnik* (1976), *W drodze do Damaszku* (1986), *Żertwa* (1987). Piszą o nich najwybitniejsi krytycy tamtych lat. Należy do grona pisarzy, którzy w latach 70. szukają własnej drogi do literatury, takich jak Wiesław Kazanecki, Jerzy Plutowicz, Edward Redliński. Jest także tłumaczem z języka białoruskiego (przełożył utwory: Nadziei Artymowicz, *We śnie w bólu słowa*, 1979; Wiktora Szweda, *Wiersze wybrane*, 1997; Hatifa al-Janabiego, *Dzikie kontynenty*, 1991 oraz *Rozbite wiersze*, 1987; Jana Geniusza, *Na początku było tylko słowo...*, 1981; Tadeja Karabowycza, *Już*

dzień się nachylił do czterech krańców świata, 2004; *Powrót*, 1998, *Smutek*, *Grzech*, *Chełmska Góra z katedrą*, 2014; Bohdana Bojćuka, *Miłość w trzech odsłonach i inne wiersze*, 2001 [wraz z Tadeuszem Karabowyczem]; Mihas'a Šaho-
vič'a, *S'viataja noč*, 1979; Galiny Tvaranovič, *U kresu dróg; Pieta z Notre Dame*, 2002 [wraz z Pawłem Bielskim]). Od 1996 roku począwszy, publikuje siedem serii *Zapisków* – poetyckich, pisanych prozą felietonów, wygłaszanych w Polskim Radiu Białystok w latach 1990–2013.

Wielokrotnie honorowany licznymi nagrodami, w tym: Nagrodą Młodych im. Włodzimierza Pietrzaka (1991), Nagrodą Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego (1991, 1996 i 2010), odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi w 1990 roku oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2000). Od roku 1989 jest członkiem Związku Literatów Polskich, w tym w latach 1995–1999 prezesem jego białostockiego oddziału.

W latach 1975–1985 pracuje naukowo i wykłada w Instytucie Filologii Polskiej Filii UW w Białymstoku. Zajmuje się wtedy folklorystyką Podlasia, za swego mistrza w tej dziedzinie uznając prof. Czesława Hernasa. Pracę nauczyciela akademickiego i naukowca łączy w tym czasie z prowadzeniem od 1983 roku gospodarstwa rolnego w rodzinnych Łubnikach, których jest w latach 1984–1999 sołtysem. Udziela się ponadto społecznie jako radny i przewodniczący Rady Miejskiej w Zabłudowie, mieście, jak zawsze podkreśla, położonym na samej granicy Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony. Założyciel i pierwszy prezes Towarzystwa Ziemi Zabłudowskiej, redaktor dwumiesięcznika „Z Zabłudowskiej Ziemi”, współredaktor „Gryfity”, „Magazynu Polskiego”, „Rubieży”. Twórca i redaktor naczelnny pisma literackiego „Epea” oraz półrocznika „Bibliotekarz Podlaski”, który w 2013 roku przekształca w „Bibliotekarza Podlaskiego. Ogólnopolskie Naukowe Pismo Bibliotekoznawcze i Bibliologiczne”. W latach 1996–1999 należy do Kapituły Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Od roku 2005 nieprzerwanie członek Kapituły Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Franciszka Karpińskiego, przyznawanej w Białymstoku.

W 1998 roku Jan Leończuk zostaje mianowany Dyrektorem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Łukasza Górnickiego. W czasie, gdy jest dyrektorem Biblioteki, zyskuje ona prawa do egzemplarza obowiązkowego, status biblioteki naukowej, pełniąc funkcję biblioteki miejskiej, powiatowej i wojewódzkiej. Przekształca jedną z wielu bibliotek wojewódzkich w Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego, prężnie działającą na niwie naukowej, organizującą corocznie konferencje. Powstaje tu Podlaska Biblioteka Cyfrowa. W Książnicy

uruchomiony zostaje Dział Naukowy, który rozpoczyna III-tomową edycję *Pism rozproszonych* Zygmunta Glogera. Z inicjatywy dyrektora Książnica angażuje się w obchody sejmowe Roku Juliusza Słowackiego (2009) i Roku Józefa Ignacego Kraszewskiego (2012). Publikuje ona we współpracy z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku serię monografii indywidualnych i zbiorowych poświęconych między innymi Teodorowi Bujnickiemu, Juliuszowi Słowackiemu (III tomy), Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu (II tomy), Stefanowi Żeromskiemu (II tomy), Zygmuntowi Glogerowi, Stefanii Ulanowskiej. Ukoronowaniem prac Jana Leończuka jako dyrektora jest przeniesienie w Białymstoku zbiorów Książnicy Podlaskiej z ul. Kilińskiego 16 do nowoczesnego gmachu przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie 14A (dokonuje się to na przełomie 2015–2016 roku).

W roku 1983 Jan Leończuk ożenił się z Barbarą z domu Borowską, z którą ma dwóch synów: Andrzeja i Antoniego Łukasza. Niezmiennie wierny Łubnikom, Zabłudowowi i Podlasiu. Z przekonań – jak jego mistrz, autor *Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej* – „postępowy konserwatysta”, chrześcijanin i „romantyczny pozytywista” (jak pisywano o Zigmuncie Glogerze).

Przed wszystkim – poeta.

DEBIUT POETYCKI:

*„Kontrasty”
(1970)*

CZAS USYCHA W TĘTNICACH

czas usycha w tętnicach
i ucieka bezpowrotnie
w strugach niezatartych sekund minut godzin

czas ucieka
w śpiewie zachrypłych kogutów
czas ucieka
w próżnię pełną napięcie
czas ucieka
w zwapnione tętnice starej kobiety
czas ucieka...

i spiżowym wiekiem zamknięty
usycha w tętnicach
bladych chryzantem
ściętych pamięcią
...czas usycha w tętnicach...

KONIEC

życie rozwiązuje
gordyjskie więzły

los staje przed bramą
życia
jak w Canossie
zebrze
o szczęśliwy koniec

POZA IKAROWYM LOTEM

zajrzy świt w podniebienie
naszego znoju
a my schodzimy z mostu
w dół

szumiące jeszcze
zbierać Ikarowe pióra
napęczniałe lotem
wolnego pejzażu

— — — — —

klecimy z desek godzin
klatkę
naszego trwania
w której zostanie
powietrze

Rachunek
(1973)

FERETRON POD WEZWANIEM MATKI I OJCA

w feretronie
usnęła moja matka
z bochenkiem chleba
rozciętym w pół

z drugiej strony
anielsko
uśmiechał się ojciec
karmiąc ziarnem
zgłodniałe ptaki

w feretronie
ubrani w błękitny uśmiech
z faryzejskim gestem
ojciec i matka
odwrócenie od siebie

świętymi plecami

* * *

dopaliła się głowa słońca
dotykając cienistej ziemi
a to święty Jerzy ostatni akt
rozgrywa z krwawym smokiem

otulone ciszą obrazy strzegące kufrów
obudzone zapalały złotem
przybrane twarze

ciemna skóra jaśniała
drgały
martwe wargi

święty Jerzy
wycierał krwawy miecz
o rozścieloną trawę

kurtyna spadła tak nagle
że trudno było zamknąć
oczy

* * *

w księżym ogrodzie
w rajskim sadzie
aniołowie malowali jabłka
farba z nieba
przeszła w tęczę
która obumierała w sadzie
księżym
apostołowie mieszała farbę
według najlepszych receptur

a Judasz wyciągał obcęgami
robaki z jabłek
tłukł je na kamieniu
ażę mlaskało
na plebanii

MILCZENIE

w Kanie
woda miała cierpkość wina
 ale wszyscy pili
 patentując cud

i ja piłem wino
czułem w ustach wodę

milczałem

* * *

za pagórkiem
na rozdrożu
matka liczy ziarna piachu
sen już zmorzył
sen umarłych
cała wioska milczy echem
tylko matka
na rozdrożu
piach rozlicza po imieniu

na kamieniu
drzemie ojciec
liczył na nas po dawnemu

czas rozlicza
ten rachunek
ojciec z matką na pacierzach

UCIECZKA

odchodząc
zostawiasz czas
drzwi niedomknięte
i klamkę nadziei
kiedyś
postanowisz oczyścić
swoje imię
czas podzielić
między pamięć
a zapomnienie

odchodząc
patrzysz za siebie
jak czas skraca ci
drogę
ucieczki

MISTERIUM

ojciec
na przednówku
kładł dłonie
na ostatni
złoty bochen
błogosławiąc
czas nasycenia

teraz przed nocą
też wyciąga ręce
chce je położyć
na staczające się
słońce
by zatrzymać
biegnący czas

NIEDŁUGO ŚWIT

matka moja
wyciąga ręce
prosząc o życie

zapalam świecę
zapatrzony
w zachodzące powieki

– niedługo świt – powtarzam

NIE ZNAM SWYCH MYŚLI

zawsze niepewnie biorę pióro
zawsze niepewnie dotykam kogoś obcego
zawsze niepewnie patrzę w każdy zakręt
zawsze niepewnie stawiam kropkę

coraz pewniej trzymam w dłoni
nóż

* * *

tu porodzi jabłoń jak matka nasza
niepozorne zawiązki
piąstki owoców

przez sad zachodziło w ciążę
wschodzące słońce
owalem brzucha

tędy szli nasi ojcowie
odęci jabłkami rozkoszy
na wieczorne poszukiwania
zakazanego sadu



JAN LEONCZUK

żalnik

POJEZIERZE



Žalnik
(1979)

*takie proste jest życie
że każdy zakręt
boli*

Siostron SJE

Gorzkie żale

* * *

Jasi Kluczewskiej

pieje we mnie kur tęsknoty
trzykroć pieje w nagłym świetle
słowa grzęzną kluczem śpiewa
gorzkie żale moje żale
wyplątane z nocy gęstej
chleb rzucony w gardle gnecie
słowa płyną jutrznią gasną
w pogorzele ranek wpływa
bandażami sznurowani
krzyk w milczenie zamykany
kogut pieje cisza dzwoni
Piotr ucieka w puste pole
Mistrz w pokoju już bez klamek
cierniem mierzy miejsce rany
budzik dzwoni wymierzony
Mistrzu słowo na początku
Mistrzu teraz słowa słowa słowa
Mistrzu wejdź w te gorzkie żale
marginesy pozaplataj

czystą kartką
dzień się łamie

* * *

samotne noce czarnych ortalionów
ścian przyczajone wciąż czekają czekają
życiorys swój bielą zatrwożeniem nocy
uśmiech zawraca ortaliony bledną
z lancetem śmiech się w sercu gnieździ
dokąd twój tętent krwi w pośpiechu
wracają cienie chocholaste w słońcu
z wyprutej słomy dusze w niebo
cienistą ścieżką aby w jutro
karnawał w nocy owija westchnienia
i tylko cisza głaszcze obnażone ciała
samotne noce samotnych poetów
w pustce się rodzą hałaśliwe wiersze



Sokratowi

sowi wór niebem pędzi
czarną strawą pierepołochy
sierścią orze ciemny ugor
krwisty wściekły pies tęsknicy
wieże płoną smoła kapie
kwiaty kwitną w lęk otwarte
z boku krew się z wodą miota
garścią ziela sierścią krowią
zmyty wchodzi w mocy cień
pęka dom od wrzawy pełen
ptaki znaczą nowy dzień
cieniem wschodzą znów powieki
stąd i dotąd wiem i nie wiem

ojciec wstaje ziemia pęka
matkę do uwodu wiedzie
płoną świece w puste gwiazdy
gwiżdże kos i trawy legną
pachnie piżmem воск dojrzewa
matka u ołtarza kona
w wodzie świętej naga leży
dzwon się łamie w tłustych drzewach
na plebanii marsza grają
niebo woła serce rośnie
w górę wyrzucić czerwień w niebo
zgrzyta zęb w kościele święty

Jurij w życie włócznie toczy
dzień ulepia z potu cienie
duszność w gardle ością ryby
światy Jurij u nieba uziaty
sachrani mienia u siebie

matka w wodzie pieniądz topi
dzwon zachrypły nie rozpacza
w drzewach anioł jak zakładka
gorzkie żale pozaznaczał
ludzie z domów przybywajcie
dusze swoje zamaczajcie
kijankami bielcie ciało
rozpłyńcie się me uciechy
płaczcie grzechy dla pociechy

rozpłakało się przykościelnie
wierne krzyże popadały
na kolanach wiozą siebie
sekretary posowiali
wietrzą twarze z korków biją
kapiszonem dzień witają
cukier płynie naradą
smok skrzydlaty siada zadem
pada strzelon między oczy
pot zasłania taniec wbiega
proboszcz kontrabasem pieści
w te i nazad pławią wstążki
niebo w ziemię śpiewem wrasta
alleluja krzak rozmienia
dialog klepiąc w tył pacierzem
w cerkwi rehot świętych bierze

łaskotaniem w same pięty
tędy przeszło nasze granie
na organie na organie
smyk na skrzypcach prośbę gwiżdże
w noc zapadli odpustową
Magdaleno wróć na niby
aureole piasek grzebie
feretrony drżą w kościele
cisza głaszcze puste ściany
brzegiem snu odkryty ropień
stygmatami zapisany
wrócił ojciec na pacierze
w kieszeń zajrzał do stodoły
łzę zamienił w puste oko
w drzwiach zostawił zamię krzyża
powędrował budź wialiki
w księdze swojej sny zamykał
baćko z nieba w wieczór schodzi
łóżko ściele matki czeka
w sen zapada bielmo oka
patrzy na mnie w zegar pisze
w poszwie dnia zapiszę siebie
w jaśku twojej głowy ciężkiej
serce gdacze trzykroć pieje
w pamięć krzyczę NIE uparte

* * *

Krystianowi Piwowarskiemu

w kolebce mroczno
pogasły wściekłe zabawki
płacz w zimnym sienniku się zwinął

jeszcze pająk dzień dobry
w dzieciństwo moje zawita
spłoszone sny odlecą
w kolebce się robak kołysze

czas zstąpił fałszywą melodią
w kołysce głos matki się nurza
zagrajcie czarną muzykę
karawaniarskie tango – – –

la la la landrynki w ustach – – –

* * *

keli mój płacze keli
słowa pękają w zdania
pieśń wokół nieba uplata
warkocz jego imienia
pod powiekami świta
białe drzewa od nieba
kur pieje noc po trzykroć
mój keli zmęczony zasypia
i skóra pragnieniem odkryta
deszcz wszędzie słońca uśpieniem
keli keli z mej nuty
usłany ciemnym marzeniem
drogi w kwiat haftowane
i ostry przyczajone
keli utkany z marzeń
zakwita w otwartej ranie

* * *

listem niosę nad błękitem
w kopercie zasuszony śpiew
otwarte serce wiatr wiatr wiatr
gołębie spłyną karuzela śpiewa
gipsowe drzewa nucą już ptakami
kwiat niedzielny zaskarżony wędnie
zatrzaśnięty pomiędzy drzwiami
w liście niosę od wczoraj po jutro
list błękitem do nieba wzdychający
i czekanie na czarną niedzielę
a dopokąd życie idzie skośnie
czerpak słów sitem potrząśnie
i milczenie w ciemnym lustrze snu

a dopóki list w palcach uwiera
szarą kopertą przyczajona ziemia
po horyzont psy wyją noc czuwa
gorzkie żale wnet przybywajcie
serca nasze przenikajcie
rozgoszczony na cztery strony
sercem niosę stalowe już serce
w błękit niosę w ciemniejącą kopertę

* * *

Andrzejowi i Waldkowi

wrastasz nocą pod powieką
wrastasz gniazdem krzykiem wrastasz
głos zapada ciemność pęka
serce pędzi konie płoną
grzywą w słońce zapadają
żar ucieka palce łamie
w snu zostajesz pustej ramie
cięty krzyżem od ucieczki
a po niebie płaczą płaczki
hrosz wiałiki zahoryusie
nuocz zastała za stodołoj
światyj czas w zorkach moj Hospod
iszcze słońce za plecami

w lesie pędzą konie krwiste
w krew padają drzewa święte
podkowami kute szczęście
niebo paryżami skrzy się
w konnym w konnym
kopytami niosą jutro
gdzie niczyje wrasta w moje
moje niewiadomoczyje
w tłustym czwartku rzą wracają
w szwie i ściegu każdej chwili
serce tylko w pamięć strzącha
moje senne wędrowanie

nie siodłane moje konie
niedzielami wywołane
w gorycz wchodzą piołun kwitnie
garść na szczęście śmiech
rozmowę na wołanie płacz
na krzyk milczenie

za zasuwą dnia czekanie

* * *

Waldkowi Kunickiemu

w ziemię twarzą zanurzoną w czekanie
wietrzny sen w kościach hafty zakwitły
słońce na palcach w kołysance brodzi
bądź pozdrowiona – lustra w śnie pękają
i czerwiec gra kopytami

szumi koń grzywa las
szumi cień grzywa las
szumi noc grzywa koń
szumi głos
milczy noc

* * *

matka w ziemię wrasta
anioł w zegarze kuśtyka śpiewając godzinki
otwarto ostatnie przerażenia okiennice
szarość z bielą utkana jeszcze czasem pulsuje
włosy płyną napięciem cień drutu w głowie
cień rośnie w koronę cierniową
i śpiew się rwie fastrygą z pieśni
dni moich nie moich dni twoich
zagada lustro raz jeszcze włączone
w telewizorze czarny pomylenieć
dusza zatracona gdzie twoje wahanie
tak tak drga twój zegar na śmierć podłączony

krew kapie w stare konwie
wino w ból dojrzewa
matka w ziemię wrasta
krzyk jej w krzyk się splata
ojcu wdowi psalm
gorzki dzień nadciąga
łóże ugor pola
rdzą przeżarte progi
w oczach strach z nadzieją
kłamie czas strwożony
wiersz splątany w supeł
mieczem nie dotknięty
wnętrze ból rozpiera
śpiew śpiew na mych drogach
czarny biały czarny biały
w ustach krzyk już pęka

omiń żalu gorzki
w słowa połamany
kiedy w szarym świetle
budzę się w swej ranie

* * *

miedze żałobne
pola pulsujące
kwiaty w zielnikach
czarnych prześcieradeł
w życiorysie ciemnym
z urodzenia oddycham
minione drogi
w splątanych pytaniach

o keli keli
czysty jak nadzieja

wrasta w życiorysie
nocne psa skamlenie
z śliną zachwyconą
w pianie mgły szukając
księżyc ponad głosem
ciemnym cierniem serca

o keli keli
płacze już nadzieja

brudny hotel kłamie
w drzwiach klamka ożyje
w skrzypie czas się rodzi

keli – płacz

miedze żałobne
w głuchy śmiech pękają

Świętowanie

UCIECHA

Marecie Wyszyńskiej

dziewki wystrojone
chłopcy przynagleni
czekają

noc w pierzynie dusi
swoje zachciewajki
po dwie

sen odpadł od oczu
odszedł gdzieś na stronę
w tan

twarze ubarwione
krew oberka tańczy
i serce

dziewki nastrojone
na oścież otwarte
jak drzwi

anioł w ścianę uciekł
na tapecie zamarł
przygłuchy

święci odwrócenie plecami
przy wieczornej strawie
posnęli

a ja taki kontent
klamkę obmacywać
drzwi

serce w gardle gdacze
krew radośnie płynie
ku nam

a ja taki prosty
jak stół cztery nogi
pan

kiedy sen na stronie
święci w swym sumieniach
śpią

NIEPOKÓJ

krok – – –
biegiem – – –
w kościele – – –
organ ożył – – –

Sodoma – – –
matka z krzyża zwisa
Ojciec Chrystus
odpoczywa nad rzeką
gdzie cofnąć krok
wszędzie zapytanie
ksiądz pleban w grom się zamienił
niebem się potoczył
jak iskry spadły gwiazdy
w popiół proroczy Saby
ojciec w garnki uderza
na obwiednię zwołuje

w trzy pacierze matka
łyżką błogosławi
Chrystus nad rzeką
obmyśla kazanie

krok – – –
biegiem – – –
ożył czas powrotu

Chrystus bagnetem kłuje
w samo źródło wody
choć krew się zacina
i serce
odwołajcie Czas

— — — — —

biegiem
za siebie
przed siebie
w Mrok

* * *

i ja idę
krok po kroku
przemierzam siłę na zamiary

przez Polskę
na ukos
z makatki na derkę

a tu słowa
takie święte
na zapusty zaproszone

noce białe
rozbudzone
strachy gubią się po drogach

święci drzemią
w złotych ramach
sen unosi się nad nimi

tylko ojciec
ciągle błądzi
szuka w swej pamięci syna

tylko matka
z kołowrotkiem
zapisuje swoje dzieje

długie nici
długie zimy
wiatr unosi puste słońce

ojciec z synem
połem wraca
aureole zapalone

a nad nimi
biały anioł
z makatki uleciał

a pod nimi
ciepła ziemia
zabiera ich ślady

ptak goreje
dzikim krzykiem
w kosz schowany horyzontu

a tu słowa
takie święte
w usta nasze weszły

matka idzie
co dzień szukać
w piasku moich śladów

a ja idę
nie nazwany
szczebiot słów przede mną

* * *

Pani Halinie Kluz

tną się drogi
jeździec krwawi
pasmem celu i udręki

słońce gaśnie
cień wyrasta
kamień modli się natrętnie

słowa kłamią
język cierpnie
wydmuchrzyca już zasiana

tylko w polu
siwy ojciec
milczy w ziemię wryty

tylko matka
o północy
na rozstajach kłamie

tną się drogi
a ja krwawię
w środku jeszcze nie poczęty

choć żyły
nastrojone
grają koncert purpurowy

choć oczy
wygaszone
w sen zapadły po źrenice

a ja w środku
nie wskrzeszony
samobójczo biorę słowa

tną się drogi
krew się ścina
zdania gubią się na amen

* * *

za pagórkiem
na rozdrożu
matka liczy ziarna piachu

sen już zmorzył
sen umarłych
cała wioska milczy echem

tylko matka
na rozdrożu
piach rozlicza po imieniu

na kamieniu
drzemie ojciec
liczył na nas po dawnemu

czas rozlicza
ten rachunek
ojciec z matką na pacierzach

PORTRET

Rodzicom

ojciec z matką
uskrzydleni
w ramie świętej skryci

czarny ojciec
matka biała
kwiaty w ręce jej wetknięto

i zdziwiona patrzy
wkoło
łowi uchem wszystkie szepty

a tu niebo
otwarte
rozkosz w gardle skacze

a tu łóżko
nie ścielone
ręce drżą namiętnie

a tu goście
zaproszeni
pod sufitem tańczą

matka posmutniała
ojciec wąż podkręcił
i zapadł w milczenie

czas zaparł nogami
w ramie się rozmieścił
i czeka natrętnie

a matka w welonie
ojciec głośno chrząka
że to czas godowy

teraz tylko nocą
matka głowę kładzie
na ramieniu ojca

zawsze zapłakana
chustkę w dłoniach gniecie
i śnieżysty bukiet

matka moja
w złotych ramach
zawsze czeka jutra

MISTERIUM

ojciec
na przednówku
kładł nasze głowy
na ostatni
złoty bochen chleba
błogosławiąc
czas nasycenia

teraz przed nocą
też wyciąga ręce
chcąc je położyć
na staczające się słońce
z nadzieją
by zatrzymać
biegnący czas

* * *

płacz palce rozmienia
to sen
to marzenie
to przeszło
to nie przyjdzie
to pusty czas czekania

gdzie sens gry w zielone
gdy w ciemny głos
purpurowy taniec
nadchodzi

na palce beczynne
na język co z drewna
na głos co w skrzypie
swój pacierz odmienia

na krew co zostaje

na deskach strwoniona
pod nogami w stopach
w skórze na językach
w głosie i w powietrzu
ponad taniec wchodzi

krew pana – nie Boga
krew święta – nie święta
krew bez ujścia – uciekła

płacz palce rozmienia – – –

nie pytaj o sens wiersza

KOLĘDA I

Pani Ernie Sandel

przebiegła gwiazda niebo
na przełaj

zaśpiewali anieli
niezrozumiałą modlitwę

urodziło się Dziecko
nietypowo
w żłobie
sianie
byle jak

a potem gwiazdy pogaszono
woły odeszły
pastuszkowie posnęli

Trzej Królowie
z karabinami
przyszli

KOLĘDA II

z gwiazdą
pod gwiazdą
z zajazdu

szli do betlejem
po kryjomu
po swojemu

aby go powitać
o zdrowie zapytać
i w szklankę zastukać

szli po zdrowie
za zdrowie
za gwiazdę

a stajenka pusta
nie było co chuchać
i wiatr w szkło zawodził

w dzień święty
zakłęty
z pozdrowieniem szli

całowanie nieśli
i zsiniałe nocy
i gorący chuch

i kolędę nieśli
przełamaną w pół
że Chrystus odjechał
czarnym mercedesem

z gwiazdą
pod gwiazdą
z zajazdu

Niedługo świat

NIEDŁUGO ŚWIT

matka moja
wyciąga ręce
prosząc o życie

zapalam świecę
zapatrzony
w zachodzące powieki

– niedługo świt – powtarzam
niedługo świt

* * *

przez płuca wolność
z kopytami strachu
z dzieciństwa koszulą w zębach
poprzez białe łąki
poprzez drzewa krwią nabiegłe
zdania uciekające w pole
poprzez ból stłoczonych snów
zamiast drzew nieczuły termometr
śmiech zsunął się od przyjaciół
bielą snów bólem oczu zza okiennic
słów krwią spękanych do słońca
na wolność za wolność
czas w czwórki w dwuszeregu
zbiórka

* * *

wiersz opadł i nastała
pierwsza cisza
dreszcz snu zakolał w krtani
nie ma domu pustego
i zabitego dziecka
nie ma śmiechu
rozbitej klepsydry
nie ma brzegu
szkła lornetek kłamią
tam tylko podszywka snu
wiatr umocnił się w wierze
wiersz opadł
deszcz współczująco
ucałował blizny

* * *

lecą ptaki bielmem strąconym
emigrują sny za siódme poty
za pagórki słów wiekuistego zsypu
pustych ogrodów w jesieni zdania
klaszcza marzenia pogubione
wiatr już w ogrodach wiatr już w snach
mleczce na niebie dziewczęcym śmiechem
na rozdrożach nie pytany czas
w obereczek na przełaj przez las
tak zagrać na fujarce do krwi

neon różą sztuczną w ogrodzie
zapalił się i zgasł
bielmo szronem pieczęcią snu

* * *

wśród słów o wczoraj na jutro zamkniętych
poprzez sztachety poprzez płot poległy
i kwiaty ogrodów kwitnących na dobranoc
ktoś porozpędzał zwiędnięte legendy
krew wypłowiwała na rodzinnych chustach
w niebo już weszły niepotrzebne Marie
i w grobach pusto – – –
zza szybra strachu w serce kołkiem

* * *

szumi noc
pędzi koń
deszcz dotyka
twardych rymów
w suchych stawach
oście rybie
arka w błoto
zagrzebana
w suchych słowach
papier wzdęty
deszcz odpływa
oczy śnięte
jeszcze jeszcze
gość spóźniony
w stajni serca
człeka szuka
szumi noc
rozkiełznana
aż do rana
aż po ranę

* * *

gdy wrzód narodu pęka do połowy
w suficie rośnie żyrandola grzyb
ciemne naczynia niosą smutne Marie
na skrzyżowaniach milczą
wracają wracają
w słowach załamane
słów prostych szukają
milczą skrzyżowania
milczą ciemne Marie

* * *

a do Damaszku kręta droga
zakręty biegną nie za nami
z neonu błyskiem
z krwi westchnieniem

którędy Panie
i na których drogach
słowa już ogniem

konie strwożone
biegną przez sumienie – – –

– – – Szawel dotknięty paraliżem

* * *

Bogdanowi Tadasowi

i szły samotne Marie – – –
w pokrzywach dzień się chłostał
słońce kopytami żar krzesa
bądź pozdrowiona niewiasto

na krzyżu samotny człowiek
Bóg w nim zapisał swe imię
w niebie hałasują dobre dzieci
bądź pozdrowiona niewiasto

na ziemi piszę patykiem
zdania coraz ciemniejsze
gdy jasność w oczach zaświta
bądź pozdrowiona niewiasto

* * *

ślady na ziemi popękały
duszny dzień krawatem spał niebo
rąbkiem chmury zgniłe jajko słońcem
cień zmierzchem w gardle zaskoczył
i noc spadła na amen

czy wiesz pytam
gdzie ślad się zamyka
którędy zmierzch wraca

czy wiesz zapytałem
sam siebie
ile lat pogubionych śladów
szukasz – – –

* * *

przekłuty dzień
strzykawką krzyku brzęknie słońce
zapachem śmierci kadzą ciało
milcząc dobijam swoich brzegów
i zstąpił cichy szept południa

wewnątrz stygnie
czarna plama kropki
co tylko tuli zdanie serca
i tylko czasem kot zapłacze
bezsensowność wraca
płotem marzeń

LITANIA

Bogdanowi P.

na stole leży chleb
nasycony naszym głodem
z głodu nasze pragnienie
pragnienie krecie
kret wyszedł po światło
wrócił ślepy

na stole leży chleb

oto Boże
nasz sens

POŻEGNANIE OJCA W MAŁYM MIASTECZKU WIECZOREM

na straganie sprzedany Ojciec
stoi

płacz gaśnie powoli za miastem
skręcony w kłębek uciszonego bólu

tylko Ojciec rozgrzeszony z twardych myśli
opływa w cukrze anielskiego zwątpienia
zniecierpliwiony ogania muchy
docierające do lukrowych źródeł
świętości

czeka w cieniu aureoli
wniebowejścia
trwożliwie patrząc
na osypujący się lukier

MADONNA

jedno odrzuciła
inne poroniła
do miasta uciekła
przez płoty
przez lasy
suknię z drewna zdjęła
kremliną się przykryła

madonna współczesnych

PIOSENKA

maleńkie ziarenko goryczy
kołacze w serce i pyta
czy dzieciństwo wraca

maleńkie ziarenko nadziei
w krwi płąsa tańczy i śpiewa
powraca powraca powraca

maleńkie ziarenko tęsknoty
po nocach ciemnych wciąż błądzi

maleńkie ziarenko wciąż pyta
pytanie rodzi pytanie
gdy zmrok skóry
ucieka w świtanie

maleńkie a tyle goryczy
nim kielek w słońcu się nurza
z ziemi wyrasta milczenie
w maleńkim ziarenku
powtórzy pytanie

* * *

i wszystko zaraz się uładza –
gdzie stąpić zaraz mrok nadciąga
zasupła usta ściśnie gardło
ostatnie słowa powytrąca
i choć niepokój gdzieś urasta
a ręce drżą jak refren pieśni
i choć tak trudno dobyć słowa
ażeby zawsze było święte
i wszystko zaraz się uładza
koniec z początkiem się pobratał

* * *

odchodząc
zostawiasz czas
drzwi nie domknięte
i klamkę nadziei
kiedyś
postanowisz oczyścić
swoje imię
czas podzielić
między pamięć
a zapomnienie
odchodząc
patrzysz za siebie
jak czas skraca ci
drogę
ucieczki

*W drodze
do Damaszku
(1980)*

* * *

Modlitwa dedykowana Jankowi Z. Janiukowi

gdy płoną nasze głowy Panie
ognisty ogród w nas porasta
deszcz ześlij Panie w słowach czystych
i przyjaciela daj nam poznać Panie

zapomnij blizny krwawe szarym świtem
szew nocy błądzi polem hakeldamy
niech nasze słowa odwagą pisane
oddal srebrnika szeptu przywołanie

zapomnij zdradę wybaczyć co niewierne
wszak miłość nasza Twoim darem Panie
nie daj rynsztoków zlizywać słodyczne
pianą zachwyty nie unosić nas Panie
by w nas wzrastało skamieniałe niebo
nieczułe Twojej prawdy Panie

przed nami śpiew pozostaw czuły
w rękach błędzenie strawy ciepłej zdanie
a gdy wrócimy z płonącym sumieniem
przytul w nas synów marnotrawnych Panie

* * *

a może Panie jedno słowo
zapalisz w gwieździe betlejemskiej
w asfalcie znajdziesz naszą stopę
w ucieczce w pomyłone wiersze

a może Panie zejdziesz z nieba
wypijesz piwo w martwy wieczór
zakaszlesz kiedy noc zaśpiewa
chrypiący refren zdartej pieśni

a może Panie jedno zdanie
powtórzysz w pustych ścianach domu
gdy sąsiad ręce swe umyje
w wieczorny rechot w sen pościeli

a może Panie tu zamieszkasz
gdy grzyb ze ściany każe zamilczeć
powtórzysz swoje zawołanie
apostoł wróci rannym śpiewem

a może drogi do Damaszku
wybiegną przerażone w pole
i nikt nie wróci pokonany
by wiersz Twój śpiewać w czas niedoli

* * *

Chrystus przystanął
zziębnięty o świcie
skostniałe ręce do krzyża przyrosły
ktoś podbiegł
chciał pomóc
ktoś powiedział – przestań
Chrystus krzyż tak pokochał
że odrzucił życie –
resztę zdań skaleczono
z boku krew zakwitła
i Judasz zarechotał
niosąc całowanie

* * *

Wróć Panie do mnie w kalekim wierszu
ciemnym drganiem wieczery tańca
przed świtem nagłym w przerażeniu sennym
zatrzymaj serce moje gdy kur mnie rozśpiewał

Odwróć wołanie w szepcie krwi spragnionym
wycisz gwiaździste głodem we mnie niebo
oddal zakręty ciała progiem drzwi ciemnych
wykłutych okiem wymarłych nadziei.

Ocal skomlenie we mnie ból tej wiary prostej
sny ocal we mnie Abła przerażenie
niech wierszem przejdą oddalone cienie
i czas poderżnie gardło w modlitwę
milczenia

* * *

a kiedy ciemność zaskoczyła w drodze
krwią krtani ściśniętej palcami księżycą
na białym wozie modlitwą usłanym
– za horyzontem piołun na podwórzach –
psy nadaremno wzywają legendę
a w pustej budzie ość rzucona drapie
ciemność wpół zdania a biel snu ogromna
śniegiem spowija bandaż jesienne
w serce wpadająśmy tajne światłem lampy
i zdarte refreny porzuconych pieśni
pijawki dróg chłodem w nas wchodzą
Ojciec ułańską szablą ciemność żegna
Matka wciąż śpiewa – Boże coś Polskę przez –
– przez nasze słowa w milczeniu spisane
ślady wyblakły pamięcią strwożone

Duszna noc
(1981)

Jankowi Z. Janiukowi

Duszná noc

Uwaga, uwaga, Pasażerowie wysiadający z pociągu proszeni są
o sprawdzenie, czy w wagonie nie pozostał bagaż ręczny.

Uwaga, uwaga...

zostawiam swoich kilka cieni
w pociągach których nikt nie wstrzyma

* * *

błądząc w przełęcznionej nocy
zbiegałymi wargami zsypywać pacierze
godzin
– zaczynajcie wargi nasze –
jeszcze drga wróbel na poprzeczce snu
jeszcze dygoce ranny anioł
na piersiach w resztce minut
mrówki sekund skórą przeszły
– zaczynajcie opowiadać cześć jej niepojętą –

cisza
siostró biała z kwiatem rtęci
maciejka denaturatem wyciąga głos
uwiązany najwyższej struny gardła
krzyk w oczach przeciął świt

na najwyższej strunie kołyszą się wróble

cisza
matko czarna czarnoziemem pisana
malwo okienna śmiechem prosto w burzę
i płótem martwym zaleczona zieleń
pelargonie pośnięte w oknach
leniwe koty na bezdomnych fotografiach
jeszcze jeszcze
robak śpi w kołysce
lulajże lulaj na moim przesłaniu
do ciebie nocą drapię słowem
w szybę pustego domu

kot śpi uparcie na fotografii
jelenie płaczą
w ciasnych ramach
panu już dwudziesty ósmy
powtarza sen
i chłopak napięty
na wietrze krwi dotyka
matka ojciec dzieciństwo dom
dom ciepło szept
szept południa w upale w cieniu czoła
czoła młodzieńca nagiego
nagiego rysuje na piasku
czy ślad ptaka
człowieka
martwej ryby
zapisać piachem
ziarenkiem snu
czy zatrzeć ślad zasypać piaskiem
głową w piasku na jutrzejszy dzień

gra mój sen
akordeonem śmiech zafalował
brzegiem wyszła raduha
zamiast skrzypiec
ślepy flet
noc szła zamiast śpiewu
i bombonierka śmiechu rozsypała się
po drzewach złożonych
na grzeszną noc

– dlaczego święci śpią z otwartymi ramionami –

biegnę do brzegu
zanim brzeg okaże się rzeką
i coraz dalej od snu
coraz głębiej w życie
z ciemnej nocy
rozwijam cukierek za cukierkiem
robak pożera pozłotę
i tylko czasem
pszczoła
na starym płótnie
zapłacze
kręcąc się wokół zaciśniętej pięści
kiedy cień dosięgnie
w zielonej ulicy – w pelargonii okien
duszne prześcieradła południem otoczą
i łkanie szczęścia
nim szczęście przepadnie
zanim kurz w oczach zapachnie maciejką
kiedy cień dosięgnie
wiatr wiatr brzytwą snu
krwi na jawę
róża zakwitnie na prześcieradle białym
komunia spadnie ziemi
zielem niesie czas z zegarem w oczach
na prawo most
na lewo most
i krew krew brzytwę niesie wiatr
zaśpiewaj
gdy ciało gra
harmonia wypełzła na piersi
mruczy kot
ciepło w gardło weszło

– bądź pozdrowiona – – –
krew gra oberka – – –
drżysz skórą zanim sen
nie ubije targu z wiecznością

i miasta swoje w ulice naciera noc
w czerwonych oknach płoną kobiety
harde piersi wzniesione w niebo
śpiewają pragnienia pragnienia
pragnienie

sucha noc wśród nieczulej krwi
jak poemat na kartce papieru
a we mnie łka głos
zanim sen grosz swój przeliczy
i wejdzie cisza
kiedy grom zmarłych dotknie
czern potoczy się bezdomnym guzikiem
na zagubione szczęście moje niczyje
potknie się we mnie zegar
spóźnienia gderają minuty
rosochaty księżyc dziurą w niebie
szew świtu

– – – a we mnie zmęczenie
konie płaczą gdy płoną im głowy
pianą się dusi
chińska noc za twym ramieniem
w kokonie dłoni
biedronka śpi

wracają już jeźdźcy w zbroi Jana rąk bezradnych
wstydliwych szeptów sennych krzyków
upadłe anioły rozczesują włosy
na kamieniu szpilka odtrąconego snu
w trawie porzucona nadzieja

jeszcze anioł dobry wieczór
zza butelek poszarzałych drzew
słońce w szyjce talię mierzy
w oceanie piję mleczną krew
zagrał grzebień snu
z wyłamanym zębem

i pozostał w feretrze ciemny śpiew
a tu trawa konie przełamane snem
po drabinie pnie się powojem głos
fastrygując zdania

a ty śpisz Mario
nie domknięte okiennice kaleczą
blask drży
na spoconej dłoni zakwitła kropla krwi

konie biegunami zawrócą świat
zakołysz nadzieją na wiatr wiatr
splątany dzieciństwem
a posłyszysz jej brzeg
opustoszały
i zaczerpniesz wodę
i podzielisz rzekę
i zawrócisz rzekę

w krzyżu zamiast gwoździ noże
przecięły niebo
przecięły ręce
zawiązały ręce zamknęły niebo
i górą potoczył się nów
w świeże rany

będziemy niczym topór
zanim ogień przytuli

Eli Eli Elżbieto
konie moje sny supłają
w pamięci kepi na twój głos
długo długo długo
szły we mnie zadumane Marie
mijały groby grób
szły wpisane w gwiazdę
szły w legendę swoich snów
groby pełne brudnych lat
zostały

i szły Marie
nie zaznaczony czas
kwitł w doniczkach
gipsowy Chrystus w grobie śnił
zwycięstwo

— — — a ty śpisz
czerwona noc firanek okiennic
stygne niczym wiatr
chaber nocy
wiezie wóz

cztery konie sięgają już do nieba
i płonie noc

wejdę dach twój pisać
pożarem ciała ognie stłumić
zapragnąć ciszy wierzyć ciszą
i w ciszę złożyć to co z ciszy

* * *

szelest snu robaków
nocy pędzących pociągów
jad płynie żelaznym sznurem szyn
wiją się cienie czarnym głosem biel
przeciera oko zdarty strop nadziei
i liszaj przebudzonego za wcześniej poranka
tkwi wróblem umarłym na bezdomnym dachu

idziemy aby wracać i nie pytać o nic
drzwi zamknięte wyłamać nad pustką zapłakać
dłoń w pustce zawiesić
echem odpowiedzieć
idziemy i wracamy wracamy idziemy

i gra szpitalna cisza włosy odpływają
rękoma oddalam poza zakręt lasu
bieli rozgwieżdżonej prześcieradeł nocy
krew kropla po kropli odlicza czas
jeszcze wstać kiedy mrok skomli
u wciąż zamkniętych nadzieją drzwi

* * *

nocą wstrząśnięty dreszczu raną
w pustej kieszeni słowa giętke
zdania ujęte poza klamrę drżenia
i naga skóra znakiem zapytania
w noc się owijam poza słowa wąskie

pan taki trudny
z lilią z bladą twarzą

pojutrze wrócą chóry archanielskie
niebo stereo zaklaszcze stopami
w kręgu zakętym aż po zawrót głowy
i zawór czasu sumieniem odpowie

pan taki prosty
stół cztery nogi

pociecha strawy i chleba lepkiego
słów wiekuistych w jutrzejsze kichnięcie
po kubek z blachy posłuszny wygięciem
po drobnym deszczu rynna płaczu
ulewą szczęścia nie pytasz imienia
zasypiasz w piachu głowę snu
w marzenia zwirowanej ścieżki
po krętych drogach wilki wypłoszone
czerwony kapturek z babcią piją piwo

pan taki senny
w zamkniętym wezgłowie
pan w alkoholu macicznych ucieczek
zgięty posłusznie w błotne łona śnisz
po tym z zapadłych wiosek wspomnienia
trzej kaci z darami honorowej śmierci
trzej kaci z poduszkami sławy wiór wiekuistych
brzęczących denarów zamiast belek krzyża

a potem cisza
proszę pana
niedzielą urżnięta
tygodnia nie zliczy

* * *

noc kocem reumatycznym
w skrzypienie serca
w malignę tęsknoty
a kiedy a kiedy
a kiedy

tajniaki lata przychodzą
odliczają przeżytą gotówkę
sklep patrzenia na żaluzje oczu

spokojnie
proszę pana

kilogram za kilogram
za miedzą lata pogubione
pobekują nie dojrane wspomnienia

spokojnie
proszę pana

tyle gości
i kwiaty coraz żywsze
gadają aż po północ
– pani jak róża
otwiera się rosą
nocą na oścież drzwiami od serca
a potem chyłkiem za lilie
tacy wybieleni w biel
a pani taka róża
prosto z ogrodu sztucznych zębów
z pagórkami niespokojnych piersi

i tylko czasem kropla potu
potoczy się posłusznie

i noc zatrzaśnie okiennice
w ramionach oddech
krew biegnie na przełaj
serce zdziwione oberkiem

zza węgła ciemność drga
aniołami z elementarza
to jest Mrok
mruczy kot
a to Głos
włos nie dzielony

a potem broszka księżycy
zamrugła w źrenice gwiazd
i dziewczęta zachichotały niebem
na jutrzejszy deszcz

kropla za kroplą
wyływam poza margines

horyzont zamazany upstrzony muchami
dotąd aż przyplynie światło raduła duhą
w kleszcze
za pasem mgła
zmęczona
zaśpiewa
ła

* * *

z łupieżem czasu
w zapalonych gwiazdach
z knotem księżyca
nafty nieba ciemnego

pytam

śpiew w skibach zapomnianych
oracze piją piwo kwaśnego czasu
idzi skul przyszou
dzie biełoje niebo
hlanie inaczej
idzi idzi
ziemia ciężkaja
buty wielikije
sznurowadła krwieju
idzi idzi
Boh twój
iszcze Zorki
maleńkije padkowy szczaścia

nie ohledajsie na darohu

spaliłem siebie
popiół śmierć odrzuci
iskra zgasła w samotność

idzi
ciężkaja nocz

duch zapieraje
stodoły kryczat
ciemnym chlebom
kuferok nucznicą
tancuje u remizi
dźwiery nocz prejeła
i biełoje niebo
żre oczy

krykom idu
wyhonami na sproszczki
i sztoraz hłybiej u ziemi
i krou od nowa szumić
u ciepłym
haraczym jak prysok sercu
– kryczau sztoraz hłybiej
u ziemi –
twój manach idzie
biełyj jak paślednia hadzina

znou nocz i ziemia i siabry
strawa razhaworau styhnie
maci biełyje pałatna
u niebo posyła
a ty tak blisko
szto twoje serce z makatki
krużył uże po chaci

nieszczęśliwa godzina
ziemi się boję

rozwidnia się wierszem
połamany w zdania
z ziemi z karuzeli
pogubionych przedmiotów pojęć przyjaciół
przypięty nawykiem dni
wiruję raz jeszcze
raz jeszcze
 pluszcze krew
 grzebień deszczu
 rozczesują ciemność
krew – woda – wino
a na ziemi
 krew życia
 woda życia
 wino życia
a na ziemi
 krew śmierci
 woda śmierci
 wino śmierci
znowu bielmo bielą
zastrzyk o północy kurem śpiewa
kołysankę jedwabiem wyłaną
 wtulić się w sen
 w serce snu
 powrzucać marzenia jak dobrą monetę na dobry czas

bumerang życia pomylił drogę
tylko ślady wiatr przywołał
zasypał dla porządku

 biły monastyr
 dzwon bielą się rozkrzyczał
 niebem koślawy dzień znaczył

– idzi – wiernisie – idzi – wiernisie –
– idzi – – –

ojciec w polu usnął
miedzą anioł drepce
– idzi – wiernisie – idzi – wiernisie –
Magdalena w Staromiejskiej
w piwie niebo podziwia
anioł snu się domaga
nóż strachu w niebo się sroży

i płynę w ziemię
płonie piołun serca
gdacze kogut zgodliwy
grzędy czasu nie ma
tylko siwy ojciec
gołąb trwożliwy
dziobem w dół

* * *

oj dożali dożali
budziem życie żali
korowaju napieczem
zatańcujem u nocz ostatniu
oj letka ja ziemia
piesok hrudzi hryje
oj budziem nohi hryli
dubowyje nohi
oj na ziemi zydziem
ciemnu nocz zozwiem
zahraje harmonia
czornu kołybielku
oj pohasim zorki
i prydoczem miesiec
oj sażeń ziemi
zarehocze zarehocze
mnoju



Boże wielikij
już za siódmą górą
strzaskana arka
w dekalog pacierza
śpi na przypiecku
a w otwartym oknie
kicha antyfona
po rozwarłe słońce

ptaki na wietrze świt rozdmuchują
mleczce kwitną i dojnie
południem zwała się słońce
prosto w serca otwarte
w kwiatki wzór sokrata
haftowane

zakwitają lata podeptane nocą
cisza kwili zza węgła napoczętym latem
odkrytą drogą wóz terkocze
godziny skrzypią w pluszowym życiu
i tak dalej i tak dalej i tak dalej

potoczyło się następne zdanie
wierniejsze o łzę z komody
o jedną pauzę nad własną kroniką upadków

w pragnienie ciepła węzem zdania
syczącą noc jadowitą w gwiazdy
zasłaniasz ziemią płachtą wiersza
i piszesz głos swój bielony nadzieją

kiedyś przylecą wiosenne nagietki
deszcze rozmyją się w zakręty
obwarzanek radością posypyany cukrem
zakwitnie na niebie śmiechem gwiazdzistym
i manna piaskiem w oczy snu

ziemia urodzajem spłynie
zdania zacięte zamki zapytania
otwarte na oścież kobiety brzemiennie
miodem karmiące nie poczęte słowa

.....
.....

JAN
LEOŃCZUK
**Duszna
noc**
OSSOLINEUM



Listownik

* * *

jeszcze jeden płacz nie zastygł
w powijkach szeptu
jeszcze słów paciorków
nadzieja nie nawleka
jeszcze cisza skłócona
a już nocą narkozą

dotyk cięższy nad wiersze

potem skóra kwitnie
jeszcze gdaczą godziny
jeszcze cienie uparte

czas już drzwi serca wyważa

* * *

najpierw strach zduszony nocą
ścieg snu po kolorowych łąkach
w kwiatkach w przekomarzaniu się pszczoł
oddechu ciężkiego na drodze zamkniętej
na amen zawiesiną patrzenia
moczonego chleba słów plewiałych
gdy strach wypływa na podłogę
zakurzone dywany odpływają
za oknami stada snów się tłoczą
tosiek zapięty w skórę nagą
ciepłym oddechem wokół szyi
kłóci się dzień przekłuty na wylot
strach biały w pomyłonym prześcieradle
sen stratowany konie śpią zziębnięte
ręce trzęsą drzewo złego

potem już wiatr i słowa rozszalałe
coraz gęściej za naszymi oknami
twarze wchłania sen pomyłony
coraz tłoczniej w nocy zaspanej
ręce splecione w pot i nadzieję
słowa landrynkami opadają

antoś usypia
noc się zwija
w papier
zmoczony
ze szczęścia

TYM, KTÓRZY UMARLI NOCĄ
Z 4 NA 5 MARCA 1977 ROKU

do Ciebie szli
ze snu blizną
wpółsenni
z gorączką modlitwy
z termometrem nieurodzaju serca

do Ciebie szli
w ufność nocy
w białej chuście świtu dojrzeć

kiedy na piasku
odciśnięty but
wsiał w czas litościwy

do Ciebie szli – – –

* * *

mówię do ciebie blizno
zapięta po ostatnie ścięgno
bólęm zakwitała w ogrodzie moim
choć sen osiadł ty śmiechem
drżysz po rosę ciała mówię

do ciebie ojczyzno
w śnie barwnym byłeś ptakiem
narodów
i lasy kwitną za bajecznymi górami

do ciebie słowa
kładę
zamiast chleba
solą języka

witaj

* * *

Joli Grabowskiej

wielkiego miasta słów zapadłych
klamek nieznanych gospód pustych
rąk przemienionych w kamień wzniosły
w słowa rokoko w pamflet nocny
w księżycu martwym na drzewku lirycznym
na ustach bliskich po nienawiść oczu
miłość na raty kupno odkurzacza
wspomnień podszewki ciemnych słów

a o północy może przyjść
z chleba kruszynką
z zapadłej wioski katechizmu
z bajek lamusa

spokojem noc zapachnie

* * *

Synkowi

jeszcze kłamiesz mój mały
w połatany śnie
z wytartym widokiem
na zuchwałe słońce
bezzębnego jutra

jeszcze śpisz
choć sen odbiera
słowom kolorowe broszki
nago obok w garniturze
pytasz siebie o niego

jeszcze mówisz
odwraca się poduszką las
polana martwych jeleni mówisz
ciasna rama
gangrena nocy

jeszcze kłamiesz
mój mały
o życie
o sen

NOC

Pani Helenie Wiszniewskiej

maciejka pełźnie
w nozdrza robak puka
sen pomyłony
w butelce śpi
pod korkiem nocy
walerianą świtu
kot miauczy
pod glukozą wróbla
przyzba się zapada
na amen pacierza
noc w snach roztańczona
klaszcze marzeniami

* * *

Reni Żak

śniegiem budzą się drzewa
pod czapką snu westchnieniem
błądzi w powietrzu noc ciemna
jak anioł poczęty w przerębli
i cisza gra na harmonii

noc fraszek uścisków galopujących oddechów
zza węgła krzyk się kroi
ćma pieści ściany pokoju
i łza ucieka w popłoch pościeli

zasłona spadła szkło pękło
ciszę wygrywa archanioł
w suficie guz przyczajony
modlitwą w kokonie gwiazdy

– gdzie słowa poczęte na łące –

śniegiem drzewa się budzą
i cisza gra kopytami

a potem ręce złożone
w czekanie

DO JOLI ŁUGOWSKIEJ
Z WIERSZEM DRUGIM

deszcz się zaplątał
w głosie las
zza węgła nocy
śpiew rechotem
niebie ukłute
bólem gwiazd
krwią płyną sny
chłopiące lata
nie zaplątane
w chruście zdarzeń
kroplą się toczy
czas gwałtownie
w dzwonach
osiadły sny zrzucone

a potem las
i cisza łąk
terkocze budzik

nie zbudzony

deszcz się zaplątał
w ciszę zdań

TERESIE CWALINIE
NOC W WIERSZ WTŁOCZONĄ

noc przetoczy się
utopi brzytwę rdzawą
anioł przyplynie od krochmalu
w płucach kwiaty załęgną się bielą

dzień rozmydli się
w pianie szarówki głos
modlitwa w poprzek snu
penelopa opóźnia rozmowę

a potem cisza
wydzwonione budziki
martwe dzienniki
i tak dalej
i tak dalej

czas wyrósł w las

ELŻBIECIE DROŹDŻEWICZ
BEZ DEDYKACJI

żałobą pisać
śmiechem łkać
przebrane słowa
za Bóg zapłać
uderzyć w serce
kogut pieje
Szawel dotknięty
słowa łamie
damaszki gasną
noc dojrzewa
na drzewie Judasz
gasi gwiazdy
i tylko cisza
grzęźnie nad świątynią
maciupki Chrystus
gorzko śpiewa

GRAŻYNIE SZYMKIEWICZ-OLSZEWSKIEJ
Z WIERSZEM NA DOBRANOC

w welonie strachu pełnaś nocy
modlitwy schną gdy wargi milczą
w niebo wzrok wszedł tatuażem wiary
pełnaś dawnego lata rzeki odpływają
na starym zagonie ziarno rzepy
na niebie jarmark motylkowych snów
płodozmian ciszy jeszcze wieko waży

żyrandol bawi się z muchą w kreca

SOKRATOWI JANOWICZOWI

a moje serce z chmurkami w chowanego
już poza bólem poza snem strzykawki
w wieczornym obchodzie z twarzą ordynatora
zalanego krwią i alkoholem
w księżycu serce ściśnięte aż spieczone wargi
snu tak wyraźnego że ciepło niebytu
a księżyc słodką landrynkę pragnienia
rechocze wśród wiatru ciemnego skowytu
aby rankiem
blednięciem
zaskoczyć

galopem w życie

ANTOSIOWI ROGOWSKIEMU Z NARWI

płyniesz w obłoku grudką ziemi
ziarenkiem płaczu śmiechu makiem
w zebranych pieśniach niemy robak
refreny z sobą pozapłatał
i cisza spadła w ziemi sen

z czasem kalekie wiersze złożę
łopatą zamkną siódmą rzekę
za siódmą górę cień się stoczy
zapachnie nocą sen maciejki



Sen

I

noc latem przygnieciona
staw śpiewem żabim rozkołatał niebo
i coraz trudniej oddech rozerwać
szkło ze strząśniętych witraży wciąż płacze
spójrz czas podgląda serce
skarbonce grosz czerwony krwią
i ten list ugrzązł w hotelowych serwetkach
papierosami rozlaźl się w oknie zawisł
światła pogasły w zaczajonych oczach
pagórki zeszły się już w górę życia
za którą wysyłasz list po liście

duszną nocą karta liczy
wygrany dzień przegrany dzień

w dłoniach przecież obce dłonie
i śpiewają obce oczy w oczy

II

w łazience sucha noc
wbija nóż po rękojeść
zasuszony świerszcz zza ściany
odgadywał sen
robak pod emalią
giął pytanie
tylko cisza tylko cisza
rozkraczona niby nóż sprężynowy

III

miewam sny pokaleczone niepokojem
niewiedzą kałamarza i wiarą za dwa złote
niepotrzebny ząb ugrzązł za zakrętem dnia
w roztrwonionym bólu
szli Plutowicze Pezowicze Szachowicze
szedł Janowicz
zagony śpiewały
rozkwitały pąki – – –

nóż w niebo wymierzył pięść
na gardle zakwitły stokrotki
choć niedziela szła z pól
przygięta krochmalonym kołnierzykiem
milicjant zastanawiał się
skrzyżowaniem
– komu – na co – po co – dlaczego –
– a oni śpiewali – – –

IV

cisza kapie z kranu słowami
usta spoczęły krew się oddała
ulice zaczajone w zaułki
domy oddały się ludziom
i śmiech – nocny stróż
potoczył się gromko
w sen weszła biedronka
przytulił ją pajak
gdzieś galopowały konie
podkute strachem
i męskie rżenie
niosło się jak łkanie

V

kiedy śniesz
wezwaniami do biura niedorzecznych pytań
rozpaćkanych zdań moczonych w herbacie zmąconej
kiedy nie wiesz jak jutro pogodzić
spojrzeć w swoją twarz z deszczem wczorajszym
z mydlinami gotowymi przebaczyć i zeznać

rękoma z brzytwą na wiatr wiatr
z młotkiem serca do krwi
i brzęczeniem podkowy na szczęście
co za twoim wierszem – –
zaglądają południem oczy
– słoneczne lato –
choć będzie deszcz – –
szepczesz

VI

Z bajką do Ewy Proniewskiej

Boża ewangelia z morałem a przed tym
ciemne zwierzęta nierozważne dzieci
opóźnione budziki zwichnięte godziny
domy z przepędzonymi z siebie ludźmi
kłopoty płoty wokół snów nie domkniętych
mielizna blizna po czasie szedł czas
krzywe dudnienie przeniosło się za podszewkę
zeszłorocznych liści
śpisz Ewo
robak toczy swój wóz
o czterech nogach
okaleczonej stonogi

VII

zakręty słów z bagażem zadyszanych zdań
ciężkie słowa bocznym traktem zasapane
wiaduktem szeptu nie przepłyniemy powiadają
wspomnienia wyprane schną wierszami
biedronka usiadła na naszych dłoniach
usnęła

VIII

żalnik
w dwóch słowach ziele łąk
kolce dni weszły wśród gwiazd z bajek
marzenia anemiczne bledną z upływu dni
czasem kot wkradnie się w stary elementarz
czas przędzie jak mysz za rusztowaniem jutra
sen powieką zacinasz
wstyd młodość zdania pogubione
strach serca
uderz kamieniem
grzech zamienisz w białą łaskę
i drzwi otwarte
pójdiesz
gdzie
nie wiem

IX

tylko dom utknął w pamiętaniu
oddechu żywego serca
snów w kaloszach na wypadek siódmej góry
i biegu w bezwstydnym słońcu
aż ogień podtrzyma ciało

słyszysz – stąpają kroki
konie płyną łąką z płomieniem piany
raz dwa raz dwa raz dwa

u drzwi Godot
przerażony
ze zmiętą chustką matki w dłoniach

X

Pani Ernie Sandel

nasze treblinka przyjaciół
przeliczanych co dzień
samotność zamknięta z nami
w drutach obcych kolejek
zamiast w spokojne klasy
gramy w robienie ciepłego swetra

naszymi ulicami psy
wywęchały krew w kwiatkach doniczkowych

słońce topiło się na ulicy
wiatr szedł rozwijać słowo

tylko czasem wśród kartek
czyjeś tętno – – –

XI

biletem za 50 groszy do nieba
na kolację z anielskim danciem
z pornografią bezpłciowych białych
i czarnych alfonsów z Bojar
zaczajonych przy kasowniku

– skasuj no pan wreszcie –

tamto życie przeżarte kasownikiem
złośliwym nowotworem

w oczach na gapę przez niejedną ulicę

hildur i baldur jeszcze raz spojrzeli
na siebie

Biała sukienka
(1985)

*Dedykowane
Zbyszkowi Minko
i
Waldkowi Miałkowskiemu*

1.

konie rozbiegły się po starych pergaminach
zziajane światem
przeżuwały zmęczone karty apokalipsy
tętniące anielskim zmęczeniem pokryły skórę nieba
zakwitła krew
bezdomne ręce pięły się w śpiewie – – –

ciężar mojej strofy
nie obudzi spoconej żony
gościnnego milczeniem łoża
nie wygładzi małżeńskiej pościeli
pośpiesznego łkania
utopionego w nasieniu choć
nad dachem zawisła gwiazda bezdomnych

zamilkła skóra
rażona śpiewem

to nie jest ten świt jeszcze
o którym donosem piałły gazety
– wszędzie gorzka gwiazda
karmiąc rozszerzone źrenice –

przetrwają tylko ci
którzy losem ślepców
przemierzają swój czas

śnisz mój chłopcze
dawno już przeliczono w baśniach
smutne rzeki i wzgórza
omijanych pragnieniem
ani słowa moje

śnisz mój chłopcze
z powrozów uwolnione serce
odjechało ciemnym autem
na miejskim ratuszu rozmawiała jeszcze północ
szept młodzieńców
drżących światem w ciepłych zakamarkach
prężąc ciała do skoku
w tłum

beziemienny
pościel nieznana
na niebie skaleczony płód księżyca
zatopiony w świetle
załęknione serce
w objęciach mężczyzny
śniło drzewo które wyparło się kory
o odtąd nagie chwyciło w gałęzie światło

2.

powtarzałeś:
nie powrócę z wygnania
łzy moje wykpi świat
annasze cisną kamieniem
kajfasze cisną kamieniem
i kamieni nie obudzi już krew

z arki noego odlecą ptaki
zwierzęta zejda na ląd
człowiek w naciągniętym tęsknotą horyzoncie

niekochany chłopcze
gwiazda twoja rozedrze ciemność
zagra ciało zaśpiewa skóra
ciepłym oddechem powalona tańcem

patrzysz w oczy
deszcz
papieros gaśnie
cień
drugi cień
piętnasty
papieros parzy usta
odnalazłem brata – powtarzasz

bezimienny
pościel nieznana
– nie płacz – powiedziałeś –
– lato nie gaśnie na zawsze –

3.

boję się mlaskających samców w rozpędzonych autach
zapatrzonych w kobiece mlaskania pośladków
przeżuwaczy dziewczęcych jęków chrypiących płyt
specjalistów od naciągania szczęśliwych horyzontów
ginekologów roześmianych w rzeźniach gabinetów
uciętych rączek oniemiałych w krzyku pieszczotliwych noży
matek spoconych rują i krwią
pielgrzymek do rzeźni jak do wuce
boję się dzieci lat uciekających
krzyku matek w rozkoszy rozstajnych nóg
to zmęczenie kolejek wiek dwudziestych poronień
to świat skoszarowanych suk policyjnej etyki
chutliwych psów lepkich pieniędzy
boję się wielkiej macicy świata
z tysiącem błogosławiących konfesjonałów
upadłych aniołów w anielskiej gangrenie
boję się domu wyprutych marzeń
siennika wypchanego słomą biografii
boję się przyjscia rozpalonego konia
z grzywą dziewczęcych wstążek wycharczanego alleluja
boję się oplutej twarzy i krzyku
– dosiadaj kobietę ujeżdżaj posiadłość –
landrynkowych książąt w perfumowanych majtkach
albowiem jak podaje nasza księga i cywilizacja
niegodne uczucia nie przeżute pychą wzdęcia
białego brzucha skopanego do nagłego płaczu
nie wnijdzie nikt bez oczyszczania do jej wnętrza
i zziąjanego krocza nie udźwignie twój sen
albowiem jak podaje nasza księga twoja łąka

nie strатовana perukami łysych kobiet
nawet ujeżdżony tapczan w uległym skowycie powtarzał
– mój kochanku

wędruj głębiej w baśń nad którą drżałam nocą
rozstworzę wszystkie bramy skaleczę swój gród
wędruj coraz głębiej w kipiącym szaleństwie
rozkiełnanych ogierów sakralnych ogonów
potu jak krwi smagłej zmieszanej z mlekiem piersi
niebieskiego traktu – nie opuszczaj – wielki wóz
z dyszlem krwi nad tobą – w moich żrenicach zew
rozognił sztuczną różę – popatrz plastikowy fallus drgnął
talizman umarłych kochanków – nie poznajesz – – –
jestem Julią okłamaną przez eunucha poetę
– wejdź Romeo świat spocony w orgazmie
drzewa zasłuchane w mój wymyślony poród
nagie drzewa
płomień spalił świat i niebo poczerwieniało
wschodem – nie opuszczaj krainy niespokojnych prześcieradeł
dziewczęta nie śpiewają już pieśni dalekich – charkot
tuczonych dziewic zamilkł w pacierzu zdrewniałym
moje plastikowe piersi nadęte życiem zdławiają twój śmiech
samcze

rozpruj mój brzuch pusty – słyszysz – dzieci śpiewają
skrzydlaci głupcy nie dotykają ziemi tylko
swoje hosanna za pięć groszy swoje hosanna za dwa złote
tylko wejdź w mój głód krwawiący niech udławi się
moim śpiewem oszalałym – – –
mój boski ginekolog unosząc krwawe ręce
wyrwie jeszcze jedno serce
i poniesie w śmiechu ponad horyzont wielkiego szpitala ziemi
czujesz jak krępują twoje ręce
plecy przyrastają do szpitalnego łóżka

księżycy obcęgi chirurgiczne
i krew na niebie twoim matko
długiego pacierza utłuczonych gliną i iłem aniołów
świat oddycha szpitalem pod ciężkim żołnierskim hełmem
układając dekalogi i ręce krwawiące o żniwie
unoszą do ucałowania – – –
ojcze w szynelu z wotami za krew naszą
ocalisz ziemię psa zabij we mnie
oddal skamlenie spłoszonej nocy
któryś jest na tej ziemi a imię twoje
przekleństwem ptaków zaśniedziałych – tak jest – tak jest –
– tak jest ojcze w szynelu z krwawiącą żrenicą
– rozkaz wykonano –
słyszysz jak w klatce po kanarkach układają dzieci śpiewający
wiersz – – –
talenty mówicie rosną w pozłacanych klatkach
tyłu poetów z poszarzałych fotografii ćwierkach na parapetach
– – –
ziarno zasiane nie wszędzie
– – – tak jest – tak już jest ojcze w szynelu na niebie
złożonych epoletów
popatrz raz jeszcze – kobiety ciała spocone umyły
brud ściekał do rynsztoków
ze sztandarów uszyto szlafroki
dobranoc dobranoc
zabij psa we mnie skomlenie
Panie mój ty wiesz wszystko

4.

złotowłosej mój śnie
unosisz dumną młodość
bezzębne kobiety odmawiają z twoich oczu pacierze
przyszedeś wreszcie synu mój nienarodzony
szminka dziewcząt ocieka z twarzy
nie chcesz ufać zaciekom żądy
bibułkowym rozmowom zatraskom na niby
widzisz kurtyna opadła
świat suflerem
schodzisz ze sceny
wachlarzami rozdanej talii kart
królowa z królem
dama z waletem
as

zaduchem niedomkniętego burdelu
wiosny otrząśniętej
z płatków karminu różu i pudru
gipsowych biustów w sztucznych bzach
poblądłych niedojrzałych wierszy
jedwabnych lalek
brokatowych dam
wiecznych karnawałów
trocinami wypchanych brzuchów
gulgoczących astmą podbródków
– smoczku ciepłych ust
batystowych chusteczek z monogramem mojej cioci
– choć do mnie landrynko pocieszko moja

w mój pusty brzuch nie bój się ogień we mnie nie wygaś
jeszcze
rozpalonym południem poprowadzę w wilgotne olchy
pocieszko moja męską koronę wyniosę ponad ziemię
wejdź we mnie uchyl tajemnicę brokatowej sukni

– chodź do mnie dziecinko amarantowy fleciku
zagram ci paniczyku moją dziewczęcą młodość
rozciągnij skórę moich wspomnień
wejdź we mnie a uniosę się w młode niebo

wyszedłem z teatru gestów
i ten pierwszy list który wtedy napisałeś
– nie boję się życia
dopóki skóra moja śpiewa
zostawiam opustoszałe perony
wracam –

5.

wiatr za oknem kręcił karnawałem
dla bezdomnych zapłonęła gwiazda
ciche wiersze zagładały w okno
załzawione nagłym upadkiem

na posłaniu pajęcza krew
noc rozpruta brzytwą tęsknoty
zadrzała chłopięca skóra
napięta cięciwą ramion

6.

odpłynęły rzeki i pogasły lata
strwożoną młodość otwierają noc
na piasku pisałeś tajemne znaki
bieliły się zboża nagłą jesienią
odlatujące ptaki przysiadły u twoich rąk

i śmiech twój kołował ponad ziemią

Rozmowa z W.M. (3/4 czerwca 1982 r.)

* * *

w wystygłych bramach czekałeś na miłość
mówiłeś – dotknij skórę a młodość poznasz
za ścianą umierał John Lennon charczącą płytą
mdlał śpiew w lepkich uściskach
Wojtek D. płakał wspominając własne serce
za betonową ścianą Yoko Ono
kłamała pożądaniem Krysi J.
w telewizorze jak w dzień sądu ostatecznego
policzono umarłych i rannych
świat na trybunach nadal żądał krwi
ustawieni w szyku żołnierze śpiewali pieśni
i wtedy powtarzałeś umarłemu poecie – po co wszedłeś
w ten dom kiedy uczucia moje w zaciśniętej pięści
a w kalendarzu coraz większa pustka
ksiądz X. zbłądził zawierzając
i tyżeś zbłądził
świat w nieustannej loterii
zapomnianej litanii wyplutych
powtarzałem wtedy – Boże niechaj bramy
przygarną jego ciało i nakarmią szalonym światem
nad zamordowanym tej nocy sercem
niechaj nikt nie przystaje

kiedy młodość potyka się w kalendarzu
wtedy puste dłonie żebrają

ANEKS

modliłem się pod ciężkim niebem
– nie omijaj Boże mojej samotności –
i przyszedł Chrystus
i zaparł drzwi mojego domu
krzyżem

1982

Za horyzontem
(1986)

*Waldkowi Miałkowskiemu
i jego najbliższym*

W WIERSZ

Kiedy w piecu gasło – zamykano w chacie szyber. Ciepło tuliło się wtedy do każdego kąta. Ściany płakały z uciechy. Lampa mrużyła oczy. Przychodzili ludzie z nocy, rechoczący i płaczliwi. Straszło w chacie ciemniem chapuna. Odmawialiśmy po cichu zdrowaśki. Dziadkowie schodzili do nas z portretów. Milkli strwożeni rodzice. Dziadkowie gadali i gadali...

O szyber uderzał wiatr coraz natarczywiej.

Wtuleni w kożuch słuchaliśmy – wiatru, snu...

Sierść przylegała do naszej skóry, porastając plecy.

Biegliśmy teraz wilkami osaczonymi. Coraz dalej od migotliwych, ciepłych światłem domów.

W wiersz.

Z LISTU

Chore ptaki przysiadują synku na przyzbie. Jesień nadchodzi w wietrze kasłającym suszącymi się szmatami. U sąsiada radio pęka radością i pyszni się chata tabliczką solecką. Czasami, synku, przyjeżdżają opasłe taksówki, żałobne powagą, z dumnymi ludźmi. Wita się ich w ukłonach. Rozmawiają po miejsku. Słysząc ryk tych z taksówek i śpiew bimbrowaty: „wychadziła na bierieg katusza...”. Ojciec powtarza wtedy: – Będą znowu dzielić...

Wracaj, synku. Ptaki na przyzbie osowiały. Trzeba z nimi po ptasie mu rozmawiać. Winckowa widziała znowu Matkę Boską jak szła do Grodna. I w Sokółce ją widzieli. Taka sama jak nasza, tylko bardziej wystrojona – w czerwone kozaki, w bistor i w jasną perukę. Mówią, że będzie straszna zima. Odmawiam sen Matki Boskiej Naszej – to śmierć będzie łatwa. A Petroluczka na nogi słabuje. Koty czarne głaska, a ból nie ustaje.

Ci z czarnych taksówek mieli okulary jak lusterka. Chmury w nich płynęły i ptaszki z naszej przyzby było w nich widać. Jeden z nich, oślepy, nie bał się przyjezdnych. Ropiejące oko utkwilo w oprawionych w złoto lusterkach.

Śmiech ich szkaradny ostał się w naszym podwórku.

POCZĄTEK I KONIEC ODPUSTU

Odpust wybuchnął niespodziewanie – świderkami w uszach, wirującymi wiatrakami, gdzie wszystko się kręci, i balonikami, gdzie wystarczy mała igła dla uciechy... Pistolety, gwiazdy, zorro, zegarki na jeden dzień, cukierki z krochmalu. Tłoczyli się dorośli, nie odstępowały kramów dzieciśka. Ksiądz przekrzykiwał wrzawę straganów, grożąc wszem i wobec brudną sadzą piekieł. Staruszki dopadały ziemi coraz niżej, najmniejszą dostrzegając trawkę.

Krowy spokojnie skubały na wygonie.

Korki strzelały, a anioły otaczały kaplicę.

Dziewczętom pachniały jeszcze lizaki.

Mrok pękał śpiewem, butelkami wyblakłej bonanzy. Kobiety unosiły mężczyzn, poszukując marnotrawnych twarzy. Ksiądz z pustą tacą wchodził do nieba.

Świtało.

CZERWIEC

W czerwcu zamiast snu – ciężka machorka. Duszna noc łąsi się młodą wdową. W piersiach kowal ze złomowiska, dzień po dniu, podkuwa łakome konie. Rżenie chlusta z piersi raz po raz. Na miedzach tylko trawa powstrzymuje śmiech.

I byłby zapewne pęknięty horyzont, pozrywane fastrygi rzeczne. I byłby koniec dla rogatych ludzi i moich cielących snów. I byłby to zapewne śmiech ostatni w wystudzone niebo.

A wreszcie, w tym rżeniu od sąsiada, byłyby moje słowa przetrzęsione jak plewy, rozpisane na rechot.

A potem już tylko pytania, natrętne pytania.

JEMIOŁA

Pod dziewicą, świętą Agatą, zestarzałą ciemnym kątem, wisiała jemioła.

Babka odmawiała na gałązkach jemioły codzienny różaniec, smarując je czasami miodem na dostatek. Anioły zlatywały się, aby zlizywać świeży miód. Brzęczało w chacie od nieszporów dziękczynnych, dalekiego lipcem śpiewu pszczoł.

A wieczorem, pod dziewicą Agatą, dziwnie kładł ojciec swoje dłonie na dłoniach matki.

NIEDOKOŃCZONE PODRÓŻE

Na Jurowieckiej, w pekaesie, uśmiechnięte twarze, którym udało się przykleić nos w zapatrzeniu sytym. Rozmowy o Hawajach, wycieczkach, pomarańczach, znajomych dyrektorach, ministrach. – Nauczę rozumu – biegło zdanie w rozklekotanym niebie autobusu. Sąsiadce ze Zwierek wyrosły skrzydła. Ktoś zagrał na grzebieniu.

Za Dojlidami autobus ulatywał w niebo.

Znikał powoli w gęstniejącym ciemnością nieboskłonie.

W Zwierkach wysiadaliśmy z wyciekającą z siatek pogniecioną kaszanką, serdeklami.

Jacyś nieobecni.

ZA GROBLĄ

Za groblą dziewczęce łąki oddychały jak druhny na weselu. Prześci-gały się kwitnąc, ich zapach otulał wszelkie niedospanie. Jakiś śmiech czaił się w łące, wczółgiwał w skórę pachnącą snem i pościelą, łasił się jak pies sąsiada. We śnie poznałem ciepły, znajomy oddech. Potem niebo unosiło sukienkę, coraz wyżej i wyżej. Bezwstydnie patrzyłem na obnażo-ny dzień.

Za groblą odezwała się pszczoła. W bzyczeniu uniosła drobinę moje-go marzenia. Jakiś motor dławił się. Palacze ponoć szybciej umierają...

Za groblą przeliczyłem grosiki, potem marne złotówki lat. W doda-waniu i odejmowaniu było całe życie.

WIELKI POST

Tuż po Popielcu, unurzane w błocie i w skrzepach śniegu, wracały do wsi karnawałowe lalki. Bezrękie wygrażały niebu. Czołgały się z trudem. Dziecięca naiwność gasła w niemym zawodzeniu, a pulchne ich ciała pokrywały liszaje.

Wieczorne niebo pęczniało od modlitw, różowiało nad lasem resztkami blednącego karnawału. Starzy ojcowie płakali, zwieszając ciężkie dłonie na płocie.

Przed wsią stały kobiety w świątecznych fartuchach. Podnosiły kalekie lalki. Tuliły do swoich wymarłych piersi.

– Ten chłopczyk, podobny do aniołka z uciętą rączką, niech zostanie moim wnukiem...

Lalki umierały w ciepłych dłoniach.

Pogrzebano je tej samej nocy przy wioskowych krzyżach.

Kobiety długo potem zawodziły modlitewnie do nieba, prosząc o wieczne zmiłowanie. Lament ich mieszał się z klaksonami przejeżdżających samochodów. – Zabobonne dziecioroby – rzucił ktoś zza opuszczonej szyby auta.

Pomarłe dzieci często jeszcze przychodziły po pogrzebie. Skamlały nocą u drzwi, prosiły o strawę, groziły.

Postanowiono je ochrzcić. Nadano im wiejskie imiona.

Uciszyło się już następnej nocy.

Słychać było tylko śpiewy z krzyżowej drogi.

ZNIERUCHOMIENIE

Zimą tego roku powróciły ptaki. Podarte skrzydła rozwiesiły na niebie. Znieruchomiały bólem i mrozem. Nocą oświeślał ptaki księżyc, atrament snu mieszając z nagłą krwią. Wiatr śnieżny dławił im oddech. Wydawało się wtedy, że ptaki żyją jękiem wiatru w podziurawionym niebie.

Sąsiedzi wróżyli niespokojne lato.

Ojciec czyścił kawaleryjską szablę, na którą zakradła się bagnista rdza.

Dzieci strzelały z procy do wiszących ptaków.

Bawiły się w wojnę.

Którejś nocy ptaki odleciały.

Sąsiad czytając codzienną gazetę dojrzał plamy krwi, zalewające pospiesznie dziennikarskie doniesienia.

DZIUPLA

Opuszczona dziupla. Ptaki udały się na emigrację. Jesień biegła na przełaj, przez pola. Serce wycięte scyzorykiem na skórze drzewa smutniało wspomnieniami. Przebite strzałą, nie wydawało już żadnego głosu.

Spadł pierwszy śnieg. Wiersz przyczajony przeniósł się na makatkę z rosochatym dębem. Przemierzał teraz częstochowskie trakty łobuzersko zadowolony.

Z dziupli na makatce wyrzały pisklęta. Upudrowany myśliwy ruszał zalotnie oczyma. Dumne łabędzie pływały po atramentowym jeziorze. Śmiały się filuterne amorki.

Umarłe drzewo ścięto. Paliło się teraz pod płytą kuchenną nieme i dalekie.

Pisklęta w dziupli nie rosły. Makijaż myśliwego spływał na podłogę. Łabędzie pierzyły się zakłopotane.

Płonące serce szeptało tajemnicze zdania.

DOM

Okna ślepy z dnia na dzień, obramowane krzyżem, krótkowzroczne,
z resztkami drżących szyb. Dzwoniły tęsknie w południe.

Któregoś dnia spokój począł drętwieć.

Potem przyszli chuligani i dobili szyby.

I wiatr zażartował.

NAPIS

Na murze pobliskiego klasztoru ugrzązł krzykliwy napis. I fresk, z którego ulatywał anioł. I cisza tak głęboka, że słyszeć było jego ludzkie serce.

SYN

Pośród nocy syn dotyka mojej dłoni, głaszcze przebudzone włosy.
Sen znowu płynie wartkim potokiem: na łące – motyle i syn z siatką uciekają w nadciągającą burzę.

Wydoroślał w następnym śnie. Była to sobota i czas kieszonkowego.
We wsi wyły psy. Chichotały dziewczęta...

Do domu z rzadka już wracał.

Ktoś powiedział, że będzie wesele i korowaj.

Bezsensowność i samotność kołatały do drzwi.

Z PAMIĘTNIKA

Za progiem ścieliła się łąka. Skrzypiały drzwi. Hałasowała wiosna.
Słoneczne kichanie mieszało się z mgłą. Ktoś pospiesznie namalował ro-
sochaty księżyc, poprzyklejał złociste gwiazdy.

Grała harmonia.

Remiza pęczniała od chutliwych nawoływań.

Nocą zamiast deszczu lało się dojlidzkie piwo.

I mógł się pojawić wtedy król Herod zwabiony zapachem łąki, Salo-
me z bochenkiem szczerstwiełego jesienią chleba albo zbłąkany milcze-
niem młodzienc.

Przyszły dziewczęta. W niebie zaskrzypiały drzwi.

ANTOŚ

W gminie pachniało urzędowaniem. Z namaszczeniem sortowano stosy papierków. Sylabizowane literki odbijały się od kanarkowych ścian. Pani kierownik zaciągała się raz po raz dymem kentów – łyknęła ociupinkę kawy, przekręciła tarczę telefonu, wyjęła teczkę z biurka. Kawa. Papieros. Kawa.

Za oknem szalało słońce. Wciskało się pod sukienki. Kłóciło się z perfumami.

Patrzącym w okno urzędniczkom kleiły się malowane rzęsy.

Krztusił się traktor. Zaśmiał się. Antoś z geesu.

Dziewczęta zapachniały akacją.

Pani kierownik patrzyła za okno.

Papieros tlił się samopas.

Pot zalewał piersi.

Ktoś zapukał.

OCZEKIWANIE

Jesień tego roku odeszła dość wcześnie w chlupotaniu gumiaków. Liście mieszały się z błotem. Nasrożony i kęsający mrozem wiatr przepędzi ktoś dopiero po północy. Zbieraliśmy pospiesznie bieliznę.

Nadeszła kulawa w śpiewie noc. Rodziła się kolęda, jeszcze przełamana, jeszcze nieśmiało pączkująca. Za gospodą geesu zawieszono napęczniałe ciemnością gwiazdy.

Otwieraliśmy teraz drzwi domu na każde pukanie.

Pozamykaliśmy szopy i obórki.

TAM

Na pokaleczone nogi wciągały dziewczęta kolorowe pończochy, szminkowały spękane wargi, patrzyły długo w lustra. Noc pachniała wodą kolońską. Łąki odzyskiwały świąteczny, sobotni jeszcze szept.

Z miasta jechały pijane ze szczęścia autobusy. Gdzieś tam tańczyły karuzele, migotały kolorowe żarówki.

Za lasem i długim polem było miasto. Ludzie przytuleni wędrowali wprost do nieba. Ciemne bramy, zaułki, uliczki jak pytania, taplały się w dzikim śmiechu.

We wsi kurczyły się chaty.

Rodzice budzili się z krzykiem.

Małwy pięły się coraz wyżej.

Pachniało piołunem.

REPORTAŻ O BEACIE K.

Nadciągnęła pierwsza, wiosenna burza. Sny zdrowiały wyzwalając się z zimowych pierzyn. Wieś przeciągała się leniwie po pierwszym łoskocie.

Po burzy dziewczęta otwierały we wsi okna. Szczebiotały w nich perlargonie. Tercet Egzotyczny szalał nadchodzącym latem.

Do Beaty Karpiejko przyjechał szwedzkim autem Jaś z Dubin. – Europejski styl – cmokały rozkosznie dziewczęta. Potem, przy nie zasłoniętych oknach, popijano kolorową wódkę. Beata śmiała się świątecznie, dziobiąc jajecznicę na skwarkach. Z uwielbieniem patrzyła na Jasia. Tercet Egzotyczny szalał już na całą wieś.

Jaś pojechał do innej.

Odtąd Beata wieczorami chodziła na łąkę po kaczeńce. A kiedy przekwitły, wyjechała do miasta.

– Jakaś ona musi być wielmi ważna – mówiono. Chodzi tylko po peronie, a blask jaki od niej bije, taka forsowna.

I znowu była wiosna, i kwitły kaczeńce.

ODWIEDZINY

Łońskiego roku przyjechał do naszej wioski Wielki Pan. A jak jechał to piach gnało, aż pod niebo. Dzieciska uciekały od tego samochodu daleko w pole. Mówili ludzie, że takie to krew zabierają.

W sołectwie odbyło się Nadzwyczajne Zebranie. Wszyscy my patrzyli na wielkopański szyk. Pan mówił długo i zawile. Oniemiali, patrzyli my jak po miejsku gadają.

Podatków po jego wyjeździe nie podnieśli.

Wiersze nam swoje rozdał, nadrukowane na żółtym, pachnącym papierze. Niektórzy potem palili w nim machorkę. Smakowała jak tytoń amerykański.

Jeden wiersz to nawet mi się zapamiętał:

„na wszelki wypadek obywatele
guziki prawdy lśnią
szelki bezpieczeństwa podtrzymują
pasek zgody potwierdza
pelisa dodaje otuchy
abyśmy rośli w siłę
abyście żyli dostatnio

na wszelki wypadek obywatele
czapka niewidka”

A był w kapeluszu. Reszta by się zgadzała. Był to chyba dobry człowiek, ten Wielki Pan, pił z nami, naszym chlebem nie chciał zagryzać, tylko wachał i wachał.

CUD

Zaledwie rozchylił się dzień, matka biegła za miasteczko, gdzie rozmawiała często z Matką Boską.

Kiedyś przyniosła najwspanialszą relikwię, kraj sukni Matki Boskiej.
Zdziwieni, oglądaliśmy ścinek fastowskiej tkaniny.

SUPLIKA

A u Pana Boga, za piecem, ogonek interesantów. A to w sprawie przydziału narzędzi, a to w sprawie przydziału świętych do wyludnionych kaplic, Aniołów Stróżów do zbyt wąskich kładek.

A Pan Bóg siorbie strawę. Spokojnie z ukontentowaniem przechyla głowę. Wielu jeszcze potrzebuje jego pomocy.

W kolejce ojciec przestępuje z nogi na nogę, pali papieros za papierosem, stojąc na niebieskim gumnie w sprawie przydziału żniwiarzy.

A Bóg rozłożył bezradnie ręce. – Złożyć podanie – powiedział. Rozpatrzymy.

POETA

Wydziedziczony z własnego sumienia, na cudzych miedzach szukał
wykałaczk. Chwalił, gdy było trzeba, wyrzuconych bogów. Czasami ob-
jeżdżał jak inspektor pola wyobraźni. Wracał i wyklócał się z papierem.

Dzisiaj postanowił zmienić płodozmian.

Ponoć kontraktuje buraki cukrowe.

MAŁE MIASTECZKO

Wdowy małych miasteczek zamarły w długich litaniach oczekiwania na elenium. Pachniało śledziem z karczmy Judelichy i żółtą lemoniadą. Magistrat pospiesznie opuszczał narożną kamieniczkę w rynku. Dudniły ostatnie dorożki. W kościele śpiewano: „Od powietrza, ognia, głodu i wojny, zachowaj nas Panie”.

Do nowego urzędu wzywano coraz częściej. Niosło się zbożowym bimbrem. Sąsiad zawodził dalekim śpiewem, tęsknym a stepowym.

Zapach przyczajonej waleriany błdził w wyciszonych uliczkach. Na rynku zbudowano pomnik Nieznajomego. Trzymał w dłoniach książkę jak Ewangelię. Mówiono potem, że był krótkowidzem.

Pomnik zburzono. Judelicha i cały kahał płakał nad losem Nieznajomego.

Wdowy małych miasteczek zaciemniały okna, kładąc się w pustą pościel.

Starość przyszła tak nagle.

W ŁUBNIKACH

Za Łubnikami droga zasypana, po pachy w piasku. Duszne lato rozczynia w dzieży chleb urodzajny. Kiedyś opowiadano o czartach i łamanych osiach. I księżyc ponoć śmiał się złowieszczo, mrukliwy teraz jak baba po północy.

Piach.

Droga do Skrybicz, Białegostoku, Donikąd. Porośnięta zieleń pachnącym. Na piasku tylko wiatr żartobliwy.

W Łubnikach nie czekają już nocą stare, głuche psy.

SIERPIEŃ

Mówili poprzedniego dnia, że koniec świata się zbliża. Najgorzej umierać będzie tym z miastowych bloków. Bo i do czego mają się pomodlić? Do wioski wrócić już nie zdążą.

Za chmurami wisiała znowu warstwa denaturatu. Niektórzy widzieli w ołowianym niebie, które nocą zaciągało się ciemną zasłoną flegmy, bimbrowate kształty. Księżyc przedzierając się przez zwoje ostrzeżeń zerkał złowieszczo. Unosił się zaduch pospiesznie oddawanej uryny. Śmiechy dziewcząt ucichły, rozplynęły się w ostatnim cichodajstwie, jak mawiała Hryhorycha.

Sąsiad przykrył betonowy silos sklepieniem z worków cementu. Znoszono pospiesznie dywany, urządzano się w jego wnętrzu. Z telewizora sączyła się dobranocka, Bolek i Lolek udawali się do Nieznanej Krainy.

Cisza wisiała nad wsią, gdy podawano ostatnie wiadomości.
– Job jeho mać – usłyszeliśmy nad ranem krzyk sąsiada.
Słońce pięło się coraz wyżej, ryczały nie dojrane krowy.

ZA SIÓDMĄ GÓRĄ

Za mijanym wzgórzem wyrosło następne wzgórze. Siódme rzeki, siódme poty spływały po wyblakłych bajkach, zmęczonych cywilizacyjnym pędem. Niedokończone, wystraszone zbuntowanym królewiczem, uciekały teraz ze strony na stronę, rozrywając wiersze.

Lato zwisało jak sen napoczęty, przerwany pierwszą wiosenną burzą.

Przebudzona sierotka bawiła się kolorowymi zabawkami. W telewizorze uroczyście przemawiał Telesfor.

Noc ściągnęły odpustową sukienkę. Napalił się młodzieńczo księżyc. Wiatr zatarł dłonie.

Dzieci spały. Królewicz wszedł do zamku.

Na przedmieściu Wielkiego Miasta oczekiwała kobieta. Uśmiechała się, kiedy mężczyzna był przy niej. Gwiazdy mruczały.

Potem księżyc posapywał.

Za siódmą górą, za siódmą rzeką nie stwierdzono tej nocy nic szczególnego.

W DOMU

Ciężki dzień przetoczył się sapliwie nad domem. Odmłodzone powietrze wirowało wokół twarzy pochylonej nad miską ze zsiadłym mlekiem.

U sąsiada mocował się traktor.

Przez otwarte okno wpadła mucha.

I weszło do mieszkania wiele snów zdrowych i pokaleczonych, wspomnień prychających młodością i jęklivych niepokojem.

Rozpalony, coraz szybciej zataczałem kręgi po izbie. Zsiadłe mleko pachniało już krupnikiem.

Gdzieś, daleko za horyzontem, śmiał się ojciec w dogasającej burzy. W nocy świeciłem żyrandolem z kryształowymi sopelkami.

MISTERIUM

Trawy zaczęły gzić się tego ranka, tuż po pierwszym zawodzeniu kogucim, które odleciało do nieba, aby przepędzić zaspane obłoki. W otwartej sieni słoneczniła się niedziela. Wzdychały pierzyny w kolorowych nawleczkach, rozwieszone na płotach. Wśród tańczących opłotków, w krochmalonych koszulach, szli mężczyźni w pole, za nimi kobiety i dzieci. Pachniało świąteczną golonką i kapuśniakiem.

Nad lasem unosili się wciąż Tamci z szablami wymarzonych dni.

Ojciec czynił znak krzyża. Patrzyliśmy długo w niebo.

Żegnaliśmy

ciemny czas.

SOBOTA I

Za stodołą zagrała harmonia. Fałdowane spódnice spęczniały. Śmiech, zaplątany w figlarne chmurki, okrążał całą wieś zapowiadając zabawę... Walczyk w wyglansowanych butach przytupywał nadchodzącemu oberkowi. Lśniły lakierki.

– Hula – hop, hula – hop – zawodził sołtys. Bistor ociekał potem. Garnitury opadały, krawaty więdły. Ciepło zalewało plecy. Serca gulgotały. Dudniło pierwszą burzą. – Trawa będzie dobrze rosła – szeptały kobiety.

Chichotały dziewczęta.

OJCIEC

Zielone niebo dniało coraz częściej.

Ojciec wyciągał głowę i wywachiwał wiosnę. Potem szedł do świronka, gdzie zapadał w pacierz. Świronek dudnił jak pusty żołądek, posapywał śpiewnie, czochrał się jak wyleniały pies. Ojciec odmierzał ziarno, kwarta po kwarcie, wianuszki święcone dosypywał, coś mieszał; wkładał między zęby nasiona, długo je żuł...

Wreszcie niebo się wybieliło. Widocznie pomyślano o świętach wielkanocnych, jako że w górze dudniło i dudniło...

W domu magłowano odświętne prześcieradła.

Przetoczyła się burza.

Któregoś dnia, jeszcze ciemnym rankiem, ojciec wyszedł z domu. Wchodził w miękkie zagony, coraz bliżej otwartego nieba.

PIERWSZA ŁĄKA

Na łące wyrosła jabłonka. Nocą pojawiły się pierwsze owoce oddychające niespokojnym poczęciem. Pod jabłonką – rodzice, zawstydzeni tym nagłym narodzeniem. Od Zwierek zagrzmiało wiosennym przebudzeniem. Zazieleniło się niebo utreniją.

Na sianie, daleko od jabłonki, przecierałem zdziwione życiem oczy. Ciało pokrył pierwszy pot.

Sól pozostała na języku.

I życie.

CZAS ZA CZASEM

Zamyśleni starcy z żołnierskim rozrzewnieniem opowiadali o dziewczynach, które zniknęły za horyzontem, wygnane wojennym krzykiem. Palili niedzielną machorkę.

Spoglądając na łąkę i kwitnącą trawę na długo milkli.

Tymczasem dzieci za płotem bawiły się w wojnę.

Na wygonie pasły się spętane konie.

Dzieci doroślały, zatrzymując się coraz dłużej przed lustrem.

Pordzewiałe konie pasły się dalej.

Aż kiedyś w starych koniach zaszemrała krew, zarżały źrebięco. Horyzont pękł nagłym płaczem.

SZTAMBUCH

Aniołki pierzyły się od pierwszej strony. Podziurawione strzałami serca odpoczywały w archanielskim puchu. Uwiązane do wstążek gołąbki zaginały sekretnie narożniki kart i lat: kocha, nie kocha, zapomina, przeklina, moja dziewczyna... Tyle zdań śpiewających...; i harmonia zagrała na piersiach Anki M. I północ przygnała bezdomne dziewczęta, aż czerwień bezwstydných róż pobladła.

– Nie zapomnij – wołała Myszka Miki. W siedmiomilowych butach skradał się erotyczny kot.

Serca uciekały krwistym tuszem. Dziewczęce usta pokryła szminka, tłusta od pocałunków i zadowolenia. Dezodoranty pachniały biustem rozpustnym i „paryżami”. Sukienki pęczniały sobotnim dreszczem.

– Kocha, nie kocha, zapomina, przeklina, moja dziewczyna – pojękiwało nudne serce.

Oskoma dni i pamięć szcerstwiała.

Z LISTU OPÓŹNIONEGO

Schowałeś się za horyzontem. I chociaż listy z kolorowymi znaczkami przelatują, to sny coraz płochliwsze. Kiedy wrócisz Jasiu zza siódmej góry, wypijemy piwo. Będzie już jesień. I dziewczęta z późnym rumieńcem przytupywać będą nadchodzącej muzyce. Nylonowe halki zapachną dalekim Sztokholmem. Wejdziemy wtedy w taniec jak w sen, jak w środek lata.

I zstąpi noc. I duszność radosna otuli nasze ramiona. I chata zapachnie razowym progiem.

LUDZIE TAK MÓWILI

Dniało ociężale. We własnej krwi pławił się na wschodzie kur zabity przez świętego Piotra. A święty od jakiegoś czasu zajmował się dorabianiem wytrychów. Klótnia kluczy zganiała ludziom sen z oczu.

Kiedy nudził się na plebanii, brał igłę i szył prujące się niebo. Przeciągał nić od wschodu do zachodu, aż kłuło blaskiem w oczy.

Często mawiał do siebie: – gdzie świętość, a gdzie życie?

W nocy podobno zapierał się w kącie plebanii.

Po trzykroć się zapierał.

Ludzie tak mówili.

SPOTKANIE LIRYCZNE

Skrawkiem snu przeleciał czarny motyl. Kędziolki uparcie nawoływały lato. I szła parność wzdychających waldyszków, które piły się coraz wyżej, i sochoniów zakwitających w śmiechu dla śmiechu... Tańczyło zadowolenie. Akordeon rozciągał się w tym śpiewie na całego. I zagrała skóra do pierwszego potu, do krwi pęczniejącej.

Z łąki wynurzył się chłopak. Tajemniczo śmiał się do słońca i oślepych gwiazd. Muskularne ciało wyśpiewywało nagą młodość. Z lasu dołatywał lepki rechot starców. Drwiły wyłysiałe i bezzębne lata.

Zestarzał się śpiew chłopca. W starczym mlaskaniu omdlewało jego ciało.

Płakały nie tylko jego sny.

NARODZINY WIERSZA

Wiersz się zrodził. Napęczniały rodowodem i krwią ciężko oddychał. Plastikowe lalki z uciętymi rączkami, skaleczonymi brzuchami leżały obok. Szklane oczy patrzyły w niebo. Ciemny budził się dzień. Pod sufitem drzemał zapity pająk.

Śpiewano pijacką kolędę.

Świtało w oczach. W sercu drzemała waleriana.

– Nie tędy, nie tędy – wołały zdania.

Na ukos uciekaliśmy przez pola, gubiąc niedospane wiersze.

IMIENINY

Zawaliła się noc pękających gumek i dartych nylonów. Tarło snów niespokojnie pogwizdywało wspomnieniami. Tylko łąbędzie na makatkach pierzyły się spokojnie. Zza obrazów spozierała święta ciekawość. – „Kyrie elejson, kyrie elejson” – odmawiał deszcz pod okapem. – „Amen, amen” – paciorkowało mu wierne wiadro.

I ciemność była tak wielka, że choć oko wykol. Ojciec gramolił się do nieba. Leżanka na zapiecku pachniała wypoconą cegłą. Ściekały pierwsze krople samogonu. Bufiasta, krynolinowa przeszłość pęczniała pulchnymi dziewczętami. – Uuuuch, uuuuch – posapywały anemiczne fotografie.

Z oddali wracał śmiech ojca. Toczył się rechot wyblakłym niebem. I księżyc podniecony wisiał uparcie.

– Sto lat, sto lat – darła się rozpacz za płotem.

UCIECZKA

Pod wieczór niebo pociemniało od dyplomów. Brokatowe gwiazdki pachniały chlebowymi orderami. Od rynku szło stado nie zdojonych krów. Ryczało zmierzchem nagłym i podnieconym potem. Dziwowali się ludzie: – Toż nam nikoli nie dawali tulko hetaho dabra. Ot, szczęśliwyj czas nadyszou.

Poderwało nas wiatrem i uniosło nad ziemię.

Ponad chmurami w otwartym ikonostasie nieba stał Sakrat.

Uśmiechnięty witał nas po swojemu.

A nas gnało coraz wyżej i wyżej w ciemne niebo.

MIASTO

W mieście pachniało młodziutką seradelą zwieszającą się ze skrzynek balkonowych i hardymi malwami. Mdliło od toukanicy ze skwarkami. Krzyczały gazety.

W otwarte niebo śmiał się szczur.

Chichotały niewinnie wiejskie myszy.

I echo gnało co sił na przedmieścia, powtarzając: zaplanowaliście, wykonaliście zgodnie z harmonogramem, narzucaliście odpowiednie tempo, zażegnaliście złe opinie o złej robocie, zasłużyliście na miano..., usprawniliście system, nagrodziliście społeczeństwo własnym oddaniem sprawie, byliście jak..., wyście a nie kto inny, na was liczy cały naród, wyście zaplanowaliście, wykonaliście, zasłużyliście...

Od powały nieba odbijało się iście.

I było tak uroczyście, tak nabożnie, że upadliśmy na kolana, zrazu na jedno, a potem już na obydwu.

I cisza jak zaraza zawisła nad nami.

– He, he, he, – czkało brzuszysko.

Zadowolone szczury piszczwały.

SOBOTA II

Jakoś pod wieczór, w barchanowym zawodzeniu, lecieli niebem księża na odpust, nadęci czarnymi sutannami. Z brewiarzami pod pachą. I niebo nad zachodem pachniało cukrowym lizakiem. Dziewczętom układały się powieki w niewinność, a chłopcom rozstrojone skrzypki jurnie przygrywały. Nawet księżyc chutliwy mościł się długo tej nocy, aż gwiazdki kolebały się z uciechy. I pewnie by pospadały, ale zwalista noc, jak zawsze, rozliczała z każdego mrugnięcia.

Przebudzonym kotom pachniała waleriana i mlaskały w żołądkach pachnące salcesony. Długo się przeciągały.

Księża, już za horyzontem, śpiewali jutrznię.

Świąteczny chleb pachniał tatarakiem.

Oddychała niedziela.

WIECZÓR I

Zdenerwowanie ojca udzieliło się otoczeniu. Niebo poczęło prychać. Astma wisiała w powietrzu. Pokasływanie niosło się po polach. Ojciec uderzał raz po raz głową w podłogę kaplicy, aż dygotali z przerażenia święci.

Tylko świece spowiadały się z całego dnia płaczącym woskiem. Mrok oddychał w kącie spokojnie.

Skarbonki śmiały się łaskotane grosiwem.

Święci powtarzali: – niech dzieje się wola boska.

Ksiądz pleban zapadał w sen.

Ojciec doganiał zagubioną modlitwę.

WIECZÓR II

Koń upadł na podwórzu. Chrapał jeszcze wierzgając nogami. Potem koński anioł nadleciał i zaległa cisza. W końskim oku przeglądały się resztki podwórza, matowiejąc w nadchodzącym wieczorze.

Nocą zaświeciły na niebie dwie podkowy.

Wtedy umówiłem się po raz pierwszy z dziewczyną.

Na smugu, tuż za łąką.

PADA DESZCZ

Do geesu, jak do cudownego miejsca, wiodła piaszczysta droga. Nieliczne drzewa wycięto przed laty. Sekretarka w bistorze – z różą sztuczną na piersiach. Magazynier bocznymi drzwiami dorabia sobie trochę grosza.

Pada deszcz.

Błoto chlupie.

Prezes zamyślony gryzie ołówek. Sekretarce falują piersi. Żniwna akcja nie rozpoczęta.

Prezes uśmiecha się, podchodzi do sekretarki, dotyka najpierw jej róży i szeptem przeprosza. – Niemazaco – odpowiada zadowolenie sekretarki. Białe jej ciało złoci się miejscami jak żyto jeszcze nie zżęte.

Transparent: Każdy kłós na wagę złota.

Prezes bada stan kiełkowania.

Magazynier siedzi w gospodzie.

Deszcz ciągle pada.

ZIMA

O Panno Hodyszewska, uśmiechnięta w obrazie – w dzień i w nocy – spójrz na moje niedospanie, na ropiejące oczy. Ciężkie dni wypełniają me plecy, w sercu zaś noc – osad brudnych spraw. Mija tyle dni, wymierzonych nie wiadomo w co.

O Panno Hodyszewska w ocieplonym kościele, jesień już – ziemniaki nie wykopane, ozimina nie wiadomo czy wyrośnie. I zima nadciągnie wydobywanymi z kufra kożuchami, i drogę do Hodyszewa zawieje śniegiem. Wczoraj zamieć, dzisiaj zamieć.

Siedzimy z kumplem na przypiecku, bimber w szklankach nam chlupie – no to siup! Wąchamy z nabożeństwem chleb, zjadamy kartofle ze skwarkami.

Panna Hodyszewska na strychu uśmiecha się coraz smutniej...

Kumpel zauważył moje łzy.

Zamieć złowieszczo śpiewa.

JAN LEONCZUK

Żertwa



Żertwa
(1987)

*Żonie mojej Barbarze
poświęcam*

Żertwa

BALLADA

Pytasz synku jaki jest ten świat
komu jeszcze można zaufać
tyle przeszło skaleczonych lat
tyle snów połamano podeptano

Popatrz synku na Matkę z Nazaretu
po śmietnikach błądzi jej płacz
tyle serc wyrzucono tyle pieśni
ręce matek ociekają krwią

Słowa synku słowa już kalekie
rdza przeżarła język nas już dławi
popatrz jeszcze synku na swój świat
kolorowe w nim jeszcze słowa

I pamiętaj synku przyjdzie brat
ciemne słowa zadźwięczą monetą
nie zaprzęдай oszustom swych lat
nawet kiedy ci serce zapłacze

Będzie milczał synku twój dom
i nadzieje w zamarłych ścianach
popatrz synku jeszcze na ten świat
zanim wiersze bezsilne nadejdą

Tyle lat synku tyle lat
tyle wiary zaledwie poczętej
zaśnij synku wejdź jeszcze w swój świat
i nie pytaj czym życie czym klęska

ANTYFONA ULICY

Panno Ulicy
w ciemnej bramie
śniedź obojętnych na twojej szacie
bielmo okiennic zatrzaśniętych z nagła
w trwodze ściśnięte serce
jeszcze pawim piórem
ścierają kurze ze starej komody

Panno Ulicy
cichej i bezdomnej

Panno pospiesznie
tłumionej modlitwy

Panno Daremna
Panno Miłosierna
cierniem wpisana w zaułku tęsknoty
odmierzasz w ciszy pacierze uległe

wzywam Cię śniegiem
wzywam Cię śniegiem
odmrożone dłonie do nieba unoszę
wzywam imiona zagubione w śniegach
serca spękane trwogą

w oczach umarłych kwitły nocą malwy
łąka pachniała pierwszym sianozęciem
i na podwórzu osiadło słońce
dzieży zapraską chleba powszedniego

i nikt nie podjął w tej bezkresnej bieli
strzępów kozucha całunu golgoty
i nie szły panny umyć wrzody
ręce skostniałe złożyć do modlitwy

i nie wracało przerażone słońce
matka daleka na piaskach pustyni
z ziarnem w onucach
z pieśnią co ranne miała budzić zorze
siadała wtedy na wystygłym progu
sypała ziarno oddechem matczynym
w podwórze śniegu i zgłodniałe oczy
co odlecieć nie mogły
poderwać się krzykiem

patrzyła matka kamienna i wyniosła
szeptała tylko – póki my żyjemy –
niebo rozprute ociekało żarem
piaskiem tłumione czuwały źrenice
w łachmanach matka
serdeczna w opiece
sieroca matka
matka kłamstwa pełna –

dłaczego Panno pod werniksem zbladłaś
ręce nad ołtarz wznosząc
aby spojrzeć w piekło
ukrzyżowano Matko Twoje Miłosierdzie

Matko Przechodniów
Panno Miłosierdzia
bólom omijam kamienne schody

na cichą bramę patrzę mojej matki wzrokiem
ze sznurem dziada z Szubienicznej Góry

całunami onuc napęczniałych krwią

składam te wota Panno
i nadzieję składam

Panno Miłości
nad złotym księżycem
Panno w koronie
z kolczastego drutu
zorane mrozem ręce ojca ponad bramę wznoszę

ukrzyżuj raz jeszcze –
ukrzyżuj ten naród –

zgnieć w swojej litości
szeptu tego lament
bym mógł spojrzeć w skamieniałe niebo
na którym księżyc opity niewinnością krwią

zbij psa we mnie skomlenie
sierścią wymościsz betlejemskie noce

a może zejdiesz Panno
z marmurów ołtarza
wyjrzysz zza okna wyciszonej bramy –

ulica pusta
śmiechem rozpaćkana

w zaułkach drzemią Wernyhory śpiewy
płacz czasami zbłądzi
pod przeklętym niebem

Madonna wyszła z bramy –
i blednie pod werniksem
serce tłumią dłonie
wracają jej synowie
w baranicach śmiechu
o twarzach z denaturatu osadzonych w złocie
w kufajkach odlanych ze spiżu
(na polu garncarzowym
betlejemski tłum)

słyszysz matko
śpiewają –
pieśni rozliczają
z krwi nagłej co skrzepla
w uległych tętnicach
w glinianych maskach
niosąc nowe twarze

oj dożali dożali
budziem życie żali
sierebranoju dziewczusku
kak skazku razabjom

oj budziem żali
na dolini płaczu
negrowyje huby zbielejut
pod zołotom karony

oj dożali dożali
budziem życie żali

I.

taniec szalony gryzł tętnice
odległy anioł ugrzązł w ugor
zapisał datę Bóg i odszedł
święci posnęli w lilii bieli
kołnierzyk zszarzał
błąd w zeszyście
zapisz inaczej – śmiał się pająk
spowijasz swoje puste życie
krew też odpłynie
i znowu wejść w pajęczynę
przerwano-przyjdą-przyjdą znów
życie przemieni się w niebycie
przelekłe krzyże naszych dat
kołatki postne wiliją cichą
rozmienią gwarne pluję w twarz
na gąbce imię spijam lepkie
tyś w nas uwierzył poprzez swe oblicze –

rany zakwitły bólem w sen
pacierz w ogrodzie ojca szukał
na piersi twojej spoczął Jan
we włosach lęku szeptał

za czyją zbrodnię taniec święty
zbłąkanych ulic biegnie pies
z obrozą siatki węchem snu
koszmarnych książąt zbladłej bajki

za czyją winę szukam twarzy
na której nie legł cień kagańca
w bruzdach spragniony chleba kęs
odgadły lata świstem smyczy

a tyś obwołał mnie Judaszem
nad strawą ciepłych zdań wieczerzy
(w blaszanej łyżce tylko sen)

śpij na pacierzu jednym zdaniem
na prawo most – i dom kaleki
usnął w kantyczce pamiętania
i matki nóż stygmatu cisza
dzielenie rąk na palce harde

na lewo – szcurze wysypisko
śmiej świcidełek zerka w lustro
rechot osiadł w pustych ramach
stężałe powagą zbladłe lustro
i wykrzywiona weszła znowu twarz

– patrz Magdaleno
Mistrz poniósł zapach włosów szmer
tyżeś w rynsztoku a on w niebie
roztrącił was szaleńca czas
zbutwiałe drewno świt rozorał
ziarno rzucone obumarło
oset już zakwitł –
(na rozmarynie śniło dziewczę)

na prawo-ciemny śpiew uparty
zebrano gwoździe w chichot serca

w pacierzu twoje imię weszło
przebodłe lata na rozstaje szły

na wprost-wzniesione niebo rośło
purpurą zdartych sukien

w nieboskłon szły pacierzem słowa
odtąd już lilie

czyste dłonie
ostatni guzik
dokument świętych
drzazga płonąca tkwiła w ciele
krawatem hardym świat zaciśnięto

II.

niech będzie darowane śnienie
wątlých budzików Piotra lęk
nie znam kobiety ciała w bieli
już świta
nie znam ciepła rąk
nie znam jej głosu z martwej śliny
złączonych słów w milczący brzeg
szklanka porannych krwawi zdarzeń
nóż w niebo wyniósł hardą pięść

a na obrusie twarz umarła
w źrenicach skarga papier rży
palcami chleba tęskne ziarnko
do ust unoszę winę krwi
widelcem rąk umarłych głodem

unoszę jeszcze jeden kęs
za drzwiami brat w ciemności blednie
umyje dzień wczorajszych rąk
z tapety zeszły dzieci nagłe
słonecznych rogatywek śpiew
ojciec zbudzony świt przeciera

bielma źrenice strachem milczą
zapadłe oko Boga Ojca
i szklane oko brata ciemnych drzwi
i słowa martwe pękły wargą
ulicą się potoczył krzyk
zagrały zgrają stada biczowników
kankanem podkasane szły w zwartym szeregu
(rechot na trybunach)
oślepie oko zza chmur się wychyla

w tańcu ochryple
– póki my żyjemy –
i znowu cisza nad obrusem
plama zapadła w imię wioski Wierzę
zbladły talerze z żyłastym kwieciami
ze strawą rozmienianych pieśni –

III.

tyle nadziei ile świt rozpisze
ciemność już pędzi na rozstaje świata
siedząc nad miską dojrzysz twarz brata
choć serce zaparte pozłacaną kratą

IV.

czym twoje dłonie
zapytały lustra
w ściemniałych ramach tkwił już sen odarty
bose dzieciństwo przebiegło przez szkło
raniąc drzazgą oniemiało serce
w świętej wodzie dłonie zanurzone
kłaszczą marzeniami wyludniałych trybun

idą uczniowie
niosąc własne twarze
w pośpiesznym łkaniu modlitwy spragnionej
i ciemność spadła spopieliała dłonie
kaloszami zmierzch rozdeptał ulice
rynsztokami spłynęły wczorajsze nadzieje
plamą krwawą w jesieni oszalałej w tańcu
palce cisza znów łamie
ból oniemiał w trwodze
szalone konia opuściły łąki
biegły teraz polami miedzą krwi spragnione
bielą lat przeliczanych ociemniałych okien
czym twoje dłonie
w oczach przyjaciela
resztki nocy odeszły w zdaniach ciepłych marzeń
wyschły bruzdy przeciętych losem dróg spragnionych
drogowskazy zamilkły
w pięść umarły zdania
pacierzem twoje dłonie – amen w nich kołacze
otwórzcie drzwi na oścież –

V.

czarnej matki pościeli wysuszony płód
perekłonom i wyciem oniemiałej suki
gdy księżyc drwił melodią –
zacządziałym tangiem –

a śpiew ich gniótł w pola kukurydzy –
– owoców kolbami lat – czterdziestych warczał –
stary bęben –
heto tak – heto tak –
pazurami noc darła matek moich łono

i śnieg im sypał w ciemnym orszaku zawilgę
w pamięć ranioną białym całunem golgoty
i szły jak Marie pełne strachu
a puste groby zakwitały –

Mówiłaś Matko:

Pod wydeptanym progiem zakopałam nocą skrwawioną pępowinę,
z zielem święconym podążającym za światłem.

Powiedziałam wtedy: ciemność bielmem zatrze mój ślad i nie będę
mógł dojrzeć studni z zatopionym lustrem ostatniego oddechu ojca,
wezmę wyschniętą i starzejącą się pępowinę, rozwiążę jej nieznane losy
a usłyszę swój śpiew –

Mówiłaś Matko:

Kto rozmawia ze mną – syn mój jest we mnie – we mnie jest jego
język i płacz jego –

Mówiłaś Matko:

czeremchy kwitną gorzką wiosną

A potem już milczałaś. Wiatr w izbie tańczył. W świętym obrazie
śmiał się pająk. I noc staczała się za pijaną górę.

VI.

ściany domu pękają mój Ciemny Bracie
w milczeniu niech opuszczę tę ulicę
porytą gwizdem opętana strachem
z wiernym kamieniem –

ściany mojego domu westchnienia zaułków
krew tapety zmyła kłamki ktoś odliczał –

Ciemny mój Bracie to jeszcze nie ulica
i nie ten dom i nie ten śmiech grających w karty
i nie tymi drzwiami
wchodzą słowa szalone nieokiełznane wiatrem
bo wiatr nas jeszcze pieści kiedy dom oddalasza
jak stary list dzieciństwa w strzępach elementarza
pędzą sny w westchnieniu ściany domu pękają
a ty mój Ciemny Bracie szukasz szklanki z wodą
zapij wczorajszy dzień i dni pomylone
co krwawią raną jak przecięte niebo

mój Ciemny Bracie bielmem chleba zdławiła cię noc
i powieka matki o świetle krwawiąca
gdy dostrzegła twe znamię piekące zachwytem
orderów wiekuistych lament –

palcami świat jej czym prędzej zamknąłś
– niech mama już nie patrzy –
– zamilcz stara matko –

powtarzałeś do krwi swojego pacierza
i płacz w nim zaskrzepły na twarzy rozkwitał

mój Ciemny Bracie jeszcze oczy matki
w koszmarach śnie wracają
– dokąd idziesz synu –
a tyś powiedział drzwiami zaklinając
– krew na mnie i na synów moich
wróciłeś w garniturze strachu
w pole garncarzowi sadem pobielone
wstało pod powieką szklanego już oka
matki czuwającej w modlitwie

bo nasze słowa – mówiłeś –
patrzac na spękanę ściany domu
zdejmując pas leniwie różaniec swych dłoni
– bo nasze słowa niby kula zbłąkana
ugodzi w wasze skamieniałe serca
– bo nasze słowa na jutrznię pisane
wyjdą poza lament świszczącym biczyskiem
– bo nasze słowa przejdą ponad tronem Boga
i pejcz nad twoim grobem matko też zawiśnie

Mówi Przyjaciół:

Przejdiesz kilka dróg, dolinę ominiesz i wejdiesz na wzgórze.
Tam czekać będzie na ciebie pożar rąk ofiarnych i kadź ze źródlaną
wodą. Ofiarne ręce spalą na tobie szaty i nagi wejdiesz w pieśń wody.

I spotkają się w tobie dwa żywioły.
Ogień i woda.

I zejdziesz ze wzgórza, opadną ostatnie krople, pot wkradnie się na
skórę, potem krew. W ustach zakwitnie szkaradny kwiat przekleństw
i dłonie utworzą pięści.

Wracaj na wzgórze. Tam czekać będą ofiarne dłonie i dwa żywioły.
Teraz przemienią ciebie w wiatr i zejdziesz ponad ziemię obłokiem
snu.

Wejdiesz wtedy w krew i w pot, w nasienie ziemi i w przekleń-
stwo Boga.

Mówi Przyjaciół:

Niech będzie darowane śnienie twoim oczom i twoim wargom
i niech głowę swoją uniosą ponad misę ziemi, ponad taniec. I krew
niech będzie zawsze twoim bratem i przyjacielem.

VII.

zapadam w twoje imię nagle
ręce krwi żądne i płomienia
by z pieśni nocy wypłuć zdanie
ofiary potu i nasienia

ból matki rodzi śmiech księżycy
spęczniałe wiatrem nocy brzemię
wracam po słowa – wargi kłamią
i nóż rozcina moje ciemię

podaruj ciemną grudkę chleba
na język martwy ślepe oko
mój synu z dalekiego nieba
mój chłopcze
alleluja

VIII.

te noce snów połamanych wspomnień
zawiesił ojciec za obrazu ramą
z zieleń święconym z czapką niewidką
z orzełkiem na szyi w niepamięć zapadał –

* * *

I sen ojca rozorał moją krtań i wysuszył potok śliny i oczy bandażem mrocznym opasał i mówił:

Przez lata przejdiesz wlokąc za sobą ognistego konia. Pod czaszką w stajni rzeć będą jego źrebięta. I nie rozpoznasz głosu własnego syna, bo zanim słowem zawezwiesz, inni zawiążą mu powróż na szyi, spętają jego pęciny i oczy wykłują marzeniami. I nie poderwie kopyt od spragnionej ziemi. I nie spojrzy na zazieleniałe łąki.

I nie wejdzie w brzęk szabli.
Bo imię Boga Ojca i Synów Jego i Świętych Obcowanie nie wskażą
mu drogi.

I stać będzie martwy.

I nie pomoże bat, łańcuchy i wędzidła.

I nie pomoże wóz wprzęgnięty w codzienność.

Nad nim mleczna droga zakwitnie i Wóz Niebieski.

A sieczka słów nie poruszy jego nozdrzy.

IX.

zza brzegów brzegu
piszę krwią palców
przyjaciół i nieprzyjaciół moich
aż usłyszysz kiedyś tajemny głos
z zamilkłego Trójkąta
z ojczyzny jedyne Ojca
ojcowizny wiary

ust wiekuistego szczęścia
i śpiewu Kaina i Abła
wśród pól rodzenia ciężkich owoców
jak pierwszy matek pot poczęty w krzyku

aż śmiechem stanie się tamten dzień

X.

ta cisza obezwładnia ta cisza
skrojona na czas i nic co dotąd
(szło tędy na przełaj)
i nie przekroczyło granicy
nie zapisano żadnego słowa

jeszcze klaszczą chodaki
gwizd bata przeciął zaułek i zamilkł
głos dobijał się do bramy
sierść przekleństwa porastała plecy
– kudy wy –
– ja Sorokowyj God –
– kudy wy –

ktoś w bramę znów kołatał
w matki brzuch zapadły
dziecko martwe w połogu śniło nową pieśń
w oknie pajęczyna krwią zbroczona zgasła
dzwon ze wzgórza lamentem
w chuście płacz swój stoczył

nad bramą wklęsła w zapadłe chodaki
powieki oniemiały
światło weszło w krew
katorżny tłum przed tobą staje
szept ranionych rósł –

– ukrzyżuj ukrzyżuj Matko swoje miłosierdzie
odbijał się od czarnych ścian Judei
– heto wy Sorokowyj God –
i śnieg manny przed oczyma prószy
bezdomność
cichy pacierz
medalik blachą mrozi
wstążka powrółem
krtień osacza

XI.

zogromniał nów zsiniały mrok
skrwawione niebo gasło mirtem
panieńskim śpiewem martwych lat
szczadziałych tęskną galopadą

za wioską szli mężczyźni w tango
trzaskały kufle w – budź zdarou –
nie przydzie toj szto tutaj byu –
i pieśń rozogni pustym młynem

nie wróci stary pies w łachmanach
wycie przecięło nieba krąg
pannom załkały puste chaty
i kwiaty martwe rżały snem

nie wróci łośki pan wielbłądów
za stołem umarł zszkarłatniałym
pod palmą tęsknych tłustych lat
ze śliną w aktach wypisanych

nie wróci w starą wierzbę grom
licho zasiadło przy herbacie
złocone usta szept landrynek
łotr już naliczył siedem gwiazd

na niebo znowu ktoś pozwracał
letnich sobót szloch naglony
i w trawach jęk ziarnisty mak
w bruzdach legł z koniem pomyłonym

nie zliczą skrzypiec w noc zwabionych
dziewczyna z martwym lasem gra
na ciemnych włosach rąk szalonych
nie kocha nie szanuje rdza –

zogromniał nów zsiniał mrok
i palce szły gęsiego skórą
by dojrzeć świtu gwiazdy próg
łakome słowa w słonej ciszy

XII.

nie uwięzi moje szlochanie
twarde ściany – zębów nie starcza
sznur krawatu wściekłość banalna
parzy rannej herbaty zdanie

uwięź Panie moje lat trzydzieści
grdykę śliny otul pępowiną
w ręce berło kamienne mi daruj
zmazą nocną zetrzyj moją winę

matkę krwawą snem nagłym umarłą
gdy nie starcza mi pełnego lata
zasadź we mnie to zdanie ostatnie
niech zakwitną podeptane daty

zabierz Panie pot mój i ciało
ślina wierszy sączy się uparcie
w sercu pustka nagłego poranka
gdacze we mnie przeklętym tańcem

XIII.

wierzby już nie płaczą groźne mierzą w niebo
konarem martwym wrastają w ciemne skronie
lękiem snu umarłego w waciaku zatęchłym
by dojrzeć na łące skrwawiony rumianek
zapytasz oto niebo a odpowie ziemia
snem skaleczonym wyjdiesz za roгатki miasta
opuścisz chichot zamarłych już trybun
dojrzysz jak matka ulatuje w niebo
w wianku z szaławii majeranku i mirtu
dojrzysz na ziemi połamanych w tańcu
i śpiew na ślinę rozpisanych w zachwyty

w zwalonej nocy ciężkiej od zegarów
od ślubnych sukien w naftalinie dziejów
na przełaj biegną dzieci rażone martwością
i nikt już nikogo rozkazem nie rani
choć pada – powstaje – gnije cierń ulicy
choć powstaje – pada – świstem uwolnionej smyczy
i z błot poleskich zapadłych jak rana
jak blizna wiersza z której krew wycieka
płynie już w pieśni podeptany anioł –

– ułani ułani malowane dzieci –

żadna pieśń już –

I Mówił Ojciec:

Śpiew obumiera niczym nasze zdania w alkierzu, kiedy uśmiechnięta dobrocią twarz Neurologa próbuje dojrzeć nasz lęk i bronić nas przed napastliwymi snami. Albowiem wielki jest Dzień Medycyny i Pacjentów Wielkiego Szpitala i Ordynatorów Jego. Kiedy otwierają drzwi

szpitalnego alkierza, w Dzień Rezurekcji, widzisz rozścieloną łąkę zasadzoną śpiewem glinianych ptaków. I nie potrafisz przekroczyć tych progów. I śpiew zamienisz w szept. I wyjaśniasz swoje sny i dzieci nie narodzone. I widzisz Europę jak przewraca się na drugi bok. I widzisz jej odleżyny –

A kiedy kogut trzykroć rozbieli ściany Wielkiego Szpitala, dojrzysz na małym podwórku ocienionym wrogą ścianą, pieśń twoja spala się z machorką. I dym w oczach czaić się będzie Ponurych Konfesjonałem.

A wiersz twoje choroby nieustannie spływa.

XIV.

świeci lampa świeci źrenice czuwają
przy stole martwych przeliczają palce
kamienne na murze zakwitają gwiazdy
z życiorysu brudne paznokcie zdzierają

świeci lampa świeci rtęć osiada w mózgu
zdania pomyłone spowiada butelka
pod sufitem tańczą pejcze zachłyśnięte
pacierz wiarę trwoni w ziemi obiecanej

świeci lampa świeci Salome w podskokach
w czyjeś słowa uwierzył? – pieje kur piotrowy
pod powieką wygolonej głowy
psy krew węższą i słowa tłumione spijają

* * *

świeci lampa świeci powieki czuwają
dziecko w piaskownicy bawi się orderem
ojca sen skamieniał zanim czas rozbielił
to jedno wtedy wycharczane zdanie –

XV.

we śnie się budzę ojca mego
w spotniałych zdaniach kroplą rosy
zszarzały mundur w śpiewie szabli
i krew zdojona w datach nagłych

którędy –
ojciec w mroku pyta
w ojczyzny zagon siejąc pieśni

którędy –
we śnie się budzę ojca mego

XVI.

blizny zostały
a krew wciąż płynie
nocami budzi serce
gdacze szary ranek
kamień ulicy
uległość zamilkła
i wozy płyną podkasane batem
śmiech na ulicach
Słonim mojej pieśni
onuce ojca twarz zakryły bólem
konie znów pędzą
głowy na kamieniach tańczą stare walce
i śpiew warg martwych
obrzmiątych imieniem
toczy się po bruku krwawym śpiewem
Salome w mundurze
(prysiudy czas zacząć)
wóz pędzi
czas pędzi

XVII.

dopala się we mnie krwi westchnienie
i dłonie w żertwie popalone
wody spłynęły drzwi zostały
stłuczone szyby w pustych ramach

nie twoją drogą sny odeszły
zbladły marzenia w tańcu martwym
wygasłe jeszcze drgały gwiazdy
nie twoim i nie moim tańcem

szalik otulił tę samotność
zdrętwiały świt kamieniał echem
i strach porastał –
nie moim niebem słońce szło

XVIII.

a kiedy dojrzysz dno
swoich i cudzych dni
podzielisz światło
na olśnionych i oślepych
ujrzesz jak dzielą prawdę
proroków i demagogów
a szaty święte pokrywają
stoły biesiadne
słowa skoczą do gardła
wrzaskiem trybunałów
kijem nawiedzonych
manna ugrzęźnie
jak pięść w zgłodniałych ustach
podadzą zółć

nakazów i zakazów
a kości łamać nie będą
umrzesz na swoim krzyżu
z obrzękiem serca
z opuszczoną głową
beznadziejnie
po ludzku

nie zdejmą z krzyża
nie uznają po latach twojego bólu
opadniesz w ziemię
podzielisz swoim ciałem
ośnienie i ślepotę

i wiatr poniesie
krzyżową relikwię

wtedy dojrzysz milczenie
zamarłe w trwodze
wargi

XIX.

Matko czarnych
Matko odrzuconych
sznyty na twojej twarzy
moje imię żłobią
i ciemność moją
wysłuchaj Matko
w pieśni
zaropiałych szmat

1980

Sen odarty

SEN ODARTY

Kraciowi

Dlaczego pieśń tej ziemi krwawi kroplą
potu
snem kobiet we wspomnieniach
krzykiem matek nocy

dlaczego krok swój mierząc
roztrwonilem drogę – – –
na kamieniu matka
płacze snem skrwawionym syna
wiersz toczy się na przełaj
w pomyłony taniec – – –

kraju mój
alergii obrazów snów łamanych
pieczęci niedorzecznych pytań
źródła łask bólem brzucha
rechotem sąsiadów

kraju wiersza cichego
pędzonego strachem
kraju boga ciemnego
sądownego w trzewiach
kraju chleba sytego
rozmienianych pieśni
na krzyżowych ramionach
w pajęczyny objęciach

kraju
zanim dopowiem zdanie
w ciemnym oknie zdarzeń
kraju litanii wiecznej
nieustannych zdziwień
kraju do ciebie idę
serdecznym słowem
krwią palca wierności
kraju bólu zwierzeń
zaufaj moim słowom
skrzepom mego wiersza

zaledwie słowo noc wypędzi
na rozstaje dróg wygonami pytań
w ciszy umierają złudne fotografie
tamten czas tamte słowa
ten czas i nadzieja – – –

dlaczego pieśń tej ziemi krwawi kroplą
potu
snem kobiet we wspomnieniach
ojca krzykiem krwawi

bo zanim dopowiesz swój czas
pędzony na oślepek hakeldamy brzękiem słów
zawiasami oliwionych zdań bo zanim dopowiesz
modlitwę utrudzoną w rozścieloną puszystość dywanu
czasów naszych boga ojca pieśni fotelami ciężkich
w organowe zaśpiewy gregoriańskie wyżyny cygarami dymu
kadzidła w lewo w prawo – duszność – krawat-nieba-powróż
jeszcze jedno zdanie landrynkami płynie zawiasy-zawijasy
zatrzaski – twarze ktoś omotał – śpij na posłaniu – w zapachu
rózanym

minęły ojca ślady brukiem krwawym
jękiem onuc pojone zamilkły usta
a we wspomnieniach wyrastała Polska
do źródeł umęczone konie szły
ze wschodu pieśni i z zachodu pieśni
krzyk wewnątrz pacierza
jak szabla ojca
kiedy w Boga i Ojczyzny imię
znakiem krzyża
strach przeklina

ojcze ze starych pieśni kromką chleba
snów wiekuistych zakwitających marzeń
dojrzyj we mnie syna dzisiejszego ze złamanym skrzydłem
wlokącego się w jutro
w twoją
pieśń kaleką
śpiewem jeźdźców bezdomnych wierszy
słowa słów jeszcze z pulsem wiary wiarołomne
jeszcze w tańcu grają metafory wiersza
jeszcze jeszcze grają – —
prowadź zanim
nie zamilkły rozstaje
ojcze zrodzony ze starych kantyczek
raniony refrenem
krzyżem pytań natarczywych zdziwień
betlejem milczące w nas weszło i ugrzęzło – — —
zanim sen odpowie
wzgórzem odległym
zdradą kaina

słyszysz?
ciszą okna już krwawią
śmiech kobiet bezdomną fastrygą szarpie schną na przyzbach
wielkość nocy rozmieniła śpiew
idą kobiety niosąc martwe płody
w husarskich skrzydłach umierają dzieci
Oh, Calcutta – tańczą w niebo ciemne
popiołem zawierzeń stągwią – – –
cisza kapie

cisza
matko
zanim światło dałaś pod powieką
i dalekie wzgórza
drogi pomyłone
zanim uwierzyłem
w twoje kłamstwo
kolorowe zabawki słów
i tylko płaczące lalki
zanim wiersz stoczył się
po pochyłości nadziei
krwią spływał różaniec
do ostatniego paciorka
zanim drzewo stało się drzewem
choć słowo było początkiem
matko
słów

nie czas sumieniem równać koleiny
losu trwożnego z równiny ku wzgórzom
bo zanim słowa odpowiedzą echem
zadrwi w nadziei pomyłony refren

rechot zawiesi taniec wiekuisty
banalnym obereczkiem obertasem śmiechu
łżą powstrzymasz szeptem nie dotrzesz
w malignie otworzą oczy śmierć obwieszczą
wyjdą poza progi aby – równać serca
piołunem słowa uwierzą kawiarnianą hordą
w powijakach niemota kiedy starość kłamie
wierszem niech odpowie nasz krok pomyłony
wierszem co w śpiewie odnajduje progi

a może kiedyś dojrzysz kwiat
za chatą ojca w noc piołunu
gdy przyczajony zakwitł czas
powrotów naszych niepisanych
gdy keli wejdzie w cichy sen
przelicysz lata ze sztambucha
modlitwy zогromniały cień
z nieba bagnetem wiersz się zrodzi
królowie zesli w oślepioną ciemność
na sianie śpiew się rozkołysał
chropowatym zdaniem

dlaczego sen tej ziemi krwawi kroplą
potu
pieśnią we wspomnieniach
krzykiem matek nocy

dlaczego – – –

a może snem powrócę do dzieciństwa stawy
pytań zdziwionych zawierzonych westchnień
matek jasnych o zmroku ponaglonych cieniem

wzgórza wiekuistego z zaczajonym wilkiem
jeszcze w snach naszych spoconych zakłębem
wierszem banalnym chociaż pierwszym w prawdzie
osiadły teraz współczujące zdania
w może w sen
wracamy z dzieciństwa koszulą
matki już płaczą na krwawych ugorach
wzgórzem powraca pies tęsknoty
zakłębem sierści
wierszem niepokornym

odeszły i tamte niepokorne pieśni
mrok ciężkie słowa powytrącał z tańca
śmiechem potoczył się dzień
w zdumione okna

przyszły znów marie
świtem szew pacierza
wymodlił wzgórze
i kamieni zamęt
ma słowa ciężkie
ponaglone
grudą pytań ciernistych
jeszcze jednym zdaniem
a serca zatrzasną się we krwi
wartkim strumieniem rozjątrzonych pytań
w ślepotcie słów pomyłonych tańcem

dłaczego pieśń tej ziemi krwawi kroplą
potu
snem matek
krzykiem nocy krwawi

tamten czasznaczony krzyżem
oślepiających prawd głuchego nieba
terkoczą w nas zegary przebudzenia
podaj dalej podaj dalej
podaj dalej
w sen pościeli
w świergot ptaków rajskich oceanów dalekich
w sen twardy gorzkiego świtania
w jutro ślepe
i te prawice gorzkie od klaskania
koguty pieją
w płotach niepodległość i szemranie wiatru
oko urzędnika z nieba opatrności oko
zmrużyło powiekę
śpiewem dalekim – wychodziły na brzeg w zbroi pytań
i szli w cieniu Oka
w dalekich miastach wielkie świniobicie
czerwonym pasmem otaczano wzgórza
w ojca modlitwę – coś Polskę przez tak liczne wieki
morowym powietrzem w kogucim zaśpiewie
w kolędzie przełamanej
lęklwym pacierzem
w noc wierną łąą ukrytą
w zanadrzu śpiewu spękane wiarą
w dom wyludniony z marzeń chleba powszedniego
i słowo ostatnie śmiechem się stoczyło
jeszcze drga drżeniem
anioł słów wiernych
nad starą komodą
tamtych słów
tamtych dni

spójrz mój synku w zadyszkę daty

dlaczego pieśń tej ziemi krwawi
kroplą
potu

pytasz synku
dlaczego – –

bo zanim wiersz dotknie raną snu
czerwonych okien ugłaskanych świateł
nim świt w nas dojrzy południem zdziwiony
jagliczne oko opętane strachem
nim Bóg żrenicą stado swe otoczy
wilki w nas ciszę wyciem pieśni płoszą
i cień odarty łasi się u nóg
i płacz nam pieśni fastryguje
by ślepnąc co dzień zamilczeć to kalectwo
nim jedno oko zapomni o drugim
i zanim słowo przemilczy noc zdania
przejdą milczeniem ochwacone wiersze
powstańcze lasy porośnie legenda
wierność przykryta kolorową chustą
bezdonna weronika piorąc całun płacze
i rehot judaszowy za pazuchą strachu
bielom w nas dźwiękiem groszem hakeldamy
na postumentach stoją okłamane dzieci
i płacz w nas nocą po kryjomu błądzi

kalectwo nasze – nie czas rany lizać
Marionie dumny – pragnienie ucieczki
pomyliło wzgórze ugrzęzło w dolinach
i biegnie na przełaj polonezem wiersza

EPILOG

Ciemność zdławiła wiersze nagłe
strzępami gazet śniła ziemia
ulicą przeszedł Ciemny Brat
jak Cień odarty ze wspomnienia

liszajem osiadł dźwięk srebrnika
na obcych twarzach w bruzdach lęku
przeżarte działą w misce strawy
narcyza pomieszany sen

już nie ta ręka wargi spuchły
okno zabliźnił bielmem czas
krojone czerstwe kromki chleba
błądził w nich jeszcze stary walc

na ścianie pajak w krwawym śmiechu
usnęły wiersze jak bandaże
i krzyk się stoczył z tylu lat
rechotem pobiełałej twarzy

rodzice zeszli bez pożegnań
nie wyprostował nikt tych dat
ciemność zdławiła wiersz ostatni
gdy znów zapukał Ciemny Brat

1979–1980 r.

Epitafium

1.

królowie nie schodzą nigdy w doliny
nie znają śpiewu drzew
zdrętwiałym językiem ślinią prawdę
i wietrzą w śnie zdradziecką krew

2.

miecz w rękach władców z ognistych słów
w popiele nurzany
dzieli naród na żywych i tych
którzy już umrzeć
nie potrafią

3.

nadzieją pozostanie wiara
iż niebo ogarnie ich stopy obrzękłe
a dłonie opłucze warowna cisza
i skowyt psów uległych

4.

królowie nie opuszczają warownych stolców
rechot biesiadny tli się na wzgórzach
obcą pieśnią

5.

obca pieśń nie spłynie do ust poddanych
w doliny kwitnących drzew
zamrze kiedyś jak papierowy anioł
kiedy się niebo w nas pochyli

6.

królowie wznoszą niebo
z ciężkiego kamienia
poddani dźwigają je na wysokie wzgórza
czasem błazen zapłacze
czasem drzewa w dolinach umierają

7.

czymże jest nóż
zapytano ojca w komnatach królewskich
milczał ojciec
i nóż wszedł w jego krtań

8.

śpiew sączył się uparcie
podchodził pod wzgórze
aż któregoś dnia wzgórze zarechotało
i śpiew zamilkł

9.

ojcze
skoroś się ojcem nazwał w modlitwie trwożliwej
skoroś wprowadził mnie w stado owiec
choć wilkiem jestem
ojcze przebacz

10.

ojcze
królowie otwierają wierzeje moich snów
i przywołują krwawą źrenicą
oddal ode mnie ten świat błyskotliwy
niech będzie cisza

11.

zapisane dni zapisane noce
i to czego zapisać nie potrafię
niech zapisze brat mój i siostra moja
w tęsknocie

12.

ziemia zbawiła mego brata i siostrę moją
wypędzając ze wzgórza
teraz błędzą w mojej ojczyźnie
w dolinach nieustannej litanii

13.

wypędziłem wiersze z własnej krwi
i z własnego sumienia
błądzą teraz ośleple
w oślepłym świecie
i pytają gdzie Pan
gdzie Dom

14.

pamięci plewionej z chwastów
wypływa krew
leczy czasami
śmiech
zastyga na wargach
i trzeba wtedy użyć noża

15.

władca myje długo dłonie jak oprawca
z krwi spleśniałego nasienia
namaszcza oliwą
i pisze historię świata

16.

w królewskiej gazecie napisano:
– wydano złoto biednym –
rzucano jedynie garść miedziaków
i biedni ich nie podnieśli

17.

warczała ziemia kiedy królewski majestat
ogłaszał amnestię
pielgrzymowi pozostał kij
i gromada udających psów

18.

jeśli umieranie w twoim śnie się zjawi
zapytaj
dlaczego przychodzi tylko raz
dowiedzieć się twego imienia

19.

kłamstwo brzęczało złotą monetą
szyderstwo połyskiwało złotem
tylko serce z niepokojem odmierzało
czas

20.

sczerstwiały chleb
krwawiące dziąsła
anielskie tęsknoty
jednakowe uderzenia serca

21.

poprawiano moją ojczyznę
trzeszczało w stawach kiedy wciągano na krzyż
krew wytrysnęła
wsiała w ziemię
zadowolenie rozsiadło się w barach dworcowych

22.

słyszysz
pieśni nowe
słowa nowe
usta nowe
stare serca
w płaczu bezsilnych

23.

uczono mnie abecadła
mądrej mowy i ciepłego domu
teraz na pogorzelisku
szukam szkiełka i oka

24.

zmęczenie odejmie ręce
stłumi sumienie
gwoździe którymi przybiją nas do krzyża
obudzą zatrutą krew

25.

z krzyżowych ramion
dojrzysz pałacowe wzgórze
i sny królewskie
coraz bardziej spłowiałe

26.

zamkniesz powieki
w śpiewie Wernyhory
przebodą twój bok
z którego wypłynie pieśń
biało-czerwona

27.

przeklinasz codzienność
przeklinasz swój płód
przeklinasz krzyż który zrodziłeś
popatrz
małe krzyże poczęły rosnać
wydały już liście

28.

sklejone dłonie klakierów
przybito do krzyża
wiatr teraz w nich zawodzi
a świat wciąż otwarty

29.

ostatnie słowa
Przebacz im Panie
Przebacz mi Panie

30.

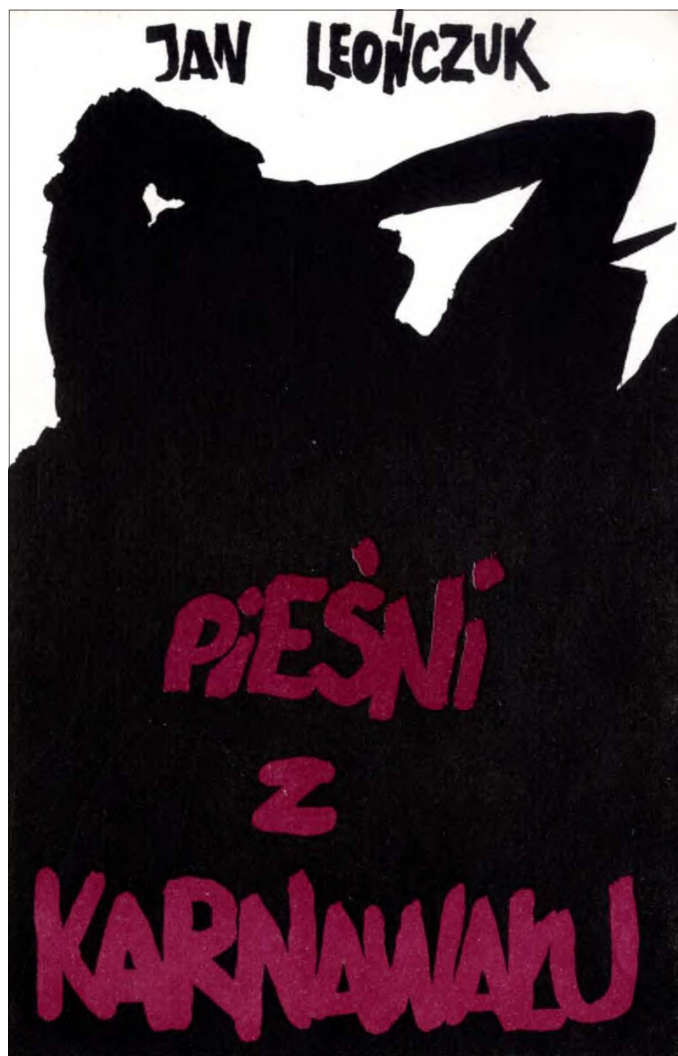
zamykasz źrenice wolne od bielma
jeszcze serce gdacze
Piotr nie nadchodzi

31.

trzydzieści jeden lat
zacierano epitafium
kamienne słowa krwawiły
twarzy nie pokrył kamień

1982

JAN LEONCZUK



*Pieśni
z karnawału
(1991)*

1.

gdy wypowiem spęczniałą krtąń
od słów
od krwi
gdy zatrzyma się nade mną w locie
anioł
i uрони jedno pióro ze skrzydła
kiedy drzwi otworzy historii zapaść
i zakrywać będą twarze pobielanym płótnem

wstanę wtedy – – –

– – – – w noc rozciągniętej smyczy
horyzontów zamkniętych w śpiewnikach domowych
załęknionych bajek
w zaczadziałych świtach
niosących czkawkę
jak hymn narodowy

– – – – –

aniele
stróżu mój
gorzałki biały strój

– – – – –

zaśpiewam

2.

pieśniom wyrwano tętnice
ulice batem pobłogosławiono
a tłum w niebo alleluja wznosi
na trybunie uniesiono dłonie
w łóżach damy w zleżałych atłasach
zaśpiewały hopsasasa
hopsasasa

tłum niewiernych
zastygł z rdzawą łyżką

3.

pieśń zbłądzona w zdziwieniu przystaje
krwawe dłonie na krtani zaciska
noc rozcięta włóczęgą niepokoju
odgłosami ciemności pryska
kot kamienny ze wzrokiem szalonych
w martwych wersach milczeniem stygnie

stoły znów wabią pacierzem rozpustnym
dzielą szaty już z krzyża zdjęte
potem wspólna fotografia rodzinna
piers wypięta
piers wypięta
order

4.

do cholery z muzyką
z podrygami
krynolina słowa przeżarła
usta dławią zjełczałe odezwy
bo w tym raju
bo w tym raju
pieśń rośnie

5.

ściana słania się pijanym stropem
wrzody okno zakryły kotarą
krtań uwiera gdy krew pomyłonych
przed oczyma zaskrzepłą gwiazdą

jeszcze idą rycerze – – –
rdzą zasieją prorocze wysypiska
szczury węższą krew w dziurawych hełmach
na bagnetach niebo zawisło
szumi krew w zdrewniałych tętnicach
ręce z bladych ksiąg uniesiono
ponad ciemność starczej Sybilli
krzywe koło i śmiech popędzono
białe ciało zwalonej Nike
w chuci werbli gwałtem zadrzało

– – – – –

płacze Nike raniona świtem
dłoni łożono zgwałcone osłania

miecz w kloaczny dole zanurzony
a tu grają
a tu hrajut
tut śpiewajut

jeszcze idą rycerze
ziemię kreśląc wystygłym mieczem

krw bulgoce
w suchych pergaminach

6.

zapisalem datę splamionej sukmany
Rejtana u drzwi baru nocnego
w zatęchłym waciaku kurtyzanę
w betlejemie miejskiego śmietnika
zapisalem bogów szpitala szaleńców
krzyk na ścianach gasł pokonanych
zapisalem noce dziurawione lękiem
nagły telefon nakazane zdania
zapisalem trzydzieści zaśniedziałych srebrników
pytań o sny rozkiełznane wierszem

w pobladłe tapety
nie przyjąłem – wołałem – nie przyjąłem –

7.

tyleż już lat – – –
pając śmiech swój szkarłatem obwieszcał

kiedy suknię dzielili
drzwi świątyni zatrzasnęły się
nagle

– – – – –

czemuż twój pajęczy los
zawieszony w ciemnym zaułku
kiedy snów tak wiele potłuczonych
nad ranem
nad raną

8.

tyle snów potłuczonych nad ranem
kiedy życie wdziera się oknami
suchy chleb przy ostatniej herbacie
zastygł w trwodze – – – –
wymierzony czas medytuje
wiersze skreśla czerwonym ściegiem
na ulicy tłum rozpaćkanych
chleb z nadzieją na ostatnią
wieczerzę
dźwiga swoje zmęczone lata
zgięte plecy

w modlitwie – tak trzeba –
czasem czyjaś twarz obumiera
(ziemia wtedy taka łaskawa)
odmawiają z kartek zasługi
medalami serce przykryją
ziemi garść
kiedy brąz twojej twarzy
popękany w pył się przemienia

tyle mównic
a nieba nie sięgły
tyle rocznic
splamionych śmiechem

tylu ludzi
a nocy nie przeszli
grzęznąć twarzą w kamiennym bruku

9.

nie ma krwi nie ma królestwa
bram triumfalnych szkarłatnych okrzyków
nie ma krwi nie ma bogów
nie ma winowajców

pomniki oprawców
zaślinione zdania
z wytrzeszczonej gwiazdy
opada sierść ciemności

– nie ma już nas – – –

zaczadziałe serca
chropowata pieśń
odziera ze skóry
znaków rodzinnych stygmatów pocałunków
usychająca krew ssie wyliniałą gwiazdę

– nie ma już nas – – –
płacze sen

10.

spojrzał władca zd-radziecki
spojrzały dam kiecki
karmazynowe zadrzały krawaty
– – – z dalekiej chaty
dochodziły wieczery westchnienia
wigilijna gwiazda
ośnieżony wół
chleb dzielony
pęknięte niebo
– – – – –
nie te pienia
nie te rojenia

władca rozkazał ogniem
błogosławić chaty

11.

idą ziemią przegraną
piach uwiera
wiatr płuca owiewa
pień z zapartym oddechem umiera
ponad drzewo co niebo kaleczy
szczebiotaniem zdrewniałego ptaka

— — — — —

i przystają nad martwą rzeką
myją rany zbudzonych kordianów
wierny język rozpruwa strofy
chłepce klęskę skrwawionych kolan
jeszcze słońce jak dawniej się wlecze
nad spętanym sercem grają wiatry
dzień się dusi pod korytem nieba
jutrznią wschodzi zza ciemnej gwiazdy

sztandarami niebo usłane
plakataми ziemię przykryto
sloganami znów dymi koryto
tylko czasem pod wiślanym bandażem
rdzawą plamą krew przystaje
zdziwiona — — — —

12.

czy to sen w banalnym kazaniu
homileta w roześmianych żyrandolach
księgi nowe jak żyć jak umierać
jak schodami do nieba wędrować

na poręczach wisi starcza żądza
ślina chwały ocieka na piersi
wota dzwonią zuchwałym wierszem
z pól poddaństwa podkasanych pejczem

sygnetami na starczych palcach
grożą niebu w zamilkłą twarz
– czy towarzysz Bóg dziś zajęty – – –

– – – – –

budowałeś pomyloną wieżę Babel
arka twoja nie przybiła do brzegu
liczysz czasem ocalałe palce
krew na dłoniach
krew na sercu
wszędzie krew
nadśłuchujesz piekła sąsiadów
węszysz serca jak uliczny pies
czasem ciemność olśni – znienacka
trwoga legnie u twoich drzwi
ukłękiesz w sobie
za Herodem powtórzysz
– oczyścić serce z niewinnej krwi –

13.

polowanie na smutne oczy
na bezdenne noce przy komodzie
na pożółkłych fotografiach
szabla przy ojcu – – –

ponad bielą grodzieńskiej fary
śpiewające lance niebo kłują
– malowane dzieci – malowane dzieci
– malowa – – –
żadna pieśń w pozłacanych ramach
nie oderwie się od ziemi
bez krzyku

czy tak można – – –
czy tak może – –

fotografie ze strychu spalono

14.

fotografie spalono
zatrzaśnięto drzwi
zaciemniono okna kiedy pieśń zakwitła

i szept chłopięcy
w wystygłe niebo telewizora
oddaj twarz skradzioną
zwróć wyklute oczy

wyrwij fałszywy język skaleczony trwogą
oddal garbatą historię wyliniałej ziemi
wyprostuj ścieżki do chat obumarłych
otwórz refreny zaczadziałych pieśni

i ciało otwórz
niechaj krew zatruta wypłynie

15.

pod ośleplonymi oknami
pod zapartymi drzwiami
srebrnik drąży podziurawioną biblię

na polu garncarza Józefa M. ustawiono krzyże
garbate mogiły
którejs nocy krzyże odeszły
mogiły wyrównał ociemniały czas
gazety milczały
zegarów serca były przyśpieszone godziny
drżały wskazówki małego elementarza
to jest Los
Niepokonanych
taki jest Los
Podeptanych
Zwycięzców
następna karta była biała
wpis „ku pamięci”
zbрызgany był krwią

po co dumać
nieboże
kiedy Prawda w Receptę wpisana

16.

tą drogą idą pielgrzymi by dotknąć czarnego
pod krwistym dywanem lepkiego nieba
– tak trzeba – tak trzeba – dla chleba –
skandowały tłumy neofitów

tam masz iść –
tu przystanąć
z tym rozmawiać –
tamtemu w twarz splunąć –
my to wiemy –
my was na człowieka –
my świat cały –
rzekł władca zd-radziecki

tędy idą pielgrzymi z macą serc strwożonych
i pobladle Trzy Marie z butelkami oliwy
nie znalazłszy grobu dojrzały śpiew znany
w złożonych epoletach lśniły krzyże chwały – –

17.

śmiech dam „z towarzystwa”
w krtani cisza drażni uparta
słowa
słowa
gangrena
błysk lampy
– nie bądźcie uparci
zanim jeszcze jesteśmy łaskawi – – –

18.

o Madonno o ciemnej twarzy
serca nasze w obroże wdziewają
pachnie pańskim kankanem
odświętnym ujadaniem
smycz lepkiem węzem się słania

pan się kłania – wy wiecie
pan się kłania – my wiemy

lampa wierci w mózgowiu
pacierzem

19.

czerw dotyka skrwawionej skóry
zaślepiona nienawiść pod orłem piastowskim
drzemie pajak niesyty krwi
wspomnienia dopływają zdartym refrenem
– witały nas pochodnie płonących domostw
skamlała gwałcona młodość
tylko Chrystus opadł niemo z krzyża
z otwartymi ramionami – – –

20.

Ojczyzno – deptana podkutym butem mojego
brata
Ojczyzno – despotów i generałów
Ojczyzno – nagłej krwi

nie uległem choć czerw żłobił nowe tętnice
choć ślina zmieszana z krwią – – –

Ojczyzno

moja Ojczyzno

Ojczyzno czołgów węszących na ulicach krew

dzieciństwo z okaleczoną lalką zapytało matkę

„mamo

kto nakręcił tak duży czołg”

Ojczyzno

imię twoje wytatuowano pałkami

Ojczyzno – – –

21.

po lej stole biesiadny
szkarłatem okryty
to wieczerza ostatnia mój bracie

ciemne oko znów mrużysz
losy nasze przeważasz
na wątpliwe zyski i straty
na zdrowie polska duszo
niechaj ciebie nie ruszą (śpiewasz)
niechaj przejdą bocznymi drogami (marzysz)

władca gorzko się skrzywił
zabulgotał żądzami
może przyjdą z gwiazdami orderów – – –

świat ciemnieje w judaszowym grosiwie
niebo ziemię podzieliło rechosem
archanioły tańczyły kankana
wiersze wędły na przyzbach
zamierały w zdziwieniu

wtedy tylko bezdomni płakali

Ojczyzno
dziurawionych lękiem – – –

22.

w widzie białej mej pani
o poranku jaglicznych nadziei
dali wiarę że żyjesz
że umierasz
dali białej pani łzę

23.

kiedy płaczę nad sobą
łzy spływają ukradkiem na dłonie
palce chyba nie moje
dłonie też ukradzione
rozedrgane strwożonym refrenem

biała panno nadziei
pieśń dziadowską
zaśpiewa nam władca

24.

panny w dłonie klaskają
pannom piersi mlaskają
panny piorą skrwawione krawaty
panny twarze rumiane
w batystowych chusteczkach ukryją
mysim śmiechem załkają
z biedronkami kropel cudzej krwi

na piersiach
porcelanowe rewolucjonistki

czemu kpisz – – –
czemu śniesz – – –
chochołami zakwitło już niebo – – –

– – – – –

i powracasz z jarmarku
smycz za tobą się wlecze – – –

25.

szukam Pana i Cienia
bicz nade mną
i serce zwątpienia – – –

26.

tyle snów podeptanych
tyle pieśni łatanych
i dziurawe w nas niebo zakwitło
idą znowu jak Bracia
i przy studni przystają
serca ludzkie wachają
nie pytając o sny

– – – – –

zapalimy znów skręta
rozmowa rozpoczęta – – –

27.

czemu milczysz mój bracie
czemu oczy daleko już błędzą
strawa język nasz parzy
przepocony wojenny koc
bezdomnych noc
chleb dzielony począł znowu krwawić
w pustych ścianach sufit brzemienny

czemu dłonie nasze rozstrzelano – – –

28.

wiatr na polach
wiatr na słowach
pałac władcy pod niebem siermiężnym
kij i ziemia ciężka od oddechów
ślady martwe
bezdomnymi pamięci ścieżkami
przebiegł trwożliwy zając
jak wiersz
nie pytając

29.

posnęły panny nabożnie
z kroplami krwi w gorsety wpiętymi
milczy las zastrzelonych
milczy czas zalęknionych

obudziły się panny
z krwią na dłoniach

30.

a kiedy dokonano mordu
i ciemne psy apokalipsy legły nasycone
matka wyszła na próg
ale wielka ryba nie wyrzuciła na brzeg jej syna

kainowe ołtarze dymiały
a dym zaciskał powieki
i ból pętał zanim nie wypowiedziano –
– przebaczymy –

a matka widziała coraz gęstsza mgłę
pokrywającą ziemię
i usłyszała głos syna
– nie płacz mamó
psy apokalipsy obudzą się w głodzie
i nie nasycą ich ciała nienarodzonych
rzucą się ku krtani
aż krew wypłynie świadectwem prawdy
„a duszy zabić
nie mogą”

31.

ruszyłem za głosem matki
pępowiną mego świata
poprzez bezsenne noce w litaniach zadziwień
poprzez antyfony spleśniałego chleba
tak trzeba
tak trzeba
dla nieba

aby potem niekiełznaną krew obudzić

32.

jeszcze grają upadłe rymy
jeszcze słowa rosną na wargach
kneble wiatr odważnie rozdziera

tyle twarzy pogubionych zdeptanych
skamieniały w bezwstydzie
uśmiechów sprzedajnych
tyle twarzy
bez oczu
glinianych

33.

trąbiły archanioły czarnych
trąbiły anielice purpurowych
znoszono gliniane maski
w jeden grób narodowy
śpiew rozdzierał zasłonę nieba
rozwieszoną nad czasem kamiennym
mech porastał grób bezimienny
marmurami
i strachem

34.

na skrzywionym horyzoncie
pielgrzym matki zamarły

35.

o Madonno ze sznytami na twarzy
o Madonno od ciemnych zaułków sumienia
przed zelżoną matką wydeptane progi
Miłosierna z sierpem z młotem pod stopami
uśmiech zsyła ku martwym przechodniom

płacz ciszę rozrywa
bezdolnego dziecka

36.

Ojczyzna moja Ojczyzna
rozmowa kontrolowana rozmowa kontrolowana roz-
krzyże z petard krzyże z kwiatów zakwitły
rozmowa kontrolowana rozmowa kontrolowana roz-
dziecko płacze nie wznosząc piąstki
rozmowa kontrolowana rozmowa kontrolowana roz-
palcem pisze po niebie Zwycięstwo
rozmowa kontrolowana rozmowa kontrolowana roz-

rozmowa kontrolowana
rozmowa kontrolowana
rozmowa kontrolowana

37.

pochylone w nas domy
liszaje starości
rdzawe kubki pragnienia
wypitej młodości
pejzaże wyblakłe
jelenie spłoszone
cwałują jeszcze
ochwacone konie
rdza porasta wargi
trwożliwą modlitwą
spływają marzenia
milczące kamienie

38.

na górze róże na dole aniołki
wierszyczki pierniczki zgłupiałe fiołki
stokrotki dewotki wierszokleta poeta w sztambachu
na brzuchu zdania szczypania
sen wołem ryknął ideologia śpiewania
Hania dosiadła Frania – wiersze spływały w popłochu
w krynolinach dziewczynach perfumach poszumach
krochmalonych halek i krzykliwych lalek
w sztambuchu: drogiej kochanej koleżance waćpanie
towarzysze – szeptano – towarzysze
jeleń z landszaftu uciekł po kryjomu do domu
w zagajnikach kurnikach w daczach i w pałacach
trąbiono – – –
– – – znaleziono posolono zjedzono

39.

w sztambuchu: a nas sen zmorzył dziki a wokoło pierniki
gadanie szeptanie krzyki zjazdy zajazdy limuzyny dziewczyny
rewolucje wywołam i przyniosę złote kolczyki
brożki rożki pierożki
potem w bujanym fotelu
w zamorskim hotelu
złożę raport

40.

Ojczyzno moja – – –
rozmowa kontrolowana
rozmowa kontrolowana
rozmowa kontrolowana

41.

napisałem trącając serca lukrowane
w cukrze maczane
na szefana klatki na gagatki
na pałace na racje wiece na biegunki
na sprawunki na kichanie na szlochanie
na zjazdy na zajazdy na bimbanie
donos

ćwirli pirli zegarki nakręcone
historia w zbutwiałych podręcznikach
plakaty czerwienią farby
w śłozach natrętny czas

42.

schnie lebioda wierszy
w pożółkłych papierach
zawodzenie w starym rymie
zagrycha śledź myśl daleka
kaleka
wyzwolona wersem zdyszany

na ukosy na zakosy na przełaj
z komitetu do komitetu
z rozebraną myślą do rosołu

a tu drzwi otwarte na oścież i wc
towarzysz M. w ostatnim wersie trzymał się płotu
rżało niebo
defiladą

43.

mole wiersze sztambuchowe płoszą
igrzyskami wabią niebiosą
władca z dworem opuszcza komnaty
wyjeżdżają dyplomaci na raty

psy bezdomne zostają
i niebo kalekie

44.

fotelowe czasy hotelową pianą
słodyczą pozłacaną gromem ciszy
robaczywe zdania wyprane już z lęku
w makatkach naszych czasów oszukany Jeleń
mównice słów prostowane kłamstwem
łaszą się ciepłem zdziczałe zwierzęta
onuce więją niepodległe pieśni
zapachem paraliżowanych snów
połamanych marzeń
w snach łkają godziny

legend stłumionych nadziei
włoką się ulicami kościuszki siermiężne
ojcowie w bindugach
w pokornej pościeli
na szachownicy jeszcze królowe i damy
uciekają w popłochu weselne rydwany
turkucie ulic pod kamiennym niebem
butny but ulicy zapragnął być mieczem

45.

a śpiew rwał klusem polem kwiaty mdlały
czerwone maki myśl płocha ktoś za ścianą płacze
– oddał sen sprzedał życie –

niech pan jeszcze wróży zanim drzewo skona
szubieniczne góry odwołają skazańców
zaleczone rany zakwitną piołunem
gorzkie nadejdzie lato
pojone konie śpiewem –
– malowane dzieci –
nóż ucichnie
wyschnięte bandaże
pieśń
uniesie do nieba

46.

szukając języka wyłamano zęby
światłem zabito bezsenne źrenice
oślepieno puste ulice
okaleczono palce
zdarto paznokcie
wiersze upadłych aniołów
na ziemi tej poległy
bezzębny starzec ze skrzydłem
otulił ranioną ciszę
umarły pod bielmem źrenice
palce rozmową umarły
twój czas zabity
twój czas zabity
szukając języka wyłamano zęby

47.

nazwisko
imię ojca imię matki
– w Imię Ojca i w Imię Matki –
data urodzenia
– data śmierci została wyznaczona –
przynależność
– sumienia nie objęła gangrena –
powiedziałem
że drzewa szalone
ogień wchłonął a drzewa zostały
powiedziałem że słowa wydarte
na śmietnikach porosną wierszami

48.

otworzył władca psiarnię
obroża obroża obroża
zatrąbiły przyboczne straże
pan rozkaże pan rozkaże pan rozkaże
wypłynęła ponad wody ryba śnięta
rozpoczęta uczta rozpoczęta
żądna uciech piana spływała
piers w orderach beztrosko śpiewała
w ustach wrzody ojczyźnianych mów – – –
dłonie zrosły się od klaskania
życiorysy ciążyły w kolanach
epolety
pistolety
gaz

49.

czemuż wiersze uległy
zranionym snem budzą
papier głodem ciemnieje
entliczek pentliczek
wygodny nocniczek
pogłaskany wiersz
zdanie czochranie
na każde zawołanie
kolędziółka majowa
pierwsza krew
stempel do nieba
lep

50.

lalki ucichły
kluczyk już je nie nakręca
pajacom posiniały nosy
na biesiadnych płótnach odleciał dwór władcy
w pustej łoży karmazynowy tren
wirujący bąk
wernyhory lęk

51.

wypchany ptak miał żywe oczy
kiedy sen odpłynął pod powalę
– nie możesz uwierzyć – powiedział
– że twoje oczy mroku nie podziela
a martwe ciało nakarmi ziemię

– nic więcej – szeptało echo
– nic więcej –

52.

gazetowe chmury rechoty biesiadne
niedomytych szklanek popękanych pieśni
prawdę ryjąc rylcem na kamiennych twarzach
niosą bóstwo pomarłe w nowych elementarzach
wydzierając z nadziei ślad popiołu krwi
karmią prochem nabrzmiąłym z betonu i zgagi
nowych słów przeżutych a już obumarłych

pieśni co nieba nie sięgły i kamiennych bruków
wiatr przechyla głowę cmokają klakierzy
wiersze u drzwi czekają w służalczym podmuchu
– na kolana – wołają brzuchy wielkich domów
i mowy wielkie ścielą się jak mgła
w papierowym pejzażu płaczesz mój synku maleńki
nie wiesz jeszcze kiedy zatli się twój dom
mrużysz oczy przed słońcem zza butelki
rośnij synku ponad gazetową krew

53.

zbyt wiele bólu – las się zapadł
pejzaże zbladły znów przed czasem
zbyt wiele kiczowatych słów
by zapachniała chlebem Polska

zmarli ojcowie idą w niebo
krwawią ugory horyzontów
zbyt wiele bólu by malować
ich rozpaloną wiarę świętą

nie czas powiedzieć trzeba żyć
w makatach europejskich zdań
gdy hardy podkowami krok
wymusza takt – podkutych rąk

to stare rymy jutro nasze
medale dzwonią jak roraty
zmarzniętych rąk nie podjął nikt
znów idą aby zabić brata

taki to czas taki to czas
tykały nowe już zegary
i palec grożąc Bogu w twarz
godziny znaczył krwawym ściegiem

taki to czas zbyt wiele bólu
znowu zmieniono czyjąś twarz
farbą czerwoną kryte słońce
pachniało krwią – – –

pisane w latach 1981–1982

*Zawołaj raz jeszcze
ciemnym wierszem
(1991)*

*Bogusi Maksimowicz
i Jej Najbliższym
poświęcam*

Pieśni i dni

Część pierwsza

(wiersze z lat 1975–1980)

I

za krtanią śpiewu drzewa płaczą
świtem nizany szept pacierza
pytania wschodzą jasnym brzegiem
wzgórz wiekuistych z których żadne słowo
nie wraca cichym tętnicy oddechem
zakłète w źródło z boku w krew uwierzy
płaczą już rymy denarami sklète
w zdania uwierzyć w drogę do Damaszku
podkową aureoli szczęście poranione
w ramionach płacz – nieodgadnięty sen
w ulicach szelest robaczywych dat
którędy – – –
wiatr ogarnął płomienisty sad
chata czerniała dymem Abla

* * *

to jeszcze jedno zdanie serca swego szuka
wierszem skopany wiatr deszczem zachlupał
i noc jak krnąbrny anioł pomyliła wzgórze
osiadła współczująco naprzeciwko źrenic

II

moją chatę wojna rozstrzelała
Biali wzięli za swoją
Czarni krzyż stawiali

nim ogień spoważniał
w zgłiszcach ptak się wylągl
czarną wroną strachu

krzyżem legł ojciec
na krzyż matkę wbito
babka w sen uciekła
drzwi nie zatrzaskując

moją chatę za łąką
wojna rozstrzelała – – –

III

kwieć brzoźami śpiewa jednym tchem
śpią rycerze pod księżycem krwawym
na wierzbach pieśni płoną okryte sloganem
to jeszcze jedno zdanie – – –
zdarta płyta krzyku
recitał strip-teasem twarzę śnieg omotał
zima czerwienią szarpie kwieć w kieliszkach chlupie
krzyże na piersiach krzyż na barkach cierniem
polonezem prowadź gólgotę czas wniesie
zagrajcie raz jeszcze na spękanych dłoniach
Chrystus umiera w słowach konanie zaczęte
polonezem prowadź – maki w krwi już szumią
Jezus ulicy przelicza kamienie – – –
feretrony płaczą w rechocie spizowym
a żółte pola kawiarnianą zgagą
palą stopy nadzieją – póki my żyjemy –
podaj zbroję – słowo czyste – otwartą źrenicę –
haszysz maków czerwonych – jeszcze nie zginęła – – –

IV

ciemny wiatr w słowa zakolał
denary hakeldamą gasły
wśród drzew zamarłych w białym śnie
krwią wzeszło słońce serca piał
na drogach moich szept pacierza
uwity z ziół zaśpiewał dzwon
gdy w ciemny wiatr pęczniały hasła
pokłony w burzę sen rozniecał
ojciec powtarzał w niebo zapadłe
kwilił śmiech luster potłuczonych
z krzyżem na piersiach szedł na przełaj
pszeniczne słowa jesień zżęła

a potem szli a wiatr rozwiewał
całuny matek wiatr osuszał
a potem szli – – –
– – – nocą zbladła
za oknem wiatr w ciemnościach brnął
w pokrzywach martwy kogut śpiewał – – –

za nami biel przed nami biel
a wewnątrz twardy rym pacierza

V

sen krwawi przypomnieniem krwawi
łą z boku krwawi kiedy włócznia wątpi
noże rechoczą w pustej chacie zdarzeń
oczodół nocy w sumieniu się nurza

tam jedno zdanie jeszcze jedno zdanie
na martwych polach krwawi jeleni smutny
i złota rama rozwarła strach nieba
krwawi noc odpustów czerwonych lizaków
sedesów wiernych kiedy sen zza płotu
kotem się skrada w podwórze natchnione
piołunem i goryczą ozdobionych mirtem
salome tańczy pieśń okrutną wznosząc
krwawią usta świtem krwawią zapytaniem
salome noc rozwija pomyłonych gestów
krwawi anielska kładka strumykiem wątpiących
dzieci za piecem płaczą w śnie krwawi nadzieja
salome noc rozwija krwawi sen bez końca
i głowę jana wnoszą wschodu jaskrą krwawą – – –

VI

dym wiary – jutro klakiera – wewnątrz krew się burzy –
ludowe zaśpiewy z gwizdkiem kogucikiem –
jarmarki przelękle – słowa w brylantynie
czają się zalotnie uniżone orszakiem
w lustrach śmiech zamarły – – – milcz wierszu –
sączy się krew – pękają zdania – oby w siłę rosła – – –
matka w święty obraz uciekła z tej ziemi –
– na drogach tabun utuczonej wiary
ugory w zielnikach – ocieplone fotografie –
wystygłe palenisko – dziecko śmiechem kwitnie
obląkane na starość karmi chore ptaki –
klaszczą na cztery strony świata – klaszczą zimne dłonie –
chleb krwawi – chleb dławi – – –
daj Panie dym ofiarny
daj Abła wytchnienie

VII

w starych albumach żyją jeszcze święci
od kładek zbyt wąskich
od bagiennych ścieżek
od słów szczebiotliwych
od drzwi zatwardziałych

jeszcze aniołowie zakładką śpiewają
od progów zbyt wysokich
od ranka chininy
od białych szczerością
myszek pomyłonych

od zdań prawdziwych – – –
w starych albumach żyją jeszcze święci – – –

VIII

za lasem już drzewa wybiegają kłusem
snuje się cisza do wsi przyszywana
garnki na żale schną z płotem poległym
ugory zmartwiałe – – –
jeszcze mokrym wschodem łzy odpoczywają
kobiety sen znad oczu odgarniają z lękiem
wiatru psie skomlenie w jesiennych śpiewaniu
bielą przykrytych wiarą chust pranych o świetle – – –

za lasem rozwidnia się milczącym zdaniem

narodzie drzew dumnych i snów pokrętnych
dni zwleczonych w barowe puste popołudnie – – –

IX

a kiedy ciemność zaskoczyła w drodze
krtanią ściśniętą palcami księżycą
na białym wozie modlitwą usłanym
za horyzontem piołunowe podwórza
psy nadaremno wzywają legendę
gdy w pustej budzie ość rzucona drapie
ciemność wpół zdania a biel snu ogromna
śniegiem spowija bandaże jesienne
w serce wpadająśmy tajne światła lampy
zdarte refreny porzuconych pieśni
pijane drogi chłodem w nas wchodzi
ojciec ułańską szablą ciemność żegna
matka już śpiewa – Boże coś Polskę – – –
przez nasze słowa jeszcze nie spisane
ślady wyblakły pamięcią strwożone

X

zawołaj ciemnym wierszem
zniewolonych ramą
złotych jesiennych westchnień
ciepłych drganiem żalu
płotem elementarza
kota śpiącego pod hipnozą wróbla
pobladły słowa
pobladło życie
przywołaj ciemnym płótnem
zawiedzione Marie
tysiące grobów w śniegu
w nieczułej pamięci
rogiem złotym nie zwołasz – – –

wiatr rozpędził pomyłone słowa
zmęczoną twarz
zmęczone życie

zawołaj raz jeszcze ciemnym wierszem

XI

śpiew wspomnień wśród bieli
w pościeli płynącej
w śpiewie sennych potów
gwiazdą krwią nabrzmiącej
zacharczała noc
obcych drzwi obcych słów
snu podzielonego
za oknem cisza wisi
serce już w galopie
ślady powybrużdża
wydłuży westchnienia
samotność ukrzyżuje
pragnieniem – – – pragnieniem – – –

o keli keli – zaśpiewały zdania

XII

poplamione niebo
w roboczym fartuchu
zdania sięgały
w ranę niepokoju
rozlały się wiersze
ktoś szepnął – dlaczego – – –
i świt fabryczny
westchnienie pochłonięte
rozkrojonym rankiem
chleb ociekał smalcem
południe obwisłe
w kuflu się taplało
nocą pociemniało
poplamione niebo

czytałem pochylone zdania
płot nadziei chwiały się niepodległy
kot przebiegł alfabet pokaleczył Olę
tam był Las
tam był Los
teraz nie gojąca się rana

XIII

imię w ciemności gwiazdką z serca
krwią z palców mierzonych w niebo harde
dusza chochoła drżąca nocą
w czas gdy pasterze z szopy uciekają
w miastach pękają pieśni polne
a w podniebieniu świta dzwon
odgłosem sygnaturki losem przerażonej – – –

Ojcie wstąp w ciemne rymy moje
w zawiei słów niechaj załka serce
banalnym zdaniem o północy
we wschodnim wietrze i na wietrze
w pieśń się zanurzy nóż księżycy
płaczem się zwinie noc bez okien

imię w ciemności czas odczyta

XIV

księżyc trupio się zaśmiał
zarechotał w szklankach
w ustach smak soli
pokrojony w zdania
śpiewy narodowe
wyżej ust się niosły
skandowane Wierzę
pacierza się złąkło
krzyknęły ściany
– za zdrowie polska duszo
niech się nic nie rusza – – –
kiedy grają
tańczą
Salome znów płacze

XV

czerwonym snem zakwitły śniegi
w noc mroźną bez dna
pociągów
zapadających jak pytania świerzbem
pytania lasów głuchych
krwistą strzałą szyn w nieznane

to tylko zdanie jeszcze jedno zdanie
krew snu wypełniła zmrok
w studniach
w świętych chatach
zagdakały rankiem serca przebudzone
śpiew w niebo wycelował gwoździem
na ukrzyżowanie
na golgotę ojczyzny mojej

i cisza – – –
to tylko zdanie
matki krzyżowanie
ból śniegu – śnieg bólu
łza kroplą wyszła w lodowatą noc
i wóz przesunął się na niebie o jedno zdanie

śnieg i cisza
nocą wraca sen matki
ciepłem chaty bólem chaty
niepokojem rozstajnych
żywych jeszcze dróg

XVI

obudzono miasto tej nocy
zakrzyczało okiennicami
w jutrznię bladą jak papier
w suterenie zapłonęło światło
pięło się teraz wzwyż
krzyżem
pod nagą gwiazdę

prawda stłoczona w lustrach
czkawką ciszę rozpruła

nogi wrastały w ziemię
marszem Chopina

XVII

więzienia mego makatki
pod paznokciami krew ceglana
ciemność się ślizga
noc duszna w spowiedzi

przyjacielu mój roztrwonionej nocy
harde pieśni ulizały stopy
jakże teraz wędrować tą ziemią – – –

wolność uduszono
kwiaty zasadzono

serce nakręcone
w gonitwie przystaje

oczy zaklejone
oślepy z tęsknoty

ręce mi związane
drogi poplątano
krew z boku spijają
ulizane słowa

i cisza głaszcze tylko
rozjątrzone ciało

XVIII

pulsuje niepokój
od wczoraj do jutra od jutra do wczoraj
w zziębniętych dłoniach w latach co pogasły
pulsuje niepokój ktoś zaśpiewał – ciemno – – –
zaskoczone serce znakiem zapytania – – –
aż przyjdą o świcie w rozpalone dłonie
trzej królowie życia i słowa darują
rękę oślepioną we włosach zanurzę
i przyjdzie czas
w udrękę się zwinie
a za oknami przerażone światłem
liście zejdą jesienią
wiatr włosy przerzedzi

tu nie ma już nas
i nas tu nie będzie

XIX

zachodźże słoneczko
w narodowej sukmanie
krwawiących szarpi – – –
odpustowe dziecko
piąstką w niebo harde
katechizm odmawia – – –
zza krwawiących wstążek
w pasiastym sumieniu
zaszło nasze słońko – – –
w dzisiejszych ugorach
krew w rdzę się przemienia
załęgłym pytaniem – – –
zmrok zapadł w dumnej dzieży
zachodźże słoneczko
w ostatnim pacierzu

XX

ciemnością – słyszysz – głosy powalone
ciernistym psalmem w zimowej golgocie
bielone płótna namaszczone ciszą
wiatr niósł bezludziem rozrzucone wiersze
krwawiące śniegi – milczeniem błdziły
ojciec umierał ze snem na podwórzu
chata czuwała kwitnąca malwami
kogut rozkrzyczał pobielone zdania
syn o północy pacierzem zastukał
o ciepłą strawę matki przebudzenie
i siorbiąc jękiem w odmrożone dłonie
modlitwę składał na jedno westchnienie

pogasły zdania ciszę wiatr zaprzęgał
o północ dzwonił skostniałym oddechem
matka kroїła chleba powszedniego słowa
ciepło zabłysło nadziei promieniem
– w niewidomych oknach
słońce śpiewało – jeszcze my żyjemy –
kalecząc ciszę zastukało serce
ciepłym wierszem złożonym w modlitewne Wierzę

XXI

raz jeden jeszcze słowa pozawracać
zza ściany wielkiej co dzieli sumienie
uwierzyć w ciemne zapytanie tańca
i krew co pragnieniem przecięła horyzont
wracając śmiechem – lęk przyparty do ściany
rechotem lasów śnieżycą jak piekłem natchnionej
żadnych słów w tępą Noc w igłę krwi
za którą sen anemicznych wspomnień
i złoty róg wdeptany w ziemię
chochoły zajęczo polonezem weszły
samotność – – – białych snów śnieżycą
zmarznęte dłonie w Wielkiej Niedźwiedzicy
przez liczne wieki – i na wieki wieków – – –

niemy Konrad błogosławiony paraliżu lękiem

XXII

pękają lustra
odarte słowa szeptem utulone
nagość pędzona na rozstajne wiersze
lasy już płoną choć świt pozieleniał
choć w chatach starych nieścielone sny
łyżka szerniała głodem wigilijnej ciszy

jak zdaniem krew wybielić poza sen oddalić
kanałem krwi na nieba gościniec
z łąk tysiąca słów – – –

a kiedy drzwi wyłamią
onuce bezsilne wiatr sztandarem wzleci
milczeniem pobladłym

a kiedy sen zakrwawi
szelestem dni wiatrem ucieczki
odmrożone stopy utopione w stepie
ziarno jak pot grzęźnie w ziemię pamięcią

gdzie moje słowa – gdzie twoje słowa –
chabry już kwitną
i chata wrasta w skaleczony sen

XXIII

zapisz – nad ranem kiedy sen Judasza
Piotr płakał w sieni – zapisz – ojciec płakał
za stołem chleba okruszynę dzielił
hostię z ziemi i z potu ręką dobytą
zapisz – w tę niedzielę palmami usłaną
drutem kolczastym ojca ukoronowano
– bo taki wasz Bóg dobry cierniem rany mierzył
i słowa cedził – jeszcze z krzyża mówił – – –
rakiem zakwitły o północy rany
kobiety szły oglądać obnażone ciało
zapisz – i choć czterdzieste zastukały lata
onucą twarz poili i ręce łamali
a przed tym zapłonęły powitaniem bramy
kwiaty rzucone wędły – zapisz te ostatnie –
i choć cudu wzywano by ostem się stały
pachniały kwiaty ze łzami zmieszane
zapisz – powtarzał ojciec – te lata kamienne
gdy biczowanie ulizało rany
niewierny zmienił wtedy to pytanie – zapisz – – –
zapisz – – –

XXIV

kiedy powrócę w czarną ziemię
łąką krochmaloną na dobranoc
w otwarte zdanie gwiazdka skoczy
i zaświergocze wróblom rannym
a kiedy ojciec łańcuch zdejmie
drzwi pootwiera sny przełamie

idź poza słowa w białą łąkę
kwiatem przemówią stare matki
banalnym wierszem dom znowu się modlił
krew snem zziajana zaszumiała wiatrem

tą drogą idą – idzie dźwięk srebrnika –
powtarzał ojciec – pług ojczyznę kroił
na chleb żebraczy – niestrawione zdania – – –

Jan Lechończuk

Zawołaj
raz,
jeszcze
ciemnym
wierszem



Pieśni i dni

Część druga

(wiersze z 1981)

* * *

przypisane Waldkowi Smaszczeni

ucichły wiersze jak bandaże
krew się stoczyła szmerem dni
okrutna gwiazda wiliją ciszy
stała na trzydziesty szlak

a tyżeś Panie martwą nocą
błądząc na mlecznej drogi traktach
spojrzałeś raz na ziemię martwą
na płód swym bólem poraniony

i chociaż drzwi milczały skobłem
zaparty oddech błędził ciałem
kamienny anioł u wezglowia
z pejczem nad moim łóżem stanął

ciemność z jasnością tańczą we mnie
urwane zdania język płacze
sól płodu w moje usta weszła
naglona śpiewem robaczywych lat

a tyżeś Panie stanął u mych drzwi
z pieśnią poranną krwi naglonej
anioł kamienną zrzucił twarz
na słowa i na refren drwiący

Z JASEŁEK

odeszli królowie
poblądli pastuszkowie
bydlęta zaniemówiły
aniołowie zakpili
i gwiazda betlejemska
nad szopą marmurową
zakwitła

dzieciątko uciszyli
gorzałką napoili
i gospody otwarte
i śpiewy przeżarte
aż pod niebo wznoszono
i Boga poproszono
aby zszedł

i tańczono dnie całe
i śpiewano niech żyje
Herod i Dzieciąteczko
a Maryja poblądła
do Józefa przypadła
i błagała u nóg
uciekajmy stąd

pozłacana gwiazda
marmurowy żłób
biel pościeli
bydło
cud

* * *

splonęło niebo żar w pościeli
dygocze wiara ścięty dąb
echo księżycem powracało
uległych lat poległych rąk

gdy cisza drapie serca kołatanie
ojczyzna legła przy zamkniętej bramie
dziwi się krew leniwie płynie czas
tu oczekiwano nas tu nie było nas

podaj zbroję ręce upadłe
salut nieba w oczach mleczny kraj
tyle tylko zostało z nadziei
wysupłanych trzydzieści lat

już na drzewie judasza pokora
marie niebo brzemienne przyjęło
krzyk się stoczył z pogubionych lat
pozostały nam połamane ręce i nogi

* * *

Modlitwa Hatifowi al-Dżanabiemu przypisana

nie wiem czy patrzysz w ziemię
nie znam twojego wzroku
czytam drogi pokrętne
w narastającym mroku

raz chociaż chciałbym usłyszeć
niebo rozprute pytaniem
dokąd podążasz synu
nad świtem w płonące sumienie

słowa przyjaciół pobladły
ropieją lata garbate
czemuś mnie Panie nie przewiodł
przez Ucho Igielne jak brata

zabrakło we mnie świtania
zimne już oczy tej ziemi
czemuś mnie Panie nie przewiodł
przez Ucho Igielne tego świata

słyszysz ten rechot biesiadny
stoły już tańczą kankana
pozwól mi Panie usłyszeć
brata mojego westchnienie

bełkotu wielkiego mi oszczędź
niech język wypowie me ciało
nie chcę byś mnie zostawił
abym rozgrzeszał rozstaje

i znowu śpiewy ponure
lata zgonione przystają
gdzie Twego wzroku mam szukać
mój Ty milczący Panie

* * *

anioły o ciężkich brzuchach
biesiadne twoje świątynie
czy w niebie dźwięczą denary
przed tronem Twojego syna

znasz mój grób pobielany
szczebiot spróchniałego ptaka
zamiast milczenia te wiersze
kupione po latach trzydziestu

łamanym chlebem ugościsz
krwią Twoją zagra me ciało
a potem cisza ogromna
gdy serce zdziwione przystaje

anioły o ciężkich brzuchach
ulice kłamliwe uciekają
jakże życie dopędzić
gdy wiary we mnie nie staje

* * *

wiersze spękanе wiatr w komorze
nad głową niebo pochylone
długi trzydziestu przypadkowych lat
głuchy telefon w głupią noc
oniemiał czasem omyłkowo ożył
i deszcz na oknie rżał weselnie
i młodą pannę z nieba wiedli
biesiadne alleluja w drogę
rżniętym baranom ze łzą w oczach
bezzadne amen w ich pacierzu
trzydzieści lat w spękanych wierszach
kopne dzieciństwa zawołanie
skórą zdziwiony zakwitł pot
westchnienie poprzedziło lament
a z nieba wiodą wciąż dziewicę
warkoczem rozesłanym wstęgą
zawisła pod powieką wzgórza
za którym tamto życie legło
i tylko noc rozwiera wrota
gościnnym szeptem klaszczą zdania

* * *

zbladła sztandarów wierna chusta
odwaga nocą ze snu budzi
cisza rozwiera krwawe palce
nikt z tego świata nikt już

niebem szkaradny śmiech się stoczył
ugrzęzło zdanie nadaremno
z wydartych poszew pieśni ranne
zakłęły usta w piersi weszły

dziecko nad domem pacierz trwoni
nadzieję z piąstek wiatr wydziera
ojciec nad szablą pochylony
rdzę nożem jak powiekę ściera

zbladły sztandary wiersze zgasły
gwiazdy na sercu żłobią rany
z sierpem księżycy idę pochylony
tu byli Oni tu już byli Oni

Z WIERSZEM DO JANKA J.

zwilgotniały w nas zdania bólem potłuczonym
w szkiełko co nas zwiodło oko co skłamało
sen przystanął zdziwiony pytając o drogę
na parapecie wróble przerażane rankiem

serce zachłyśnięte gonitwą spóźnioną
po kostki zanurzone w krwawiącej topieli
przystanęły słowa wyblakły marzenia
świttem szła znów salome z roztańczonym ciałem

niepokój prześcieradeł odleciał w nieznane
oddech wiary pozostał w braterskim zakłęciu
na strawę snów niewylęgłych dusznej nocy zamęt
na czas darowania wiersza nagłego w poczęciu

to jeszcze jedno zdanie truchtem ponaglone
w stąpaniu do jutra z zelówką nadziei
kalekie w słowach opuchniętej kartki
stoczyło się kropelką spotniałą w świtanu

PRZEBACZ IM PANIE

„(...) na wyrwanych, oszklonych drzwiach,
robotnicy nieśli chłopca, może 12-letniego,
zabitego w chwili, gdy wyszedł po zakupy.
W jednej ręce trzymał siatkę, w drugiej
ściskał kartkę i pieniądze”.

drzwi domów naszych krwią znaczone
archanioł śmierci w mej Ojczyźnie
na biały obrus zamiast chleba kładł
ręce braterską krwią zbroczone

skrzypiały schody oddech gości
grudniowa cisza w betlejem wpisana
padł strzał i krzyża rozwarte ramiona
kobiecy płacz i – – – Przebacz im Panie

pytasz o imię nie znam dnia
ani godziny świt daleki
ciemnością skaleczony trakt
płynął już rytmem krwawej rzeki

herodów śmiech i gwiazda z ich Betlejem
ulicą rzeził tłum zamarły
i dumny śpiew ojcowych lat
przełamał chleb zabitej dłoni

sny o potędze Przebacz im Panie
i pejcz zapomnij lepkich słów
gdy chleb podzieliś nocą ciemną
nadzieję którą zdradził lud

i śpiew ojcowy w nas pozostał
nad chlebem który wciąż oddychał
w zamkniętych wargach ból już drwił
Boże coś Polskę przez tak liczne wieki – – –
Przebacz im Panie

MADONNO MOJEJ OJCZYZNY

Madonno Pustych Sklepów
Madonno rozdygotana
w kolejkach słów wiekuistych
na jutro zapisanych
Stoisz w jaglicznym świetle
ropieje twa łaskawość
podajesz ciszę chleba
i słowa krwawe

Madonno Ławy Przysięgłych
Madonno sprawiedliwa
zamykasz światło dzienne
oczom Ojczyźnie życzliwym
Madonno Nagłych Uniesień
nad miską pochylona
dziecko utulasz w płaczu
modlitwą poranioną

Madonno Codziennych Gazet
Madonno zaufania
mieszasz światło z ciemnością
niepewność zapisaną
Madonno Naszych Sumień
Madonno serca nagłego
otwierasz bezradne ramiona
nad nami pochylona

Poprowadź nas Madonno
gdy ból nas poniewiera
nie patrzy tylko z litością
gdy chleb nas codzienny pożera
Madonno Długich Kolejek
Madonno cichych nadziei
trudno już ugiąć kolana
na nocy długie westchnienia

Madonno Mojej Ojczyzny
Madonno mojego sumienia
oddal zakręty nagłe
i braci pomyłonych
Madonno Wielka Madonno
Pani o ciemnej twarzy
oczyść moje sumienie
od Wielkich Łgarzy

Madonno Cicha Madonno
Madonno skrzepu wiersza
dzień się znowu przejaśnia
plamą łączy ciężkiej
Madonno mojej Ojczyzny
Madonno mojego sumienia
odziej mnie w zbroję najcięższą
w ostatnie uniesienie

Zapisane
Wiersze z lat 1981–85
(1992)

Przyjaciółom moim

ZAPIS I

racicami poorana ziemia
i spłoszone konie osiodłano
pędzą w ciemność pękniętą nad świtem
ponad krajem wiecznego czuwania

wbite w ziemię miecze rdzewieją
uciszane sumienia stygną
nad łyżkami codziennej strawy
zatrwożeni ojcowie milczą

mniejsze zło spętało już nogi
lepkie usta krzyczą starym ptakiem
co oderwać od ziemi nie zdoła
pęczniejące pióra od strachu

racicami skaleczona ziemia
pędzą jeszcze spóźnione sanie
ponad śniegiem zbolelej tajgi
z wizerunkiem Ostrobramskiej Pani

bielmo z oczu zerwane krwawi
dłonie korne niebo przyjmuje
za pękniętych wolnością kordonów
pieśń zbudzona ku niebiosom cwałuje

i męczeństwem napojona ziemia
burkę ojca i sutannę brata
ponad ziemię skrwawioną unosi
by je złożyć na ołtarzu świata

ZAPIS II

w snach coraz więcej pustki
i strach stłoczony i wciąż bezimienny
i pytań coraz więcej w domach bez Ojczyzny
wśród plastikowych lalek
i gipsowych żrenic

popatrz
jak skamieniało ojcostwo
kładzie rękę na główce tyrana

popatrz jak z podartych książek
uciekają zgłodniałe wilki
i śnieżycą zasypuje nasze domy
gasząc paleniska
a puste miski złowróźnie śpiewają

sny osiadają w nas coraz dłużej
staroświeckie lustro nad komodą wciąż kłamie
ojciec z fal radiowych wysłuchuje rozdziałów nowej ewangelii
a śnieg pada i pada

wczoraj
jak mojego pradziada przed wielu laty
wyprowadzono sąsiada
śpiewaliśmy cicho
„Bóg się rodzi moc truchleje...”
mama płakała

i zdawało się przez chwilę małą
że przekłuty szpilką motyl
odfrunie

ZAPIS III

codziennie odjeżdżały w nieznane pociągi
i tylko oddech dworcowych zegarów
niezmiennie oznaczał północ

w gazecie napisano
„umarli nie potrzebują kartek na buty
wystarczy akt zgonu”

migotały światła karetek pogotowia
odwożono piłata i jego świtę z rozpoznaniem
– niewydolność krążenia –
spojrzałem na dłonie
były brudne

ostatnie pociągi uciekały za horyzont
w nieznane
migotały światła karetek
wiał przenikliwy wiatr

tyle tylko pamiętam

ZAPIS IV

zanim powiedziano: musisz umrzeć
odarto ze słów pierwszych
tak jak odziera się las z gęstwiny ucieczek
tak jak odziera się dom z powrotów
tak jak odziera się prawdę do metalicznego fałszu
i popędzono przez krainy
papierowych świergotów ptaków
aniołów bibułkowych
strawy wypełniającej żarłoczny żołądek
dumnych cyfr
długów
wracającego echa

padał śnieg
wiało i nie zamiatało
na przekór prognozom i zadowolonym prorokom

kolumny dzienników
spuchnięte
błotem i krwią
błotem i krwią
błotem i krwią

— — — — —

ZAPIS V

w prowincjonalnym teatrze
coraz więcej gipsowych spojrzeń
martwych oczu
języków zdrewniałych
krwi nagłej
obrzękłych dłoni
coraz więcej snów skaleczonych
kajfaszowych trybunałów
coraz częściej prowadzą nas
na podmiejskie wzgórza

biczują lepkiem chlebem
coraz częściej już krzyczą ulice
ukrzyżuj ukrzyżuj
w zatrzaśnięte powieki okien

odwróceni plecami do świata
dotykamy już nie swojej twarzy

ZAPIS VI

księżna Antonina Palicyn
zmarła w 1982 roku
w Białymstoku

umierała z raną otwartą po wojnie

Ojczyźnie ofiarowała jedyne syna
Igora
zginął jako żołnierz AK
grobu nie odnaleziono

– zginął jak pies – orzekli w Wysokich Urzędach
które pięły się z dnia na dzień coraz wyżej
a z piwnic dochodziły jęki tych
którzy znali wagę wolności

nie mogła zrozumieć do końca dni swoich
księżna Antonina Palicyn
że na ziemi jest ciemność
która ludzkim głosem orzec może
– wybiła twoja godzina –

nie mogła zrozumieć księżna Antonina Palicyn
że ziemia jest lekka nie dla wszystkich

umierała z raną otwartą po wojnie

ZAPIS VII

i była jesień
wzdęte słowa hałasowały po ulicach zapomnianego miasta
w podmuchach zbyt gwałtownie przewracanych kart apokalipsy
na wieży kościelnej kilku podrostków bawiło się w wojnę
papierowe anioły szeptały zażenowane
„ależ tak nie wypada prosić panów”

potem deszcz zmył niespokojną młodość
anioły znowu przykucnęły na stopniach ołtarza
spadł śniegiem
tak biały że w wierszach widać było krople krwi

a była już późna jesień
i herod czuł się nieswojo

ZAPIS VIII

kiedy dokonano mordu
w telefonicznej słuchawce słyhać było składany raport
– wykonaliśmy –
i wzniesiono toasty za żyjących
nie rozdarła się w ten czas firanka nieba
nie potoczył się w ten czas niebem grom
wódka zmywała krew
rozmawiano zapewne o bohaterstwie
ojczyźnie i powinnościach
żonach i dzieciach

a kiedy śpiew za oknami rósł
zamykano je szczelnie
i napełniano kieliszki

nikt nie wołał
– uwolnij barabasza –
i brakowało tego wołania
przy kieliszkach z krwią

ZAPIS IX

za długo na nas czekają
dom już zmęczeniem rozpadły
gazowe lampy niosły Trzy Marie
groby zniszczony
biografie zatarto
za długo nas tu słowami karmią
obrzękle wargi modlitwę trwonią
na śmiech frazesów
klakierski lament
za długo szliśmy
za długo bładzili
i łyż szalone w nocy ciemnej gasły
nikt nam nie podał dłoni
ani noża

zbyt długo klęczeliśmy martwi
niebo kamiennych twarzy nie udźwignie

ZAPIS X

a twarze twoich synów
w rynsztokach złożono
jakby to były maski
bez krwi i bez słowa
za drzwiami karnawał
otrząsał się z nocy
i wiatr omiatał ziemię...

— — — — —

pały się świece
jasność trwała w oknach
zziębnięte dłonie
tuliły nadzieję
kosy rdzawe w komorach
znowu zaśpiewały...

— — — — —

zamknięte okiennice
trwożliwie klaskały

ZAPIS XI

wiesz o tym Panie
mojemu ojcu wśród lepkich słów nie zawieszano orderów
ulice jego jerozolimy były długie
dźwigał swój krzyż przez wiele lat
śnieżny wiatr zasypywał żywe źrenice
nie ustawał
choć w niekończących się horyzontach
wyły judaszowe psy
matka czekała
wierząc że powróci

golgota mojego ojca
to tysiące śnieżnych kilometrów
o których ewangeliści milczeli wiele lat

kiedy powrócił ojciec
śpiewał już tylko przy suszeniu onuc
nie wtedy szła moja Polska
padająca
powstająca
nie wtedy szła moja Polska

— — — — —

nie zaprzyjaźnił się już nigdy z poncjuszem piłatem
nie otrzymywał okolicznościowych telegramów
nie zasiadał w radzie starszych

suszył podarte onuce
i smutno śpiewał

ZAPIS XII

pamięci Ojca kanoniera 14 DAKu

nawołują nas znowu zatrzaśnięte okna
puste ramy i cisza z której krew wypływa
przygięte plecy tak trzeba tak trzeba
biografie z postumentów łapczywego chleba
nagrodzeni przez niebo szyderczym uśmiechem
flanelową szmatką czyszczą swą uległość
pleśń osiada rdzawa na kamiennych sercach
niebo od uśmiechów klakierskich drętwieje

nawołują nas znowu ognie wygaszone
lance ze starych kantyczek spod grodzieńskiej fary
trzy krzyże zwalone sen o ciemnych drogach
pobielonych śniegiem i gwiazdą wygnanych

nawołują nas znowu żywe cmentarzyska
pieśń przerwana salwą rozkrwawionym zdaniem
podeptane serca u kamiennej bramy
na okruc Miłosiernej cierpliwe czekają

— — — — —

już ojciec
koń księcia Józefa ku rzece cwałuje
ryngrafy znów płoną
i w manierkach burzy się woda świętego szaleństwa
z bocznych torowisk ruszają przebudzone eszelony

pędząc w ośleplą ciemność
z chleba krew znów płynie...
już jadą pradziadowie na saniach spóźnionych

ojcze czas znowu
przyzywa

ostrogami skłuta moja pamięć
niebo pęcznieje w ciemność

ZAPIS XIII

(tryptyk)

I.

milkną serca kiedy ciemność trwoni
rozorane marzenia nagłej krwi
nie pytaj tedy o zamilkłe serce
kamiennymi wargami nie wzywaj Imienia
ptaki odlatują z jesiennych biografii
pogubione drogi połamane dni
złowróbnym tańcem kołują nad ziemią
opuszczając doliny skaleczonych słów

dworcowe bagaże tłumione oddechy
drzwi nieznane w dalekich gospodach
odlatują ptaki przez zamknięte sny
łzy roztrącając śpiewem już dalekim
nie wzywaj Imienia nadaremno
choć cudza kromka chleba dławi
powrócisz ptakiem i w śmiechu szyderczym
odwrócisz jeszcze jedną kartę własnego sumienia

II.

nad ciemnym elementarzem
kołują wolne ptaki

III.

ani dzień
ani noc
jeno ślepotą hardych drzwi
czuwa...

Ikarem
mój syn
nie oderwiesz się od ziemi
ciemnych słów

słyszysz ten krzyk
synu...

ZAPIS XIV

w ciasnej ramie w zmęczonym oddechu
z dumnym czołem odartym z dni
śledzisz ciszę w pustym pokoju
pytasz siebie – czy musiało tak być...
skąd ta cisza dławiącego kurzu
krzyk za oknem dławi się wystrzałem
krwiste niebo zaciąga kotarę
zdrada czepia się klamek drzwi

w ciasnej ramie w zmęczonym oddechu
nie ma mównic ni bandaży otulonych serc
jest wydarta kartka papieru...
... ciemnym pismem znaczony krew
przypis:

czekam na niego – mówi matka
ale on nie wraca
czasami we śnie widuję śniegowe pustkowie
i słyszę moich dzieci głodny płacz
odmrożone ręce wyciąga: mamó czy musiało tak być...
wróciłam z Grodna w pięćdziesiątym szóstym
pozostało mi tylko poźółkle zdjęcie
a na tym drugim portrecie
to mój drugi syn
pochowano wiele lat później
w złotych epoletach
z honorami
ale niech pan popatrzy jak on cierpi
napaliłam w piecu
a on płacze...

— — — — —

ZAPIS XV

widziałem tysiące skamieniałych Mojżeszów
z rękoma uniesionymi ku niebu
gdy nasze ciała rozsypywały się w proch
atomowy ogień uciszał naszą modlitwę
nabrzmiące bólem serca
pękały
plemię amaleków atomowe grzyby unosiły do nieba

potem runęły kamienne posągi Mojżesza
potem niebo pochłonęło ziemię

ósmego dnia Bóg odpoczął

ZAPIS XVI

niewiele krain poznałem
nie zajrzałem do wielu oczu
nie uścisnąłem wiele serdecznych dłoni
nie poznałem prawdy
skamlącej u niejednych drzwi

a Ty Panie każesz mi spocząć na przydrożnym kamieniu
i odetchnąć ostatnią
chwilą

ZAPIS XVII

pochylone w nas domy i krew obumarła
z cmentarzami klepsydr dalekich oceanów
niespokojnych listów co tęsknota zżarta
w ucieczce od recept już sytych szamanów

garść ziemi przy sercu zapomniane stacje
golgoty co wieść miała w gaje cyprysowe
przy studni zasypanej dzielą znowu racje
bracia co spisali księgi życia nowe

a na piersiach posnęły pod śniedzią ryngrafy
z Matką Wierną do końca i po krańce ziemi
i choć twarz jej w golgocie serce podeptane
idziemy z jej modlitwą bandażami niemi

pochylone w nas domy stopy skaleczone
zamilkłe strachem serca choć pełne nadziei
i w gardle grzęzną słowa zmrokiem przynaglone
na czas ostatniej krwawiącej zawiei

ZAPIS XVIII

święty z Asyżu
naucz mnie prostych słów
bym mógł zapomnieć o sobie
święty pokornych
kiedy na ludzkim wysypisku
zalega ciemność
podaj mi mały ogarek
wiary

święty płonących sumień
dozwól abym w rozpacz
nie skamieniał
nad garścią własnego
popiołu

święty miłości
ocal moich przyjaciół
i ręce ich ogrzej
przy biesiadnym stole

święty porzuconych
kiedy na ludzkim wysypisku
szukam strzępów biografii
jak znoszonego ubrania
daj mi nadzieję
że to czarne ptaszysko
chytry szczur
kiedy odnajdą siebie

- - - - -

a kiedy opuszczą mnie wszyscy
światła wygaszą okiennicami
dozwól bym w drodze nie ustał
z ptaka rannymi skrzydłami

ZAPIS XIX

pukają do drzwi
nadsluchują oszalałe serca
dotykają wilgotnych dłoni
jakby byli posłańcami Boga
od świętych progów
od krwi
nadsluchują dalekich pieśni
ucinają bajkom szczęśliwe zakończenie
mówią ściszone głośnie
potem plują w twarz
i patrzą na zegarki
jakby odjeżdżał
ostatni pociąg

ZAPIS XX

niebo nade mną pęcznieje głuchotą
kamienieją języki trwożliwych
wiersze błędzą po plakatach nocą urodzonych
ktoś rytm mego serca donosem tłumi
jakże Panie ocalić i twarz i imię swoje
kiedy pieśń kaleka ściele się u nóg
a wargi drwiąc pytają dziecięcym językiem
– nawet twoje marzenia rozetną skalpelem
i każą ci uwierzyć w magmę swych okrzyków

staję oto przed tobą
Panie
w ślinie pokonanych
jak syn marnotrawny
co nie potrafi przekroczyć progu
ojcowskiego domu

ZAPIS XXI

może jesteście ze mną
i prowadzicie moim palcem
po mapie Berlina

może wróciłaś już z Dachau moja siostro
ulatując ku niebo przez komin krematorium
a może mydło z twojego ciała zmywa innych brud...

może wróciłaś już z Birkenau moja druga siostro
i pracujesz w berlińskiej knajpie przy zmywaniu kufla
zapominając śpiewasz
– horst wessel liet –

może opuściłaś bramy Buchenwald Dora
wujku Andrzeju
masz teraz osiemdziesiąt lat
siedzisz w ławce ciepłego kościoła w Berlinie Zachodnim
z różańcem w dłoniach

twoi synowie
błąkają się ulicami Nowego Jorku i Chicago
z nęcącym zapachem dolara
wujenka zanim umarła
postawiła po tobie krzyż
przed którym zapalała świece
jak przed twarzą w szczelinie bydlęcego wagonu
którym odjeżdżałaś w nieznane

może w twarzy starca z Bierhimmel
już jedzie do ciebie
może celnicy w Kunowicach
przypatrują się dziwnemu paszportowi
bez urzędowych pieczęci
i podróżującej bez bagażu
z zapamiętaną twarzą w szczelinie
bydłęcego wagonu

wujku Andrzeju
noc już zapadła
z neonami palącej się pychy miasta
z ludźmi przesiadującymi w kaffe
nad filiżankami z krwią
zmieszaną ze świeżą śmietanką
jest już noc
wujku Andrzeju

moje dzieci oglądają film ze Smerfami
nie wiedzą o tym
że zły Gargamel
staje już na ich progu

śpijcie moje dzieci
kiedy powrócę opowiem
o straganach ociążałych od owoców
których nazw nie poznałem w swoim życiu
zapewne są słodkie

a mój ojciec
czy przyszedł z zaświatów
może trzymał w dłoniach drewnianego aniołka

poruszał jego skrzydełkami
życząc spokojnej nocy

ojcze
może w twarzy starca w Bierhimel
na dnie pustego kufla
dojrzałeś swoją młodość
z zawstydzeniem matki
z chustką wstydliwą w dłoniach
tatku
nie smuć się
nie będzie dzisiaj bombardowania Berlina w odwecie
nie dojrzysz już przerażonych oczu Niemki
która zasłania swoim ciałem dzieci
przed krwiożerczym ogniem

jest już noc
pościel łasi się do dłoni
spotyka z moją krwią
by odtąd razem już płynąć

nie bój się tata
sowieci zza muru tu nie przyjdą
i nie wywiozą do łagru pod koło podbiegunowe

nie bój się tata
w Reichstagu urządzono muzeum
i raczej w nim pusto
a napisy na domach
to zabawa dzieci
które po zjedzeniu podwieczorku położą się do łóżek

i zapomną o hasłach które im ktoś podrzucił

ze szklanymi oczyma

Mein Kinder – dzieci moje dzieci
nie przekraczajcie muru
bo kto mur ten przekroczy
opuści siebie na zawsze

jest już noc
a nikt nie wycisza świateł przed bombardowaniem

za Murem obraca się wieża – Fernsehturm
hardo unosi się z ludźmi do nieba
aby nie zapomnieli
że ziemia się kręci

nie mnie prorokować temu miastu...
to miasto umarło aby przeżywać swój sen

na Urban Strasse
pracownia tatuażu
nie martw się wujku – twój obozowy numer
przyozdobiony w aureolę kwiatów
we wschodnim ornamencie
w pokorze kadzideł
w ostrzu noża

masz teraz nazwisko
Dakowitz
i obozowy numer
ale Bóg nie chce znać

twojego nazwiska i numeru
on zna imię serca
siedząc nierozpoznany
w kolejce podziemnej
trzymając w dłoni
wczorajszy
Berliner Zeitung

nie mnie prorokować temu miastu...

a z ulic słyszę wulgarny śmiech
name- name- name

ktoś z płyty gramofonowej
wyśpiewuje swoją wolność
w ekstazie napiętych strun
Dirk młodość swoją rozdziela
jak chleb
Matthias sporządza stół
na którym życzliwa ręka położy bochen chleba
i w szkole wieczorami ślęczy nad strofami
Goethego
Erlkonig przytula go do siebie
Angie rozświecła mrok tego świata
lepi świece wierząc
że ogień ogrzeje serca

Popatrz Angie
jest dzisiaj 2 lutego
Matki Boskiej Gromnicznej
popatrz idzie z twoją świecą
po murze berlińskim

był dzisiaj Ludgar
on wierzy jeszcze że da się wyjść
w pędzie ucieczki w pędzie pogoni
i Boris któremu chciałbym wiele opowiedzieć
ale już za murem świata
gdzie będzie język jeden
i jeden duch
i była Wanda z Ralphem
i było o Wiśle która krwawi...

śpij Basiu
jest już noc
sygnały karetek kaleczą ciemność
a każdy oddech ciszy
jest bólem
starzejącego się serca

nie mnie prorokować temu miastu...

przy Alt Moabit 21 mieszkał Witold Wirpsza
i gdybym dotknął cyfr telefonu 3945809
odpowiedziałby wiersz „Odchodzącemu”
„Świat jest ogromny
i łóżko stoi w pobok konfesjonału: daleko
Na odpoczywanie nie należy chodzić,
również i na wieczne”...

Szukałem Kościoła z polską Matką Boską
w kąkolach chabrach
w polnym kwieciu
ze słońcem na pastwiskach
w tęskniących zaśpiewach nad złotą koroną – – –

Gdzieżeś Polsko utaiła swój oddech
wśród tureckiej wrzawy
murzynów przyzwanych z bambusowych chat
do balkonów na KU-DAMM

Gdzieżeś Polsko stanęła
czy nadal w aureoli kwiatów makowych
spod Monte Cassino
czy w ostatnim krzyku
nad dołem katyńskim
czy w wiatrach Dunkierki
którym kierunek wyznacza
kolejny niż polityczny

Polsko moja
o tobie dobrego słowa
nie usłyszysz w pociągu
pomiędzy jednym a drugim
sprawdzaniem biletów i paszportów
zaglądaniem w oczy
jakby ukryta w nich była
niewiara w komunizm
gdybyś stanęła nago
poznałabyś smak soli ziemi i łez

Polsko moja
patrzysz przed siebie
w letargicznym przerażeniu
słyszę tu twoją bezradność
przy Graefe Strasse 71
na II piętrze
w budynku byłej fabryki
którą ocieplono dobrocią

dobranoc Polsko moja
dobranoc

Berlin Zachodni, 2 lutego 1985

ZAPIS XXII

choć horyzonty krwawią rozbieganym sercem
ciemność przylega wciąż do moich stóp
(mówię do żony szeptem – zaczekaj jeszcze...) –
na mojej skórze osiada lęk
liszajem drwiącego śmiechu

popatrz
krwią zmyty horyzont znowu zajaśnieje
nad prostowanymi drogami do Damaszku
i koń spłoszony przystaje
czy słyszysz ten śpiew żarliwy
wędrujących – – –

(mówię do żony szeptem – zaczekaj na mnie jeszcze...)

*Białystok
w fotografii
Piotra Sawickiego**
(1995)

* Wiersze pochodzą z książki:
Białystok w fotografii Piotra Sawickiego,
przedmowa Władysław Serczyk, komentarz literacki Jan Leończuk,
wykaz zabytków Andrzej Lechowski, Białystok 1995.

* * *

Z wiejskim zawstyżeniem
tulą się do siebie dzielnice
drewnianych domków,
opasane blokowiskami,
nasłuchują odgłosów
minionego czasu w pragnieniu
zmartwychwstania.
Dobudowywane facjaty,
ganki, stawiane pergole,
oświetlane ostrym światłem
rtęciówek pozwalają jakby
raz jeszcze zaistnieć
w swojej miejsko-wiejskiej
godności, zagadać
do sąsiada... Skąpane nocą,
kiedy milkną rozmowy
cywilizacyjne miasta, kiedy
za płotem zaszczeka pies –
domy na powrót pyszną się
swoją przeszłością.

* * *

Okna ślepy z dnia na dzień, gasła w nich nadzieja
ukryta za stylonową firanką. I pewnie drżą zaleźnione szyby
nie otulone zmęczonymi starością okiennicami.
I wiatr przyczajony oczekuje wybitych szyb i pustych ram
okiennych...

* * *

Rozbierane zimowym odkryciem
na oczyszczenie pamięci,
uśpione w starych albumach, fotografiach pożółkłych,
starych komodach, kryształowych lustrach,
może w szklankach „z falbanką”
pojękujących w kredensach
wśród miejskich kryształów w meblościance –
powraca tamten dom
i na balaskach płotu zatknięty garnek –
choć zima przymknęła
przyzby i ławki wieczornych posieduszek,
zamienionych na ekran telewizora.

* * *

...śnieg opuści dach,
niebo pojaśnieje kolejną wiosną,
zapachnie w ogródku maciejka,
wyciągną ku niebu smukłe szyje
dostojne malwy.
I koty poczną odmierzać
na powrót swoje rewiry dachów...

* * *

tylko dom utknął
w pamiętaniu
oddechu żywego serca
snów w kaloszach
na wypadek siódmej góry
i biegu w bezwstydnym słońcu...
(...)
słyszysz – stąpają kroki
konie płyną łąką
z płomieniem piany
raz dwa raz dwa raz dwa
u drzwi Godot
przerażony
ze zmiętą chustką matki
w dłoniach

* * *

W nocnym pejzażu
ulice rozbiegają się
po ciemnych zaułkach,
nikną wśród ukrytych w mroku płotów...
I mogą pojawić się sanie,
i pomknąć w noc utkaną gwiazdami –
ozwą się janczary,
świergotliwe dzwonki.
I obudzą się stare dzielnice
do snu jeszcze
nie wyśnionego...

* * *

małeńkie ziarenko goryczy
kołacze w serce i pyta
czy dzieciństwo wraca

małeńkie ziarenko nadziei
w krwi płąsa tańczy i śpiewa
powraca powraca powraca

małeńkie ziarenko tęsknoty
po nocach ciemnych wciąż błądzi

małeńkie ziarenko wciąż pyta
pytanie rodzi pytanie
gdy wzrok skóry
ucieka w świtanie

małeńkie, a tyle goryczy
nim kielek w słońcu się nurza
z ziemi wyrasta milczenie
w małym ziarenku
powtórzy pytanie.

* * *

...i stały tu rzędem furmanki.
Obok „wodokaczka” Sennego Rynku.
I nie ma już sklepu ze świętymi obrazkami,
brokatową bielizną, maskami karnawałowymi,
napisem kulfoniastym na drzwiach:
„Tu nie Afryka, drzwi się zamyka”...
I nie ma też już sklepu pani Piechowej...

* * *

odchodząc
zostawiasz czas
drzwi nie domknięte
i klamkę nadziei
kiedyś postanowisz
oczyścić swoje imię
czas podzielić
między pamięć a zapomnienie
odchodząc
patrzysz za siebie
jak czas skraca ci
drogę
ucieczki

* * *

Miasto – litania domów
progów wystygłych
zniszczonych fotografii
trwasz
w nadziei
że ocalone będzie twoje imię
że spod asfaltu wyjdą kamienie
i potoczy się po nich zamilkły śpiew
(...)

* * *

I płoną wieże
wiarą niezdeptaną

* * *

Ogrody, o których napisano tak wiele.
Może zbyt wiele
wypowiedziano landrynkowych słów,
napisano makatkowych wierszy
jakby ze snu dobytých,
a rzeczywistością nie dotkniętych.
A parki, ogrody, otulały dawne rezydencje,
śniły swój sen sprzed wieków
i na powrót napępniały się
tamtym czasem.

* * *

Parkowe kobierce:
rozjaśnione wiosennym słońcem,
ozłoczone jesiennym listowiem
otulają gwar miasta,
tłumią bodaj na chwilę
szaleństwo pędzącego czasu,
kuszą, aby przysiąść na parkowej ławce,
by zadumać się
nad człowieczym losem.

Nawet „białostockie praczki” pochylone nad taflą wody jakby zasłuchały się w dźwięki, nie pobliskiej ulicy coraz rojniejszej i hałaśliwszej, ale w śpiew dochodzący z parku nieustrudzonych ptasząt. Drzewa jesienią strojne poddały się nostalgicznemu zasłuchaniu.

* * *

ks. Jerzemu Popiełuszcze

a kiedy dokonano mordu
i ciemne psy apokalipsy
legły nasycone
matka wyszła na próg
ale wielka ryba nie wyrzuciła
na brzeg jej syna

kainowe ołtarze dymiły
dym zaciskał powieki
i ból pełził zanim
nie wypowiedziano
– przebaczymy –
a matka widziała
coraz gęstszą mgłę
pokrywającą ziemię
i usłyszała głos syna
– nie płacz mamó
psy apokalipsy obudzą się
w głodzie
i nie nasycą ich ciała
nie narodzonych
rzucą się ku krtani
aż krew wypłynie
świadcstwem prawdy
„duszy zabić
nie mogą”

* * *

święty z Asyżu
naucz mnie prostych słów
bym mógł o sobie zapomnieć

święty pokornych
kiedy na ludzkim wysypisku
zaległa ciemność
podaj mi mały ogarek wiary

święty płonących sumień
dozwól abym w rozpacz
nie skamieniał
nad garścią własnego popiołu

święty miłości
ocal moich przyjaciół
i ręce ich ogrzej
przy biesiadnym stole

święty porzuconych
kiedy na ludzkim wysypisku
szukam strzępów biografii
jak znoszonego ubrania
daj mi nadzieję
że to czarne ptaszysko
chytry szczur
kiedyś odnajdą siebie

— — — — —

a kiedy opuszczą mnie wszyscy
światła wygaszą okiennicami
dozwól bym w drodze nie ustał
z ptaka rannymi skrzydłami

CMENTARZE

Są w ziemi przerwane zdania
nie dokończone rozmowy
i serca które cierpiały
na arytmie przyjaźni
są w ziemi twarze
o kamiennych maskach
których czas nie skruszy
ani zawodna pamięć
są w ziemi szable umyte
krwią a zamilkłe
niespokojne węgła Domów
i porąbane progi
są w ziemi wielkie uczucia
porosłe trawą i mchem
są w ziemi nie napisane
traktaty które miały ocalić
drzewa i wody
są w ziemi ludzie którzy
umarli żyjąc
a teraz przemierzają Krainę Spełnienia
są tu i ci którzy uciekali
przed sobą
w zadyszkę wielkich domów
i wielkich beznadziei
są w ziemi prochy
zmieszane z krwią żyjących
które budzą nas lękiem
nad świtem
są w ziemi spełnione karty
Apokalipsy

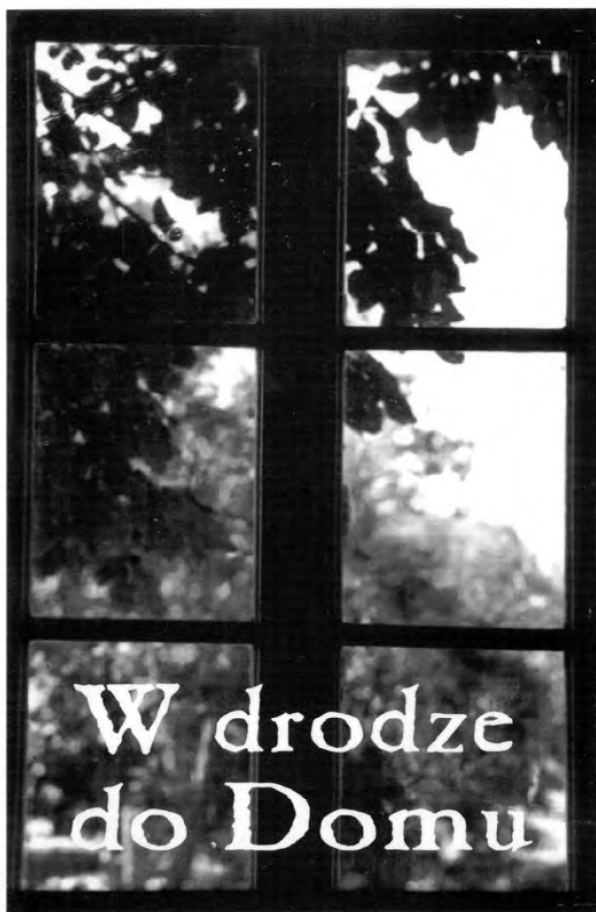
i znaki które żywym są
bielmem na źrenicy
są w ziemi upadłe anioły
ze skrzydłami
przytrzaśniętymi wiekiem
trumny

są w ziemi...
a na powierzchni drży
jeszcze światło
płomień nadziei naszej

* * *

Od strony nieba miasto
ścieli się łagodnością pejzażu,
budowle nabierają tajemniczych kształtów
w otulinie drzew,
milknie gwar miejski,
a obraz od strony nieba
w człowieczą mistykę
zostaje wpisany

Jan Leończuk



W drodze do Domu
(1996)

*Bogusławowi Marii Horodeńskiemu
w drodze do Domu Ojca
postępującemu utrudzonym
szukającemu zbłądzonych
dodającemu otuchy
tym, którym droga jest zbyt ciężka
wierzę, że i mnie i moich bliskich
nie pozostawi
bez pamięci modlitewnej*

autor

* * *

kiedy gasną lampy
i cisza wrzosowisk spija noc
wtedy wychodzi naprzeciw
modlitwa
– wiersz

ŻYCIORYS

pisząc życiorys przystaję zbyt długo
nad ścieżkami które prowadzą
w gęsty zagajnik
gdzie śpiew czuły
spóźnionych ptaków
i niebo lekko uchylone
jak rozdarta suknia anioła który się ciągle spóźnia

nie wiem nawet że za ścianą lasu
porasta już inny las w kolorach Gauguina
pożółkły
utkany z wrzosów
jakby czekał na przebudzenie
albo dotknięcie dłoni
– – – ale tam nie doszedłem
i kleks jak banalna łza winien
zatrzymać zdanie

kropka – a potem iskanie nieznanych faktów
które przymilają się jak dawno wyrzucone grzechy

wiosenny zapach łąk przebudzonych
opisy wytęsknionych ścieżek
a wybiegły one daleko od domowych progów

jak zapisać głos matki i ojca
stoją na rozstaju dróg
niemym drogowskazem
czekają

głos dzwonu doleciał jak rdzawy ptak
i nad drzewami ptaki cerowały niebo
i zaległa cisza

życiorys pisany wiódł na pokuszenie
pogubionych zapachów
nie było w nich niczego
oprócz wstążki pozostawionej na ławce
za chwilę zdmuchnie ją wiatr
i kolorowe przestworza napełnią się dziewczęcym śpiewem
nie było w nas tamtych
ogłuchłych na drzwi
cudzego domu

rdza karmiła się jak dawniej wspomnieniami
z uporem godnym człowieka
opowiadała o swoich sukcesach

ale o tym w życiorysie być nie może

dopowiedzenia stają się wyznaniem
nieśmiałość pyta o drogę
a na niej mała zabawka
samochodzik i sznurek
do ciągnięcia całego świata
sięgał już nieba

chybotał na wietrze latawiec
ale to już z innego życiorysu
gdzie ptak znaczy czucie ziemi
a drzewo pełne słów niewypowiedzianych

i aby życiorys nie zapadł się w odmętach testamentu
trzeba przejść na drugą stronę
ulicy
życia

MOJA MAMA

kiedy odchodziła
światła szczelina
sięgała bólu nadziei

był luty
motyle otwierały
skrzydła

pęczniało niebo od śpiewu

zapamiętać
– przestrzeń

zapamiętać
– pamięć

w zdziwionej ziemi
powitanie

* * *

„Ja tylko szukam, Ojcze,
a nie stwierdzam” –
skrzypiało pióro
kiedy święty Augustyn
dotknął nieba i ziemi

może był dzień pochmurny
i szczybel światła przedarł się przez chmury
opadając promieniem ku ziemi

mała złocista plama
rozkwiecona słońcem
odbijała niebo

i tęsknota przeniosła się poza bramy miasta
i straże nocne
i odeszła od lamp zgaszonych dla bezpieczeństwa
serca przestały kołatać
i nadeszło zrozumienie

i może wiatr ucałował
ciepłem

„pozostają jeszcze przyjemności oczu”
ale je wkrótce przykryje bielmo
cwałować będzie jeszcze pamięć
po niezżętych łąkach
o pierwszym kwitnieniu

i śmiech przetoczy się i zgaśnie
jak o zachodzie słońca
kiedy sierp odpoczywa
i dłonie szykują się do snu

a potem spod pióra świętego Augustyna
który szukał świętości
świętym już atramentem
i pokorą
zostało zapisane
„Bo Ty mnie osądzasz Panie...
Bo to co wiem, wiem dzięki temu, że Ty na moją drogę
siejesz światło”

i mógł odłożyć pióro święty Augustyn
a plama światła
otulała już mrok
jak w dzień stwarzania

żeby zrozumieć nie trzeba wysokiej wieży
wystarczy spojrzeć w przeszłość
i połączyć się z nadzieją jutra

tak czynią kwiaty
korzeniami wbijając się w ziemię
nawet wtedy
kiedy wiatr rozbiera z kwitnienia
i schną liście

* * *

drzwi
jak z alfabetu śmierci
skrzypienie ostatnich ptaków
które nie wiją już gniazd
odlatując donikąd

przystają zdania
uciszenie przysiada na progu
jak malec zadziwiony
z palcem w buzi

potem matka zapłacze
szukając pierwszych słów
dzieci

pozapadają się piaskownice
zestarzeją się lalki

potem drzwi
na oścież

światło słów
bezgłośnie

drzwi
i znowu
drzwi

* * *

historia wytaczająca się na ulice
w ataku duszności niestrawionych idei
dotykała rynsztoków pijąc chciwie krew
chora na białaczkę wołała o transfuzję

zawleczona do sądu była biała jak ściana
nie odpowiadała na stawiane pytania
w obłędzie powtarzała patetyczne zdania
których nikt nie rozumiał
i nie chciał zrozumieć

nędzarka wielkich słów
w otoczeniu tłustych sędziów
w togach dostojęstwa i pogardy
uśmiechała się
wycierając ukradkiem brudną dłońią łzy

nawet korona na jej skroniach dotknęła bruku
farsą przekrzywiona nie dopominała się niczego

godność wdeptana w muł ziemi
nie oddychała

historia
ojczyzna
matki mojej modlitwa
ojca blizny znad Niemna

noc bezsenna – – –

syci nie znają kart głodu i poniżenia
umierają tak samo wołając o oddech
jeszcze błagają o dotknięcie ziemi
z łóżka szpitalnego
bez kapci
sycą się dotknięciem stopami podłogi
kiedy oczy uciekają w popłochu przed kłamstwem

a krople płynu
beznadziejnie wpływają do żył

milczy pod maską chloroformu

przestawiane meble zakłócają ostatnie chwile
przerażone oczy – bibeloty wspomnień
komoda marzeń

z kredensu brudne dłonie
dobywają kieliszki
odciski kaleczą szkło
– wznoszą toast za żywych
rozsiadłych w fotelach władzy

nie pamiętają już po co przyszła niewiasta
załękniona i zdeptana
ogłuchła głuchotą swoich dzieci i wnuków

stojąc przed sędzią
nie ukrywa wzroku
umytego łzą
milczy – – –

moja ojczyzno
gipsowy odlewie dłoni obumarłej

nie popłynie krew
nie obudzi się tętno
osieroconych wierszy
rynsztoków
poczekalni
w zapomnianych oberżach
bełkocząc rynsztokiem
piją na umór

zza zbielełych ścian
dociera głos
nie słyszą go sędziowie ani trybunały

w twarzy umytej łzą
budzi się słońce
i oddech spokoju otacza się nadzieją
że nie zginęła

* * *

wszystko się zamknęło
przed oczyma tylko biel rozlana
dotykając czoła szuka tętna

nawet mysz
nie przecisnę się przez ucho igielne
narysowane
pytaniem
na kartce

a rozlewisko czasu
w alfabecie niepokoju
żyje od wczoraj do jutra

wszystko się zamknęło
w białym talerzu
wyzwolone kwiaty z resztek jedzenia
kwitną
i pachną

oto drzwi otwarte
przestrzeń nieprzestrzelona
oddech zapisany
na marginesie kartki

* * *

moje krajobrazy do nieba uniesione
białe zimą pędzone obłokami
marzeniami uciekają za próg ziemi
z mdlejącymi płotami
które nie chcą znać granic
skurczone
jak orzeszek tkwią
zapomniane przy drodze

mleczce mojej mamy znów zakwitły
a kiedy kończą kwitnienie
dmuchawcami niebo ciemnieje

dotykam przestrzeni
skaleczonej i nierealnej

biały puch osiada na niebie
za dziecięcym lizakiem
czai się osa

kwieciami przystroiły się sady
i ptak zaśpiewał z nagłą

banalne krajobrazy
i ckliwy wiersz
niebo zatarte dniami
otwarte jeszcze w snach

czekam
aż zaskrzypią
drzwi
i obudzi się dom
wystygły

dzień stwarzania

światło z cieniem usłużnie
ułożyło się w piaskownicy
ku której szły dzieci
z maleńkimi wiaderkami

oto czas darowany

* * *

została jak w wierszu nadętym
ostatnia kartka papieru
pożółkła

nie zbladła
nie pokryła się rumieńcem wstydu

tej bieli zdań trzeba się uczyć
codziennie potykając się o schody
głosem dotykając wysokości
nieba

bo biel mówiłeś – światło
bo czerń mówiłeś – ciemność

i między nimi przebiegał margines
jak cięciwa łuku
drgająca o poranku
kryształkiem łyzy

kwitły kwiaty
nawet mały płatek róży
zasuszony i jakby umarły
dopominał się o dopowiedzenia

kartka papieru
o którą upomniął się wiatr
i niebo
przysłoniła noc
i zakwitła krew
jak przysięga
złożona nad świtem

* * *

odrzucając szczebiotliwe tło makatek
szukając twardych słów
o których zapomnieli mężczyźni płacząc nad świtem

odsuwając tło rozpisane na scenariusz
domu z wypędzonymi snami
z wierszami idącymi w szeregu
w gazetowym rytmie im więcej słów
tym gęściej na łamach sumienia
które odeszło spod drzwi
jak nieproszony gość

odrzucając kartki uczernione
wierszami nagłych okrzyków
ze scen wyludnionych samotnością
szukając sensów kiedy zgasło
ostatnie światło i rampa gęsta od mroku
tylko sufler pozostał
bawiąc się małym wiatraczkiem
udawał wiatr i nawet kurtyna
uniosła się ku niebu

gwiazdzistą noc jakich wiele
zapisalem

wchodząc
w rzeczywistość gwiazd dotkniętych
i posrebrzonego na nowo księżycu
pod którym zakochani

będą znowu kolorować świat
snami niedośnionymi

niebo jakby zastygło
dotykało pytaniami
na które nie było już odpowiedzi

potem wiatr przyniósł słowa
i poczęło się życie

niechaj ten rysunek
wyjrzy zza jeleni i atramentowych jezior

dzieci wbijają łopatką w ziemię
piasek jak z cmentarnej przestrzeni – – –

ale
chłopiec i dziewczynka
uśmiechają się do siebie
w słońcu

* * *

tak szybko bledną zdania
nitka wypruta ze swetra
nie może odnaleźć kłębka
szczebiot znajomych ust
ukrywa jakąś prawdę

anemiczne tło uległo retuszowi
róż – na zachód słońca
puder – na zdziwienie świtu
tylko dłoniom i sercu
nie przydano sensów

kurczowo trzymają się krawędzi łóżka
błagając o świt

* * *

odlatywałem w ciemnych rymach
kluczem żurawi
okno zabiłżniło się ścianą
głuchnącego horyzontu
ośleple – dzień jak co dzień –
nawet jaskrawość śniegu
nie pragnęła już skóry
okopconej wieczorami wspomnień
pożółkłych fotografii
do których trudno się przytulić

wystygłe zdarzenia powracały
obcym językiem
prosząc o strawę
i w zdania nie potrafiłem włożyć
wyblakłych – wyrazów bez wyrazów –

to pewnie już ostatnia kartka

za oknem szło ku wiosnie
nawet słońce na chwilę
położyło się pokornie na pożółklej kartce papieru
i w ciszy krwinka mojej krwi
uchwyciła się nadziei

by jeszcze raz spojrzeć
za okno – – –

* * *

szlachetny kamień
nie zazna skazy
pociemnieje gniewem
zamilknie
stanie się świecidełkiem
ulotnej rozkoszy

nie dotykaj skóry
kiedy w brzasku dnia
szukasz siebie

nawet rytm zegara
dochodzić będzie z drugiego brzegu

podszewką snu
chwilą zatrzymaną

białą krwią
w bandażach
spragnionych

kamieniem polnym
u wezgłowia

ciszą

chwilą zastygłą
bądź

* * *

kiedy odcięto pępowinę
a w horyzontach
uregulowano tętno
nadszedł dzień
kiedy drzewa wyszły
naprzeciw
i rozmieniły dni
na śmiech i płacz

a potem
tak blisko ściany horyzontu
a nikt nie przytulił
samotności

starość
poszukiwała pępowiny
i na nic się zdały
słowa zwietrzałe
i wiatr

wyszedłem
wróciłem

* * *

tak blisko
śmierć już na bladej ścianie pisze wiersz
z widokiem zamkniętym na niebo i ziemię
kładąc dłonie w geście
zrozumienia świata

i ciemne słowa uciekały w ciemność
w jądro ziemi
nie kalając krwi
a oddech tęsknił do korzeni i liści
aby w zieleni wykąpać tęsknotę – – –

i tak rodziła się bliskość – – –

bielmo oczu rozpływało się w zimowych pejzażu
w zawodzeniu wilczym nad przestrzenią ciemną
i nad opustoszałymi dłońmi
przystawał Las i Los

w gęstwinie ginęły rozmowy
ucząc się milczenia

echo kołatało o ściany horyzontu
prosząc o imię

ospowate niebo
wisiało
jak zapomniana dekoracja

i coraz bliżej
pustki opuszczenia

skrawek papieru czekający na zapisanie

sen

na ścianie białej
zaniemówił cię

* * *

uciekają drogi
oddalają się horyzonty
słabną nogi
i serce pragnie odpocznienia

kropla potu
stacza się jak łza
zmęczonego ciała

nie wiem Panie
gdzie przystanąć
aby skryć się w cieniu snu
pełnego lata
tyle śpiewów drzew niewysłuchanych
tyle ścieżek niewydeptanych
tyle wzruszeń niewymodlonych

tyle ciszy – – –

zagon i bruzdy
i wrastanie
w pokorę ziemi

* * *

to tylko życie
motyl
jak po schodach
wspina się do nieba

deszcz
wyzwała z płaczu

a mała kałuża
zerka ku niebu

za chwilę zabrzęczy
pszczoła
i miodem słońca
spokornieją powieki

to tylko życie
i sen
otwarty

* * *

zostawiłeś nas Panie w świecie obcych ścian
na których dzieci dotknięte bluźnierstwem
piszą słowa lepkie i nienawistne

obok piaskownica
w niej tysiące ziaren
skazanych na sąsiedztwo

dalej drzewa smagane wiatrem
gubią liście i suche gałązki

i płyną obłoki jak w dzieciństwie
zamienione w stada owiec
na bezpańskim pastwisku

i słońce posyła nam uśmiechy
i motyl wzlatuje ciszą
ku niebu

i obce ściany przylegają szczelnie

posłuszny wyrokom
oddalam się
pokornie

ściany na które dzieci patrzą z lękiem

uciekają do piaskownic
aby budować swoje kruche
królestwa

OBRAZEK I

maleńki cień
uczepiony poduszki
i serduszko uwolnione
tuli się do mamy

nóż leżący na stole
kroić będzie chleb

zmierzch
ułoży się na ścianie
i zerkać pocznie ciekawie lampa
cisza uśnie w kącie
– nie bój się
zatrzymaj w piąstkach ufność
choć wiatr za oknem
i skrzypią już drzwi

OBRAZEK II

aniołom wyznaczono miejsce na kładkach
jak na granicy światów

jasność i ciemność

nie otwierając księgi skrzydeł
tęsknie wypatrują horyzontów
jakby stamtąd miały wyrzeć
kolorowe kokardki dziewcząt
i płowe warkocze
szukające snu utraconego

i zdawać by się mogło
że woda przepływająca pod kładką
przystanęła
na chwilę

* * *

jednym oddechem
obejmę świat
w dniu kiedy dotyk
uleci z tęsknotą motyla

i światło betlejemskie
połączy
niebo z ziemią

* * *

nie uciekaj
z młodym wiatrem
nie połączonym jeszcze z rozkwitłymi horyzontami
gdzie śpiew
i zakwitanie ziemi
i ciemność biegnącej na przełaj
z zadyszką krwi

coraz dalej do domu
i niebo tylko ciężkie od gwiazd
i pytań jakby nieważnych
nie uciekaj od znaków niepewności
nad ranem
kiedy sen nocy
stacza się za nieboskłon

i tak oto czas
wypełnia się ucieczką
i tęsknotą do drogi
ku światłu
nie uciekaj
od pytań cierpliwych
to nie sen
to życie
w pękających horyzontach

to próg w domu ojca
nawołuje
zatrzymaj się
bodaj na chwilę

* * *

ugiąłem kolana
ciężar świata tkwił jeszcze w fioletowych dzwonkach lata
zakwitającego co dzień ranka
i złocistego zatrzymania ciepła dłoni
małej chwili –
– i moja mama przystanęła na swej drodze
i wiatr bezśnieżny
i oddech drzew gotowy na uderzenie siekiery

biegło na przełaj

bojąc się ciszy
biegło w sam środek
życia
i milczenia

* * *

im bliżej dna
tym więcej słów
od których gęstnieje dzień za dniem

woda zatrzymana
a na niej biały kwiat lilii

wiersz nieskalany

* * *

każdy dzień który przystaje za ramą okienną
zza tafli szkła przygląda się bacznie
człowiekowi
szamoczącemu się w świetle
jak ćma
nie olśniona światłem
a oślepiona

pozostawione buty
czekają dopełnienia losu
utrudzonych stóp

rękawice
torba
i tornister który wciąż wyśpiewywał
dawno pobladłe wersy

* * *

Marii Żeszko i jej córce Ani

córeczko moja
niebo wciąż ciemne
i gwiazdka twoja już wschodzi

na moim niebie
też ciemno
gwiazda w pozłocie tonie
wśród fałszów wczorajszych
półprawd
półnadziei
i z głuchą ścianą płaczu

córeczko miła
uwierz że Polska
to dom twój
i siła
i cień
choć niebo ciemne
i szary dzień

córeczko miła...

* * *

moja ikono z pół sytego chleba
modlitwy pełna blasku
rozśpiewana

miedzami ludzkich ścian
otulonych domów
niezmytymi łzami

korników jak pacierzy
skrobiących sumienie

moja ikono matko ociemniałych
słów nagłych jak noże
siedmiu dni bolesnych

dokąd mam iść
kiedy dzień już zmierzcha – – –

coraz ciemniejsze twarze
w pękających horyzontach
daj światła kruszynę jak chleba

moja Matko przed tobą bóle moje składam
skaleczone lata
niewiernym pytaniem – – –

dokąd mam iść – – –

płowięją sny tęskniące ku jasnym polanom
kłamliwe pejzaże makatek

moja Matko
ikono
cierpliwa dozgonnie
wyprowadź mnie z kołyski
lipowego snu

dozwól dotknąć ziemi stopą snu dziecięctwa
i krew zjednaj z ziemią
kamieniem
i bólem

może zgięte kolana
zapach lasów i cisza
pod pieluszką nieba
ukoi płacz nagły

Matko moja
modlitwo
wierszu obudzony – – –

* * *

nie przywoływałem słów ale przyszły
ustawiły się pokornie
w rządках zdań

wyciszyły w sobie pulsowanie krwi
spraw wielkich i małych

nie szukały już wyniosłych wzgórz
ani ust młodzieńczych
szły pokornie
alfabetem potknięć

w tamponach ojczyźnianych słów
wpisywały wyznania – sen mara Bóg wiara –

nad bliznami przystawały w milczeniu
jak nad grobem matki
przed drzwiami zatrzaśniętego dzieciństwa

nie hałasowały jak dawniej
i nie mogły zanurzać się w młodość
ukrytą w starych lasach
zniszczonych pożarami i zapomnieniem

nie szły moje wiersze na dawno umówione spotkania
pokryły je liszaje pociemniałych wrzosów

nikt nie witał
nikt nie żegnał

niewidzialne jak ból
zauważalne jak ból

wtopiły się w życie
patrzac tęsknie na wzgórze
zza których miało wytoczyć się słońce

nie wiem przyjacielu kiedy wiersz umiera

może słońce da siłę
aby przejść Rubikon – – –

i nadzieja żebraczka
weźmie kostur i uda się ku swoim horyzontom
ot tak jak idą jeszcze cienie żywe
których nikt nie tropi

słowa z Boga i z bluźnierstwa dobyte
oto stół pokory

niechaj będzie od krwi uwolniony
by wzdęty brzuch ziemi
nie kalał serca
cyngiel a na nim palec
nie był imieniem sprawiedliwych

by w rynsztok rzucone dziecko
mogło poznać człowiecze drogi

światło i mrok
ale niechaj dotknie światła
i dozna mocy olśnienia

niechaj darowany wiersz
przetnie drogę
i pozostanie progiem domu

nie przywoływałem słów
ale one szły obok
cierpliwe jak anioł od kładek

nad strumieniem oddychały głęboko
jakby wchodziły w toń i lęk

patrzac na drugi brzeg
uciszałem rozmowę serca

i tak dzień za dniem

aż do chwili
kiedy zapach ziemi
począł rozrastać się zapomnianymi ogrodami
i tam odnalazłem swoje drugie serce
bijące młodością i tęsknotą
i nie blednące

i zapragnąłem iść
po nierównej drodze
ze słowami

wiary
nadziei
miłości

mój wierszu któregom nie przywoływał
bądź moim snem bez bólu
i moim światłem bez bielma

* * *

chciałbym przyjąć miłość darowaną
choć sen splamiony bólem
samotność bez echa
drzwi zamknięte złym słowem
a pośpieszne wiersze oddalają twarze

tak trudno uwierzyć w czoło pochylonego nieba
nad sercem utykającym
poplątanym zdaniem
kiedy krok nieposłuszny i zachłanność płuc

tak trudno nieść w sobie
Księgę Rozpoznaną

ale dzień ten nadejdzie
i droga do Domu
wśród łąk zapomnianych
słów prostych a pełnych nadziei

drzwi uchylone
cierpliwie
czekają

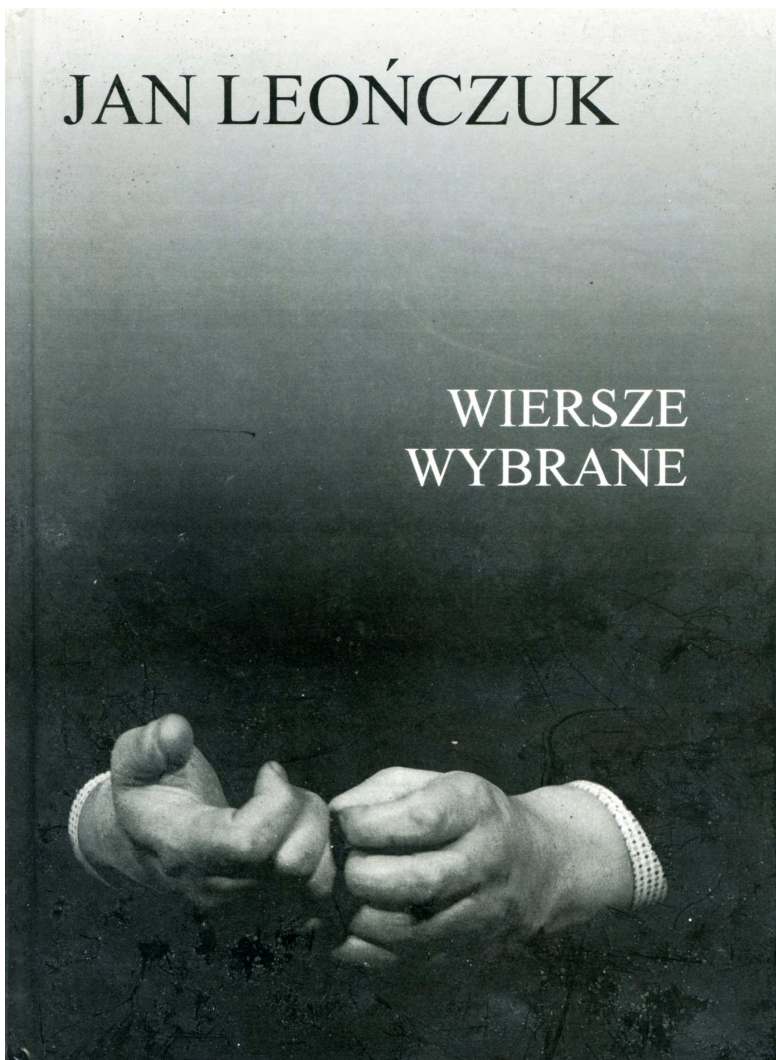
Wiersze wybrane
(1996)

*Takie proste jest życie
że każdy zakręt
boli*

Z tłumaczeń
(1979–1996)

JAN LEONCZUK

WERSZE
WYBRANE



Hatif al-Dżanabi

NIE MA RÓŻNICY

nie ma różnicy
między krwią a koszulą moją
nie ma różnicy między skórą moją a koszulą
nie ma różnicy między koszulą a Ojczyzną

nie ma różnicy między palmą a Bogiem
między okrucieństwem a miłością
między mężczyzną a kobietą
bo wszyscy szukają swych tyranów
w ciemnej nocy

nie ma różnicy między krwią moją a Eufratem
razem razem przestały istnieć
teraz znowu razem razem płyną
szukając ujścia
w Ojczyźnie którą zniszczyli tyrani
i zdradził Bóg

nie ma różnicy między matką moją a ojcem moim
bo jestem płodem ich obojga
owocem tresowanym
w dzikim lesie

nie ma różnicy między krwią moją a wierszem

kwiecień 1980
(z tomu: *Rozbite wiersze* 1987)

ZMIANY

powiedziano do wody
 zmień swoje fałszywe koryto
a w śmiechu wody widać było jak płyną srebrne ryby
powiedziano do słońca:
 pożryj swoich jeńców
oddaliło się słońce i pociemniał wszechświat
powiedziano do drzew:
 ogień naszym przyjacielem
 woda wrogiem
 a słońce kamieniem
drzewa ścieliły ku wodzie gałęzie
a słońce rozesłało złociste warkocze
powiedziano wiatru:
 wyrwijże skamieniałe drzewa
a wiatr śmiał się
aż opadły dojrzałe owoce
powiedziano do wody:
 dopowiedz swoim nurtem czego Arabowie nie zdążyli
 powiedz jeszcze więcej
 na chwałę możnych i smagłych młodzieńców
 zostaniesz wiernym towarzyszem
 wielkiego pana
woda płynęła swoim nurtem
drzewa ogień pochłonał
słońce zgasło
a wiatr w skowycie umierał
 słowom urosły kły i pazury
 poezja była już kamieniem
 rzucanym w walce

marzec 1981

(z tomu: *Rozbite wiersze* 1987)

LIST DO OJCA

Dzień dobry mój ojczulku,
bezpowrotnie już minął cza gołębi i chwila rozstania nas łączy
a kiedy umrzemy
wrócimy na skrzydłach
czy ciągle bijesz moich braci
czy przygryzasz skraj ubrania w gniewie
krwawiące serce otwierasz przed Panem i się nie korzysz?

dzień dobry mój ojczulku,
czy gwiazdy wciąż jaśnieją
nad zdanym na nieszczęścia dachem
czy też zmurszały ogarnięte bólem?

dzień dobry mój ojczulku,
bądź cierpliwy a przybędę do ciebie na skrzydłach pocisku
lub bomby
bez odzienia bez orderów
nie rozpaczaj
wszak przyszło mi być nieszczęsnym świadkiem
ojczyzny mojej, którą zawładnęła gilotyna.

Dzień dobry mój ojczulku,
znieś i to, że Abbud przywlecze się na czworakach,
a może przyniosą go w rządowych rejestrach
pociętego na kawałki
nie płacz zbyt wiele
przeklęty jest ten wschód
między zbrodnią a nożem
opowiedz o ruinie duszy, o głosie, który ginie

wśród koron i wśród zatok
wśród tyranów i porażek,
i bohaterów bezdomnych...

powiedz im, kiedy cię będą przyzywać,
że przyjdiesz o stopach bezpalcych
znieś i to,
że przywlokę się na czworakach
na czworakach
przeklęty jest ten Wschód
a ja prorokuję mu przyszłość nie bojąc nad tym
że pierwszy jest wtedy gdy wspólnota żyje.

październik 1981 r.
(z tomu: *Dzikie kontynenty* 1991)

PIEŚNI POETÓW (ELEGIE POETÓW)

my poeci: opuchnięci panegirykami, dworscy, opozycyjni
mistyczni, tradycyjni, nadęci próżnością, pyszni
porażeni surrealizmem, rewolucyjni w zamiataniu kurzu
dawno zmiecionego, nędzarze od świętej nędzy, darc
z pióropuszków, robotnicy, chłopci, wieczni studenci...

my poeci: z czerwonymi kołnierzykami, z zielonymi, czarnymi,
żółtymi, z obwodami elektrycznymi wokół krtani
ziemia ściele się ku różanym górcom
kiedy rodzi się w nas miłość
a wiatr zapachem odurza
a chmury jak bukłaki z winem
w kielichach naszych słów

my poeci: naiwni, skazani na klęskę
przywiążemy ciebie ziemio do boskich wulkanów
z płaczem nadchodzącego potopu
gdy ktokolwiek będzie w naszą pierś mierzył

my poeci: clowni, upodleni
do rdzenia głupoty, chorzy na nieustanny lament nad
lamentującymi mówcami, pieniaczami z brudu przeżartym
ciałem i duszą
leniwi, śmiejący się do sera, paplający nad miską słów,
alkoholicy, stręczyciele smukłych młodzieńców, idioci,
grzesznicy upadli na samo dno upadków, opuszczeni przez
Boga i ludzi, zapomniani, oderwani od własnych korzeni,

uwięzieni z litości, samobójcy, zamordowani, zmarli
śmiercią naturalną, żywi a pragnący śmierci zarozumiałcy,
grabarze, hycle, hieny cmentarne, kapłani przezwani kahinami
potrafimy krzykiem napełnić krzyk
i rykiem własnym świat kaleczyć

kiedy dokuczy głód
ziemia się rozpołowi
i poniżone będą wszelkie głody

my poeci: mędrcy i idioci
dzieci, dzieci, dzieci
znienawidzony czas poniżanej wolności
wędrującej o kosturze i chlebie żebraczym

niech ominie nas czas kiedy wolność
pod piracką flagą zrodzi patriotę
z wypasioną gębą

12.08.1983, Warszawa
(z tomu: *Dzikie kontynenty* 1991)

Nadzieja Artymowicz

* * *

czas w tobie przeciąga się przykryty błękitem
wspomnieniami zroszony martwy już mój dom
noc kołysze twoją niedokończoną księgę
pozostawioną
pisałeś kiedyś o zachodach słońca
listopadową porą

i o tym że złocień liści choć jeszcze w zieleni
umierają drzewa
pisałeś że szukasz drogi ku swojej ojczyźnie
nawet kiedyś i tam gasną gwiazdy
i milknie pamięć

czas z tobą w twojej księdze przykrytej błękitem
jak czas miłowania ziemi znaków niepewności

(z tomu: *We śnie w bólu słowa* 1980)

* * *

opuścił stare przytulisko
odpłynął już za Błękitną Górę
niewiele po nim pozostało
but jeden (drugi zgubiła młodość na dalekiej drodze)
I to wszystko.
Mówią że zostawił garść słów
i mówią jeszcze że w tej garści
zostało jedno ziarno Prawdy...
Ale o tym
nie opowiedział
nikomu

(z tomu: *We śnie w bólu słowa* 1980)

* * *

nitką nerwu
zapisuję twoje imię
w podróży bez końca
w pędzie nagłych ucieczek
język sadzy
wylizuje błękit

na szyny
spływa smutek

(z tomu: *We śnie w bólu słowa* 1980)

* * *

nocą przyjdzie
w pogwarze nieba
chmura przyszła do łzy
ucieknie
świerk lukrowanej fantazji
pod cudzym oknem spłonie w bezdomność

odszukaj swoją ulicę
i nowy pejzaż morza
zapomnij przyływy odpływy
zaśpiewasz w czas umierania wina

przed nami ciepło wieczery
wigilia święta odbarwionych ludzi
niewidzialnych niepewnych
w powitaniach uśmiechach uściskach
tajne światło lampy
jednak jedno miejsce pozostało puste
nikt nie zauważył

porozmawiaj z żartującym zegarem
zapytaj
o życie szczęście ból
odpowiedzi wędrują własnymi ścieżkami

pomyliły się kroki w tańcu
kulejąca muzyka
i blednące orkiestrantów twarze

tak omdlewa świeca

(z tomu: *We śnie w bólu słowa* 1980)

* * *

bratu

Brat w srebrze dobrego czasu
poszukuje otwartych drzwi
myliły go swoją prawdą sny
w listopadowym deszczu cienia
i przyjaźń z obiecanym dniem
niepewna nocy uciszenia

tej bajki nie dopowiem
życie w kamieniu ukryte
śmiech jeszcze tej samej wiosny
napisze dwie biografie

rzeka na fotografii
wciąż żyje
jak twój dom

(z tomu: *We śnie w bólu słowa* 1980)

Jerzy Geniusz

AFRYKA

Czemuś ja czarny, czemuż ja czarny, mamu – choć białą noszę twarz? Czemu mi wiatr – w oczy wciąż dmie?

Afryka dookoła, Afryki stukot bębnow. Na próżno w piasek chowasz głowę – ofiarą nie przebłagasz bogów.

Tum-da-ta, tum-da-ta, tum-da-ta. Kto czarny, ten kark swój wbrew woli gnie. Dżungla dokoła jak w przerażającym śnie, jęczą, rechoczą, błyskają kłami – chwytaj co żywe, żeby przy kotle stanąć, za gardło duszy – zachłysnąć się krwią - - -

O-o-o! Czemuż ja czarny, czemuż ja czarny, mamu – choć białą noszę twarz?

Uszy rosną dokoła – to tu, to tam. Nikt znikąd nie zadmie, każdy oddech zapadnie, i dokładnie prześledzi, i za tobą wciąż pędzi, i gromadząc, coraz szybciej się zbliża, i na nitkę naniza, pajęczynę rozwieszoną dokoła – czy to warczą tam-tamy, czy to dusza skowycze, czy to żmije mlaskają jadem?

O-o-o! Czemuż ja czarny, czemuż ja czarny, mamu, choć białą noszę twarz?

I lwy i słonie – spójrz – są wolni, bez krat. Bawół z błota głowę podnosi, nosorożec pękaty opala się w trawie, rdzawą plamą przemknął się lampart, zebra z antylopą... I orły swobodą pod niebem kołują – i wokoło wolność, i nie ma krat. Nie krzykniesz im, że tu – rezerwat...

I jeno hieny chichoczą. I tylko szakale się śmieją.

O-o-o! Mamu!

(z tomu: *Na początku było tylko słowo* 1981)

NA POCZĄTKU BYŁO TYLKO SŁOWO

Bójcie się słowa. Drżycie przed nim. Śmierć waszych złud – niegodni i złoczyńcy. I choć mijają setki lat lub tygodnie przemijają, bić ono będzie do zamkniętych wrót – przeniknie wszak.

Bójcie się Słowa!

I nie zaznacie spokoju, wam zmiłowania nie będzie. I nie ma snu – i rozpacz ukryta w tańcu na piersiach zmorą osiędzie.

Bójcie się Słowa!

Cóż z tego, że wasze prawo, ono wszak wyroki swoje wypowie, kiedy w pałacach waszych sądzą Judasza synowie – za srebro narodowi wyrwane.

Bójcie się Słowa!

O rodzie Judaszowy! Módl się, płacz lub umieraj – dłonie ci lizać psa skowytaniem – cień twój cieniem przeklętej osiki zostanie, cień związanych pętlą rąk.

Bójcie się Słowa!

Nie spętasz na niebie skowronka. Spróbujcie raz jeszcze rozstrzelać marzenia, a kiedy naprzeciw spłyną słowa ognistą lawą, kiedy ich echem ziemia znów się odzywa, pól i lasów wrzawą, kiedy żołnierz gotowy pojednać się z trawą – wybaczcie czołgom nieokiełznanych spraw.

Bójcie się Słowa!

Oto garść słów skrzydlatych sfrunęła ku słońcu. Z klatki dłoń czyjaś znów wyjęła słowa. Na trzeba karmy, aby żyły. Mężniały w przestrzeniach, za wiosną tęskniły – piskłeta w orły się zmieniały, jak kamienie spadając ku ziemi ciążyły, by oto wzbić się w chmury z gniazd całego świata.

A w szumie takim, uwierzcie słowom brata, przeciągły świst rakiety jest wróblom na igranie. Jak ująć przy tym złudę w to śpieszne przywołanie?

Bójcie się Słowa!

I ukryć się nie możesz, ani stawić czoła – co przeciwstawić żądłom
bezlitosnym – ogień się nie ima ni miecz. Gdzie wam skłonić głowę? I nie
ma ucieczek, wszystko zmieni się w niwecz. I nie ma takich dali, i nie po-
może ściana z kutej stali – bo słowo, dajcie mi wiarę, samo stal hartuje.
Ze stali zrodzone potrafi zadać śmierć.

I dlaczego oznajmiam wam –

Bójcie się Słowa!

(z tomu: *Na początku było tylko słowo* 1981)

Jan Czykwin

ELEGIA BIAŁOSTOCKA

Lato przemija. Ostatnie lato.
Purpurowo-liliowe, ciszą zamglone,
Radością wątłą, wielkością smutne.
Lato moje. Nieurodzaju zagon.

Lato umiera. Ostatnie już lato.
Ogniem chłodnym, świętym i wiecznym
Gaśnie i to, co miało nadejść.
Lata mego płonące barwy.

Lata – promyk, Błękitu – szczelina.
Muzyka tchnie. Ziemia we wrzosach.
W otwartą otchłań czas się wysączył.
Sterczą nagie korzenie życia.

PRZEPOWIEDNIA

Taniu, dziewczyno moja,
niełatwe jest nasze życie.
Do studni wpadły klucze.
Ani ja od ciebie,
ani ty ode mnie
nie możemy uciec.

Zamki pordzewieją
na starość,
w żyłach zachłupie
woda –
czasu piasek
wszystko zasypie
i czas już niczego nie odda.

* * *

Gdzie zagubiono rzeczy po wielkich ludziach
Kalosze Savonaroli,
Onuce Szekspira,
Uzdę konia Aleksandra Macedońskiego?

Gdzie złożono szczątki
Pierwszych władców
Oszczepu
Ognia
Pługa?

Czy ktoś zapamiętał
Pierwsze słowa
Michała Anioła,
Kolumba,
Kopernika,
Newtona?

I czy zdołamy powtórzyć
Choć dwa zdania
Z ostatniej rozmowy
Naszych ojców?

Sokrat Janowicz

SNY

We śnie przychodzi rodzinne pole. I zieloność niewyobrażalna za gumnem, gdzie pasłem krasulę – Pieredojkę. Dziczka na przymiedzy wabi owocami i wietrzyk w jej listowiu dokazuje; z niej rwałem grusze na gniłki. Maliniak w skwarze ciężko oddycha i pochyla się ku latom; lubiłem w nim bawić się w chowanego... Rzeczulka za łęgiem wiecznie szemrze wśród kamieni i płycizn złocistych, na których łowiłem koluszki.

Po bocianim gnieździe zaś sterczy na podwórzu pod płotem jeno koło. Rozeschło się doszczętnie. Nie ma klekociaków, nie ma już, nie ma... Czy możliwe jest zatem obranie sobie nie drugiej, lecz innej ojczyzny?

(z tomu: *Trzecia pora* 1983)

ŚWIT

Żyli sobie dziad i baba: Ryhor z Karusią.

Przeziębł się on podczas kopania kartofli. Paliła gorączka.

– Siarhiej... Siarozka!... – wołał syna. Milkł, kiedy odzyskiwał przytomność.

Wył pies. I cwany księżyc gramolił się w okno.

Karusia wyszła na ganek. Od ziemi unosił się grobowy chłód, siwiał przymrozek. Wielka Niedźwiedzica wisiała nad zastodołem i niebo tężało w jasność.

Karusia rozmyślała o zameężnej córce w Białymstoku (drepcząc do piwnicy po ziemniaki dla świń). Nie miała do niej najmniejszego żalu – córki idą zawsze tam, gdzie im los każe.

Nagarniając po omacku ziemniaki, przeklinała do cna swój los.

Nieoczekiwanie usłyszała Karusia, jak ktoś rozwarł drzwi do chlewa. Wyraźnie skrzypiały, długo i przeciągle.

Wydostała się na podwórzec, aby się rozejrzeć: w obejściu zamajaczył cień Ryhora!

– Co ciebie wypędziło z łóżka!? – wzięła ją złość: po trosze i z radości, że to nie złodziej, trochę i ze zdumienia, że w chorobie, zlany potem wyszedł na mróz...

Ryhor się nie odwracał.

Podeszła do niego i ucichła: płakał. Płakał dziwnym płaczem, który zrazu wydaje się być śmiechem... Zbiegły się zaciekawione kury, beczały głupie owce, zaryczała także krowa; koń tylko jeden milczał, patrząc rozumiejącymi wszystko oczyma.

Zaprowadziła Ryhora do chaty, położyła na posłanie. Po raz pierwszy nie obchodziły ją głosy zgłodniałego inwentarza; milkła, stojąc przy jego głowie i z miłością w oczach patrzyła na starego, nic innego nie widząc i o niczym nie pamiętając.

Jaśniał ranek.

(z tomu: *Trzecia pora* 1983)

Michał Szachowicz

ŚWIĘTA NOC
(fragmenty)

1.
Noc...
Święta noc
w brzegach horyzontu
Jutro dzień,
nowy dzień,
potoczy się
znów słońce.
Jutro ja –
już nie ja,
błaznem jutra uległy,
choć życie gra w nas
zadrzę umarłym ciałem.
W maskę już przystrojony
i zatańczyć rozkażą
i tam i tu,
i tam i tu,
a chciałbym jak woda
szaleństwem rwać brzegi
zamiast milczeć
zamknięty w szklance.
Noc.
Dusza oddycha.
Unieś mnie w sen
siódmej rzeki,
w krainę
rozbawionego dzieciństwa.

Póki noc twoja
i serce drgające ufnie,
przenieś mnie w sen.
Niech serce
zakrztusi się szczęściem...
Nie straszna mi codzienności golgota.

2.
Przysnął dzień
w codziennych troskach.
Umytą drogą
pędzą tabuny
mgły wieczornej,
łąkami traw przechodzą;
łasi się spokój.
Tylko we mnie
nadzieja z trwogą
lunatycznie błędzą.

(z tomu: *Święta noc* 1979)

Wiktor Szwed

POROZMAWIAJ ZE MNĄ, MAMO

pamięci Matki

W snach tylko moją matuś widzę
jak błądzi w starych ścianach chaty
a ja – maleńki na jej kolanach
szukam dzieciństwa progów jasnych

A matuś snuła stare bajki
w pieśniach płynęły dobre lata
pełne światłości i dobroci
moje dzieciństwo opiewając

I jak pochwycić tamte zdania
Mamy już nie ma w moim Morzu
i tylko w snach powraca jeszcze
w lipowym śpiewie kołysania

(z tomu: *Nowe przekłady*)

GÓRY, GÓRY

a powiedzcież moje góry
w niebo uniesione
przystanęły jakieś cienie
tam po mojej stronie
Może niebo łaski pełne
co mi los przyniesie –
Jak osądzi moje życie
Sławę – może ktoś przyrzeknie
Po moim skonaniu
może ktoś podejmie wiersze
a powiedzcież moje góry
milczeniem przykryte
gorzko, gorzko – moje góry

(z tomu: *Nowe przekłady*)

Ralph Remstedt

WIERSZ Z PONIEDZIAŁKU –
GRUDNIOWEGO PRZEDPOŁUDNIA

W półśnie zwlekając się z pościeli
dzisiejszego ranka
z głębokim westchnieniem odrzucam od siebie ciepło
przemierzając w pośpiechu zimną łazienkę
myjąc niedokładnie zęby
przełykając śniadanie w mrocznej kuchni
a potem otulony płaszczem
wchodzę w zimną ulicę

święteczne wystawy
prowadzą mnie w świętą noc
wiem tylko tyle że kiedy jesteśmy razem spokój łąsi się
w blasku świec śpiewając słyszymy
jak wraca dzieciństwo pełne tajemnic – – –
natrętny pisk metra budzi mnie w tłumie
otwieram gazetę z nazwiskami zmarłych
nagi biust pazernie mruży oko
a obok wiele innych ciemnych zdarzeń
powłokę się do zimnego łóżka
by przywołać ciepło i trwać w marzeniach

– czy widzi pan tego starego mężczyznę
z potarganą brodą

jak wyrzał z rozpostartej gazety?
popatrz jak przeciąga się drżąc od nieustannej czkawki
i gazetę upycha pod płaszcz wystrzępiony
wodząc dookoła oczami nabiegłymi krwią
by zmierzyć raz jeszcze wszystkich których czas ponagła
a teraz, widzi pan, wyciąga butelkę z kieszeni
pustą
– jak gdyby
wypijając ostatni łyk
przysiada zapadając się w siebie
kładzie kapelusz
i nadzieję na jedną markę

czy widzi pan jak kurczy się w sobie
i niech pan odpowie czy jest on szczęśliwy?

Szczęście? – – –

APOKALIPSA

Tyłuż już zmarło – wielu żyje z raną
próbowałem dziś liczyć bez większego żalu
i przyznać muszę nie wiem co się stanie
kiedy jeziora pochłonie trucizna
i pomrą ludzie nad jego brzegami

no cóż – mówię sobie – to śmierć tylko
zwyczajna śmierć natury którą tak kochamy
i słyszę głos gniewny że winni są temu
szubrawcy żyjąc zdrowo karmiąc truciznami
ale pytać się będę czy umarli wiedzą
i godzili się na to by odejść w zaświaty – –

być może zwątpię – – –

wszak mogło być lepiej dla naszego świata
kiedy nas już nie będzie – bez ofiar i kata

RZECZY

w samochodzie – wgięcie
w sukience – dziura
w spodniach – dwa kanty
za paznokciami – sadza
w bucie – gwóźdź
w portfelu – pusto
w kredensie – jedno jajko
we włosach – łupież
w zębach – próchnica
w oku – źrenica
w głowie mózg

PRAGNIENIE

Moje pragnienie – wyjść poza siebie
wydać głos niestłumiony, wrzaskiem wychodzącym natrętnie

że kocham ją i je
jego ich
to i to

Moje pragnienie – aby wyznać to pełnym głosem
prowadząc lekkie pióro
by nie zatracić niczego
by wyznanie było pełne, jak miłość
jak życie
jak skrywana samotność

nie martwić się o ciało zachłanne
jeść jarmuż, słodkawe ziemniaki
spijać czerwone wino, zjadać pomarańcze
kawałek sera, do tego kawa, koniak, desery
długi papieros na koniec aby opierając plecy
prowadzić poobiednią rozmowę –
– z książką
mądrą i zrozumiałą w przeciwieństwie do świata
wejść w sen spokojny
obudzić się z nadzieją
że świat da się naprawić
a drewniana pałka
niechaj pozostanie ostrzeżeniem
mową, że dalej już nie prowadzi tędy droga
że krzywda wraca bumerangiem
niechaj zło osiadzie w jednym człowieku
niechaj moje dłonie zbudują szubienicę

na której zawisną ludzkie czyny
niechaj pamięć powtarza – zło musi szczeznąć
niechaj życie toczy się prostymi traktami

Josif Brodski

**PIĄTA ROCZNICA
(4 CZERWCA 1977 R.)
(fragment)**

Tam słyhać krzyki sowy i bażant coś jej prawi
Owacje powyciszać to wódz z sił znów opadnie
I jasna myśl, o rety, przeraża nim zawładnie.
A sztandar tam zdobiony, w objęciach sierp i młot
A w ścianę gwóźdź nie wbity i nie plewiony ogród.
I wulgarnie zwą tam ten wielki plan zakłuty.

Innych cech tam nie ma, zagadek i dziwności
Pejzaż wyblakły już i z innych nierówności
Ta w modzie kolor nijaki – kolor rzucanej kłody
Ja w kraju tym wzrastałem. Mówilem „zafajczymy”
artyście śpiewakowi. Znał moc więziennych krat
Przywykł do ołowianych niebios, ajwazowskiego burz.
Myślałem – umrzeć przyjdzie mi z tęsknoty i od lęku.
Jeśli cios nie z czyjejs ręki to na przyjaciół rękach.
Widać, żem źle obliczył. Jak kwadraturę koła.
Widać, żem źle obliczył, wszak jak w teatrze miejsca
ważniejsze od aktora. Przestrzeń mocniejsza od jeźdźca.
Nie sposób dojrzeć nic, prócz nóg szalonych koni.
A teraz mnie tam nie ma. Wpisano w rejestr zaginionych
dziwią się, może tylko przed wazą w Ermitażu
I brak ten większej dziury nie czyni w ich pejzażu
wszak głupstwo to, drobnostka a dziura niezbyt duża
zapchać ją mchem, zapomnieć a liszaj nią zawładnie
a zgodność tonów, czystość ich na pewno nie upadnie.

A teraz mnie tam nie ma. I dziwnie o tym myśleć
A byłoby wspaniale przedstawić im barana
i drzeć, nie drażnić schyłkiem swoich dni tyrana,
zrozumieć. No bo cóż! Wszystko ma swoje prawa
nie tkwiłem przy korycie, nie lgnęły usta do ikony
na jednym z mostów dojrzałem żelazną twarz Gorgony
w krajach tych ważną twarzą w ustawionych szykach
a teraz z nią się zderzam, z jej kształtem na pomnikach
boskich, choć nie stłumiłem, nie wyciszyłem własnym krzykiem,
nie skamieniałem. I słyszę Muzy w niepokoju tchnienia.
We wnętrzu to odczuwam jak Mojry nitkę rwę w pośpiechu
węglowy oddech, póki co, na wysokości cierpienia,
i język co bez kości, czasami głos usłużny
by błogosławić życiu, cyrylicy święty znak
A na to życie, żeby przyjmować je na wspak
w narzeczach. Przede mną przestrzeń niczym nie zmacona.
I brak w niej miejsca na kolumny, fontanny, piramidy
W niej sędzia nad wszystkimi, cierpiący ze wszystkimi.
Niech skrzypi moje pióro, mój pazur i mój kostur
I nie poganiaj wierszy, ugrzęzną na śmietniskach
czas nasz na kołach nie dopędzi, nas bosonogich.
Nic już nie powiem, gdzie moje kości złożą.
Niech skrzypi, skrzypi pióro i papier przetłumaczy.

Walery Krasnopolski

Wyspy Sołowieckie

(fragmenty)

SOŁOWIECKIE SCHRONIENIE

Zachód przedzierzga się w świtanie
dzień zapomina tu o śnie
księżyc w blednąym karawanie
po niebie gdzieś wysoko mknie.

Po Białym Morzu
białą nocą
na białym statku w białej mgle
ujrzałem jak powoli kroczą
z Kiterza toni słońca zagwie...

I Sołowieckie ukojenie
witało ciszą obumarłą
i ciche padłe tu westchnienie
na ziemię tę pamięci twardą.

DWIE DŻWINY

I nie przypadkiem obie
Dżwiny
jak dwie siostrzyce
w ruskiej ziemi,
wciąż płyną, ich święte urodziny
dalekich przodków
siłą zmienia...

Ordy toczyły się po Rusi,
kalecząc ziemię, imię niewiast...
i któż modlitwą tą przymusi, –
Boże na niebie, kraj mój zbaw!

I szli w północnej Dżwiny cienie
Słowianie po rosyjskiej ziemi
i prowadziło przodków tchnienie
Bałtyckiej Dżwiny pokuszenie.

KLASZTOR

W tym średniowiecznym uwięzieniu,
w złowieszczym skamieniałym śnie,
to tutaj trwały pokolenia
na ludzkim płaczu dnia –

Do świata wyciągnięta ręka,
ze ścian odpada lament głuchy
przez lata płynie udręka,
w pamięci biały szkielet skruchy –

Jakież ci jeszcze okrucieństwo
potrzebne staroruski kraju,
że cię dotknęło to szaleństwo
jak w pustych ramionach, w pustym raju

Czas rozrachunku nie nadchodzi
a płacić trzeba trzeba nam,
nikt krzywdy tej nie załagodzi
i każdy musi spłacić sam –

I ktoś zapyta:
w czym są winne
wyspy zbołałe matuszki Rasiji
kości zesłańców użyżnione,
aż serce pieje o beznadziei.

SOŁOWIECKA GOLGOTA

Jakżeś dotarła tu ciemna Golgoto
na sołowieckie bezdroża?
dzwony biblijne dzwonią tęsknotą
skowycze niewoli obroża –

bo kiedy człowiek traci ludzką godność,
wycisza swoje sumienie
porasta serca zielsko – podłość
rodzą się wtenczas kamienie –

Tak jak Chrystusa miłowanego
srebrniki rozpięły na krzyżu
boskiej wielkości, honoru swego
bacz by nikt nie podeptał –

Tak ciężko uczyć się życia od nowa
i kochać ludzi, człowiekiem być
wszak „Na początku było Słowo”
a słowo to brzmiało: żyć!

By nie deptała nas mądrość podstępna
by dzieci nam nie krzywdziła
i prawo człowiecze, prawda święta,
bez bólu łagrów prowadziła –

I na biblijnej Golgocie
na Wyspach Sołowieckich
blizna wciąż krwawi, krwawi,
krwią łagrów sowieckich –

SKRUCHA

Czemuż ja Panie Kain,
a nie Abel
czy krew niewinną da się zmyć –
przez wieki całe muszę iść
i plamę krwawą będę śnić –

Uderzam się w piersi
za tysiące zabitych bolszewików
niewiast
niewinnych dzieci
starców
za skrzepowane ciężarem niedoli sny –

Uderzam się w piersi,
choć syn ojcowych zbrodni nie dziedziczy
wszak wina sołowieckich łagrów
wciąż tkwi w odpryskach wieków
i wzywa cienie wojowników
by ludzką podłość
biurokratów
tchórzy
lizusów i oprawców,
by nie przekreślić dzieła ojców

Uderzam się w piersi,
wszak życie, które w nas się tli
w sercu gdzie ogień jeszcze nie zgasł
w świątyni przyszłość śni –
Wybacz nam Panie!

Dotykanie ziemi
(1997)

a światłość w ciemności świeci
i ciemność jej nie ogarnęła

Ewangelia według św. Jana, I, 5–6

*Mojej Siostrze Jadwidze Leończuk
– Służebnicy Jezusa w Eucharystii*

TRAKTAT O BIAŁEJ KARTCE PAPIERU

*Grześkowi Leończukowi
w jego młodości*

biała kartka zastygła w oczekiwaniu
na ciepło ręki

ale nie nadszedł jeszcze jej czas
kreśląc beznadzieją horyzonty zmatowiałe
dzień jak co dzień
przecierając okna
z zaćmą ustawionych pelargonii

i niebo jakby uchylone na moment
dotknęło ziemi

wiatr pocałował znienacka
i potoczyły się kolejne zdania
zawieszone na rogalu złocistym nocy
wypieczonych tęsknot
w rodzynekach gwiazd od wielkiego święta

i temat kuchenny wtoczył się bocznymi drzwiami
a szlaczek niebieskiego kubka
poprowadził z kuchni za okno
uczepił się gałęzi drzewa
wyfrunął latawcem

potem śmiech dzieci obudził się z drugiej strony
i życie znowu pobiegło na przelaj

biała kartka papieru
poczęła się zaczerniać sznurkami zdań
supelkami wspomnień
od których mdlały bezradne młodzieńcze wiersze
a wargi dopominały się pierwszych czułości

i ciepło rąk zwilgotniało bliskim
łez i potu wzruszeniem
od których okaleczone wiersze
traciły oddech

tak rozpoczyna się wiersz
otwarty na sens życia

choć drzwi skrzypią
a dom narysowany na białej kartce papieru
jak pierzenie się aniołków z dymem snującym się
po obrzeżach kartki
udaje normalność
obok buda psa i ścieżka prowadząca za horyzont kartki

ale tam już nie ma wieczności
zgasła na porysowanym stole

zmęczeniem zaszyła się w kąt

i biała kartka papieru
czeka na dopełnienie

kto odnajdzie ciepłą dłoń – – –
kto usłyszy jej szept – – –
kto przytuli jej rozmowę – – –

biała kartka nadziei módl się
za nami

STAROŚĆ

noce już łagodnie dotykają ziemi
w bólu rodzi się nadzieja
i jasności przyodziewek pokornieje

kość z kości
ból z bólu
biała kartka papieru
jakby się miała obudzić

szelestem rytm dotyka serca
i spływają pierwsze krople krwi

w aortach budzi się życie
jak w dawno zapomnianym laboratorium

oddech wypogadza się nad mizernym kwiatkiem
napotkany motyl unosi wzrok ku przestworzom
urojonych gwiazd
wszak dnieje
koguty nie pieją
uczepione sztachet oddalających się pejzaży
jakby to co martwe miało być żywe

jeszcze raz dotykam ziemi

bose stopy
chłód
i pragnienie ciepła
jasności
i kropli krwi zdziwionej
kiedy słońce przysiadło na parapecie
zamilkłe

* * *

jednym oddechem
objąć świat
aż do dnia kiedy dotyk
uleci z tęsknotą motyla

i światło betlejemskie
połączy
niebo z ziemią

* * *

dotknij moich słów

motyl próbuje oderwać się
od kokonu ziemi

* * *

ciepło wspomnień
i śmierć po drugiej stronie
rzeki

* * *

styczeń za styczniem
rok za rokiem
światła karnawału wyciszają ból
obudzonych nadzieją lasów
które zdejmowały bielmo z oczu
i sumieniu nakazywały ugiąć kolana

idą czasami we śnie
szukając powiek otwartych
aby skrzyżować pytania na horyzontach śmierci

budzą się i szukają cienia Polski
na frankach dotykanych świtem
choć
jeszcze pieśni
nie odtajały
jeszcze słowa
nie spróchniały
jeszcze Polska
nie zginęła

na obrzeżach sumienia
w białoczerwonej zorzy nieba

* * *

mówią że najtrudniej pozostawać w ostatnim zdaniu
przemierzać łąki dawno wykoszone i lasy
powalone przez burze
i być w słońcu depcząc naskórek ziemi

potem odchodzą inne zdania
wypełniają czas jak wata w oknach
kiedy zimno ściele się po jesieni wydziejonej
z liści i listów

w pośpiesznych telegramach coraz więcej wykrzykników
i znaków przystankowych
stop przedziela stop
jak bose lata stopy
a ja czytam – jak koniec to już koniec
i cisza telegrafów nie dotyka już łąk
oddalonych
ani lasów dopominających się łzy współczucia

to tylko wiersz szuka ujścia
aby dotknąć rany
nowego dnia

patrzę w okno
pęczniejące wschodem
jak w wiersz niedotknięty

* * *

drzwi
oczekują jak człowiek

i jak śpiew ptaków

powitania

* * *

księżyc utulony
niebem
usnął

* * *

mała gałązka
a dźwiga przestrzeń
wypełnioną śpiewem ptaków

* * *

cmentarze wygaszone
stare są i bezdomne

żywi omijają pękające nagrobki
podziwiają niekiedy kunszt muratorów
a symbole wykute w kamieniach
dotykają umarłej Atlantydy

a kiedy żywi opuszczają bramę cmentarza
dotykają własnej twarzy
odczuwając lęk
że zostawiona codzienność
nie wydobędzie ich oblicza
gotowego na przyjęcie innego życia

i wygaszają czym prędzej okna domów

czasami mała świeca
płomieniem otuli
choć na chwilę
świat cały

* * *

przykryto tęsknoty kwiatami
naręcza bólu w utuleniu świec
topniejących z żalu za własnym światłem
rozpływającym się w przestrzeni
ostatnim zawołaniem
za ptakami odlatującymi ku dyskretnym horyzontom
za którym cichnie żałosne nawoływanie dzikich gęsi
i płacz nagły odnajduje ciszę

a teraz znowu jesień

i trudno oderwać stopy od ziemi
i unieść się w wyiębioną przestrzeń
ponad dom
z ciepłych wspomnień utkać pled zatrzymanych w kwieciu
łąk i lasów czesanych wiatrem

i ból uciszany
rozpływa się pomiędzy grudkami ziemi wijąc swoje
gniazdka
w ziarenkach piachu
w wystygłych liniach papilarnych długiego życia

łasi się wiernością
przytuli ostatnie drgnienia nie dbając o knot gromnicy

– to przecież życie a nie śmierć –
odpowiada na pytania dawno postawione
na które nikt już nie oczekiwał odpowiedzi

biegną w podkasanych wiatrem sukienkach
ku granicom jeszcze niewidocznym
rozpuszczają warkocze
i słońce pieści grzebieniem wiatru młodość rozkiełznaną

mama przystanęła obok drogi i patrzy tak samo
jak przed czterdziestu laty
jakby szukała odpowiedzi
pewnie ją zna
wszak uśmiechem rozjaśniona jej twarz
a ja słyszę jej głos – odwagi-rozwagi – – –

i płomień pełza wśród kwiatów
zsypywane modlitwy dotykają ziemi rozkruszając każdą
grudkę
i z ziaren piasku dobywa się szczebiot życia układanego
w wieczny sen

* * *

otwierając oczy
kiedy dzień sposobi się do tego samego od tysiącleci
scenariusza
od kiedy ciemność została oddzielona od jasności
już przed oczami
tylko zachwyt i przerażenie

krew przepływa szukając ujścia
i bielmo snów rozplywa się w tęsknocie
za przyszłym
a nie dotkniętym

odwrócone lustro – – –
i znowu droga prowadzi na kolejne dni i noce
i zamiast gwiazd czuwać będą sny po tamtej stronie

znoszone ubrania utracą ciepło
a zagubione rękawiczki
przygarnie ktoś swoim ciepłem
jak stare fotografie
na których coraz więcej tła
nierozpoznanej
w sepii ukrytej tęsknoty

ale jeszcze w nas światło dnia
i światło nocy
tli się raz zapalone
i nie gaśnie
jak lampa dzieciństwa
grzejąca stygnące dłonie

zatapiam się w światło napelnione ufnością
że ktoś poda mi rękę
aby oderwać się miłością od ziemi
i pofrunąć ptasimi traktami w nieznane
nie tracąc nadziei
na powrót

UMARLI

wiedzą już wszystko
nie zaglądają w zapomniane kąty
wchodzą do domów – dotykają wystygłych klamek

nie przerywając ciszy zleżałej
gładzą ściany błogosławiąc życie
i tych którzy pozostali
w mrokiem dotkniętych wnętrzach
nie wyczyszczonych szkieł do lamp
sumienia oczekującego cudu rozbielenia

trzymają w rękach nieprzydatny przedmiot
pytają o kierunek
i wiatr zabłąkany
pomiędzy czasem zapomnianym
a czasem ślepnącym

i tak przekraczają niewidoczne granice
cienia i światła

czasami zadrży kwiat
dotknięty żywą dłonią martwych
wstawiony do wazonu na pocieszenie wzroku
blednącego

a kwiaty kwitną
promieniejąc
z dnia na dzień coraz żarliwszym ogniem
wskrzeszonych snów

młodości
o ciepłej skórze rozmów
dotkniętych nocą

nie zostawiają plam cienia
odzyskując dawno utracone słowa

pozostawione rękawiczki oczekują dłoni
a tamten list nie mający zakończenia
choć kartka pożółkła papieru
i wyblakł atrament
pozostaje w oczekiwaniu

i płoną świece jak na urodzinowym torcie
ale nikt nie gasi ich płomienia
tęsknotą
szeleszczącą zeschłe liście

* * *

jak ludzkie wędrowanie
jest na tej ziemi
i ból i radość

przez lata bezimienne
czułych dotknięć
i wspomnień płowiejących
każdego poranka

i słońce które wschodzi
i niknie w śnie
nieprześnionym

jest na tej ziemi
człowieczy los
i historia
każdą chwilą pisana



przewalają się nawałnice wierszy
po których zazielenić się winna trawa
i niebo dotknąć ziemi
na lepszy czas

a ty patrzysz
jak małeńki żuczek wędruje po skórze ziemi
nie pytając o czas i kierunkowskazy
rozpoławia horyzonty pomiędzy kamieniami
zapisane losem
w pochyleniu traw
i gdzieś jest dobro i zło
i wiersze których nikt nie podejmie

a wiersze jak oko Boga
nie pytają którędy i dokąd

mały poeto od wielkich wierszy
żuczku wędrujący ku kresom
z zapisanymi liniami życia
podzielonymi na wersy
ufności
zawsze zieleniejących wiosen
i dojrzewających jesieni

* * *

w twarzy
jest twoja stopa i dłoń
i pośpieszne uciekanie godzin
chwil zaplątanych w trzepocie serca
spóźnionej wiosny
niedojrzałej jesieni

jest tyle tkliwości
wydrwionej i pozostawionej na krańcach marzeń
zamienionej na łzę

i dotykane ziemi

najczulsze sny
nie zdmuchnięte wiatrem

FRAGMENT

– – – ożywają oczy – śledzą odmierzane krokami życie – dyktują rytm prowadząc w nierozpoznane. Oddalają pragnienia tęsknotą wędrowania. O wschodzie słońca pozwalają odpocząć.

Patrzę w stronę martwego źródła. Gwiazdy gdzieś upatrzone śpiewają. W milczeniu oczekuję wschodu. Oczy ślepnące – one również gdzieś wędrują. Nie mogę zrozumieć ich tęsknot. Zaciągnięte bielmem gnane są tęsknotą w głąb – przemierzając trzewia, jakby szukały zagubionej ły. Nasze drogi już się rozmiągają idziemy znowu razem choć rozdzieleni horyzontami.

– czymże więc pragnienie
o którym piszą poeci
dotykając białej kartki
poznania – – –
a usta jakby przeżuwały prawdę
zwierają się w zrozumieniu
i milczą

uszy napełnione wrzawą
szukają ciszy

dłonie dotykają swojej skóry jakby
szukając pokory

– czymże wędrowanie
ku jakim granicom
prowadzi utrudzone stopy
i zmęczone serce
dotykam drzewa
a cień jego każe mi wędrować

ku miejscom nierozpoznanym
i tak rodzi się misterium
wschodów i zachodów
narodzin i umierania

dotykam wiersza
ukrytego w bieli kartki

na pomazanie
na zatrzymanie

jawy i snów

* * *

rozbijam życie rozpogodzonym wierszem
obłokami zatrzymanymi wpół zdania
dziecięcych marzeń
aby dotknąć pierzastych wysokości

na cikliwym szkiełku snu
dojrzeć i zrozumieć

dwa punkty wyznaczone

a wiersz otulony mgłą
oczekuje świtu
o którym wiadomo tylko
że zaciera łzy

* * *

gdzieś się zapodziała
ze zwichrzoną czupryną
i błękitnymi oczami
młodość

i zmierzch nie gasi
obrazów przywołanych

u drzwi staje
anioł młodości

język nie wypowiada
mądrości
tylko milczy

i anioł milczy
siejąc zrozumienie

* * *

zapamiętałem dzieciństwo
z małym gwizdkiem

i otwarte niebo

i gwiazdy
z wigilijnego zmierzchania
owoce
dojrzewania

* * *

za oknem ta sama ulica
obok drzewa w drodze ku dorastaniu
skrzypiące drzwi prowadzą
w przestrzeń jeszcze nie wypełnioną

oto fotografia
w tle której próbuje odnaleźć
miejsce dla chłopca
który zdążył się postarzeć
odnajdując zeschłe strofy
zadziwień
pokrywane zwątpieniem

za zamkniętymi drzwiami
trwa rozmowa z własnym sercem
obudzonym przed laty

szukając krajobrazów wieczności
dotykam siebie
i w kamieniu pooranym
nad słuchuję tętna

i może usłyszę kiedyś

* * *

zaniemówić

– makiem ciszą dotkniętą

zrozumieć

– księgi niedoczytane

usłyszeć

– milczącą obręcz światła

powrócić

– w kołyskę dzieciństwa

i usnąć

– zaniemówić

zrozumieć

powrócić

* * *

oswajam rozpacz

dudnienie serca
czy echo – – –

stawiając kropkę
uczę się życia

i w pokorze
oczekuję świtania

* * *

czy po drugiej stronie
życia
dotyk skóry
powróci snu płamą

i obudzi płacz
w świtaniu
i bielmem zatarte okna

może wzrok
przywoła tęsknotę
i rozbiegną się drogi
i ślad zatarty
wiatr śpiewem osłoni

a życie toczy się
i horyzonty ustępliwe
przetaczają krew
i światło dotyka wzroku
jak w dzień zmartwychwstania

* * *

jeszcze w snach powracasz
mamo
utulasz kołyskę rozhuśtaną życiem
wiatry przeganiaasz za horyzont
i milcząc odchodzisz

płowieje twoje odchodzenie
mamo
w tiulach młodości
tulisz swój czas
dokończony
i nie ma w nim cienia mojej kołyski
ani górki za wsią
do turlania się w pierwszą lekcję
spadania

słońce jeszcze nie odeszło
i księżyc nie wzeszedł

i tylko luli mój maleńki
i tylko – luli mój – – –

* * *

nie dotykaj czasu minionego
nie budź snów
nie pytaj o jutro
– jabłoń już przekwitła
dojrzewają owoce

zaczekaj
aż zaproszą na wieczerzę

* * *

ucichną kiedyś gazety
głos spikera obwieści ciszę
nikt nie zapali lampy
by nie obudzić wiatru

i pępowiną w wody wieczności
ku zapomnianym lądom
o których już nie śnią dzieci

tak zostanie obwieszczony dzień
naszych narodzin

* * *

twarze wypełniające się życiem
poszukują drzew rozłożystych

i cienia

ożywają w nich bruzdy
napełnione milczeniem ciepła
i snem

* * *

a wody przetaczają swoje światło
coraz dalej i głębiej

* * *

wystarczy mały okruch
wiersz zaledwie
rzucony w przestrzeń jeszcze nie dotkniętą stopą
ani snem porysowanym niepewnością
ani łzą wyprzedzającą wzruszenie
i lęk
i ból

jakże więc rozdzielić to maleńkie światło
które wciąż tkwi
i kwili tęsknotą do młodości dawno zaprzędanej
rozmienianej nie na dotyk a na uderzenie
nie na muśnięcie wiatru warg
ale na głęboki jęk połączonego bólu

wystarczy mały okruch
po przebudzeniu przenieść na parapet
połączyć z bezdomnym a pełnym ufności gołębiem
wpisać w błękit rozkwitającego nieba
pogodzić się z datą
i własną niemocą

a wtedy każdy dzień daruje
a może przebaczy
czego nie możemy zapomnieć
czyli wybaczyć sobie

bo w słowie napotkanym
jak przypadkowy przechodzień który uśmiechnie się
życzliwie
jest mały okruch który zniewoli niejedną ciemność

a teraz kiedy stoję na progu życia
zamykając drzwi
krajobrazów roztrwonionych niepamięcią

niechaj darowana mi będzie
maleńka przestrzeń po kluczu
i drobina ukryta na piersi
niechaj się zespoli
jak w dzień poczęcia

wystarczy słowo
i lato
i życie
i przestrzeń uwolniona od klucza
pulsująca życiem jak co dzień

może moi synowie odnajdą maleńkie ziarenko
i wkładając do ziemi wierzyć będą
w owoc dobrego

spójrz
nawet ptak zatrzymany wzrokiem
przemierza przestrzeń pełen wolności i nadziei

* * *

Mamo – – –
Tatuśku – – –
nie mogę zdążyć
dotykam tylko cienia
śladów
„a ma się ku zachodowi”

i cisza zaciera drogę

a ja szukam kołyski lipowego snu
aby bez bólu wejść w sen
przywitania

Jan Leończuk, *Collected Poetry* [*Poezje zebrane*],
Volume I: 1970–1997, introduction by Jarosław Ławski,
elaboration of texts and editorial cooperation – Marek Olesiewicz,
scientific editing of volumes by Jarosław Ławski and Dariusz Kulesza,
Faculty of Philology, the University of Białystok,
Łukasz Górnicki's Library in Podlasie,
Białystok 2019

Summary

This publication presents the poetic works of Jan Leończuk (born in 1950), a poet, prose writer, translator, librarian, and regional studies scholar, collected in two volumes. Throughout his whole life, Jan Leończuk was connected with Podlasie, the North-Eastern, multicultural part of Poland, his native village of Łubniki, and the towns Zabłudów and Białystok.

The poet was born on June 24, 1950, in Łubniki near Białystok to Antoni and Józefa née Dakowicz. In 1970, he graduated from the Agricultural Technical School in Białystok, and then began studying at the Faculty of Humanities of the University of Warsaw's Branch in Białystok, with majors in Polish philology and history. In 1975, he received the diploma of graduation from the Faculty of Polish and Slavonic Philology of the University of Warsaw (UW).

From 1975, he worked as an academic teacher at the Institute of Polish Philology at the UW branch in Białystok, and after a two-year break, from 1985 at the Institute of History of this university, after which he was nominated the director of the Łukasz Górnicki's Provincial Public Library in Białystok (1998). He held this function until 2016.

He was the co-founder of the Kicki Poetry Salon, which operated in 1975–1976 at the University of Warsaw, and the Literary Group of the Polish Teachers' Union (ZNP) called "Bakalarz" (Bachelor) in Białystok (1975–1977). He debuted in 1970 with a poetic cycle published in "Radar".

He was the founder and the first president of the Society of Friends of the Zabłudów Land. Since 1991, he was the editor-in-chief of the local bi-monthly magazine *Z Zabłudowskiej Ziemi*, since 1994 he was connected with the maga-

zines *Gryfita*, *Magazyn Polski* (Grodno – Białystok) and the quarterly magazine *Rubieże* (Białystok). Between 1991 and 2000 he was a judge of Wiesław Kazanecki Literary Award of the Mayor of Białystok. Member of the Polish Writers' Union (Związek Literatów Polskich – ZLP) since 1989, in 1992–1995, vice-president of the Białystok branch of ZLP; in 1995–1999 – its president. Since 1990 he has collaborated with Radio Białystok, broadcasting weekly columns entitled *Z zapiśnika Jana Leończuka* [*From Jan Leończuk's Pocketbook*].

Two-time winner of the Wiesław Kazanecki Literary Award of the Mayor of Białystok (1990 and 1997) and the Award of the Mayor of Białystok in the field of creating and disseminating culture (1997). In 1979 and in 1987, he was honored with the Creative Award of the District Governor of Białystok. In 1979, he received the Award of the Provincial National Council, 1987 – Award of the Director of the Department of Culture and Art, 1993 – Diploma of the Minister of Culture and Art. In 1991, he was honored with Włodzimierz Pietrzak Literary Award. Winner of Franciszek Karpiński National Literary Award.

He published several volumes of poetry and 7 volumes of prose entitled *Zapiśnik* [*The Pocketbook*]. In his poetry, we find references to the traditions of such poets as Józef Czechowicz, Czesław Miłosz, Tadeusz Różewicz, Jarosław Iwaszkiewicz, and Edward Stachura. Leończuk's poetry combines the expressively sharply described existential experience of the subject (otherness, body, melancholy, catastrophe) with the cultural experience of the Latin-Byzantine borderland of Europe.

The volume was preceded by two introductions by professors from the University of Białystok: Jarosław Ławski and Dariusz Kulesza. The edition was prepared jointly by Łukasz Górnicki's Library in Podlasie and the Faculty of Philology of the University of Białystok.

Ян Леончук, “Избранные поэзии”,
Том I: 1970–1997, вступление Ярослав Лавский,
обработка текстов и редакционное сотрудничество Марек Олесевич,
научная редакция томов Ярослав Лавский, Дариуш Кулеша,
Филологический факультет Университета в Белостоке,
Библиотека “Кшенжница Подляска” им. Лукаша Гурницкого,
Белосток 2019

Аннотация

Данная публикация представляет собранное в двух томах поэтическое наследие Яна Леончука (1950 г. р.) – поэта, прозаика, переводчика, библиотекаря и ученого-регионалиста. Ян Леончук всю свою жизнь связан с Подляшьем, северо-восточной поликультурной Польшей, с родным посёлком Любники, городами Заблудов и Белосток.

Поэт родился 24 июня 1950 года в Любниках возле Белостока, сын Антония и Юзефы из семьи Дакович. В 1970 году закончил Сельскохозяйственный техникум в Белостоке, а после начал обучение на Гуманитарном факультете Филии Варшавского университета в Белостоке по направлению Польская филология и история. Диплом окончания обучения на Факультете Польской и славянской филологии Варшавского университета получил в 1975 году.

С 1975 года он преподавал в Институте Польской филологии Варшавского университета в Белостоке, а после двухлетнего перерыва, с 1985 года – в Институте Истории того же ВУЗа, после чего получил назначение на место директора Воеводской Публичной Библиотеки им. Лукаша Гурницкого в Белостоке (1998). Эту функцию он исполнял до 2016 года.

Сооснователь Кицкого поэтического салона, действующего в 1975–1976 годах при Варшавском университете, а также Литературной группы НСП «Бакалж» в Белостоке (1975–1977). Дебютировал он на страницах «Радара» циклом поэзий в 1970 году.

Был основателем и первым главой Общества Приятелей Заблудовской земли. С 1991 года – главный редактор регионального двухмесячника

«С Заблудовской земли», с 1994 года тесно сотрудничает с журналами «Грыфит», «Магазын Польски» (Гродно – Белосток) и ежеквартальником «Рубежи» (Белосток). В 1991–2000 годах – член Капитула Литературной премии Президента города Белосток им. Веслава Казанецкого. Член Союза польских писателей с 1989 года, в 1992–1995 годах — заместитель главы белостоцкого отделения Союза писателей, в 1995–1999 – глава того же объединения. С 1990 года сотрудничает с Радио «Белосток», выпуская на антенне еженедельные фельетоны под названием «Из блокнота Яна Леончука».

Двукратных лауреат Литературной Премии президента Города Белосток им. Веслава Казанецкого (1990 и 1997 года) и Премии Президента города Белосток за поддержку и распространение культуры (1997). В 1979 и 1987 годах награжденный Творческой премией Воеводы Белостоцкого. В 1979 года – Воеводской премией Национального совета, в 1987 году – премией Директора Факультета Культуры и искусств, в 1993 году – Дипломом Министра культуры и искусств. В 1991 году награждён Литературной премией им. Влодзимежа Пьетшака. Лауреат Общепольской литературной премии им. Франчишека Карпинского.

Издal больше десяти томов поэзии и VII томов прозы под названием «Блокнот». В его поэзии заметно обращение к традициям таких поэтов, как Юзеф Чехович, Чеслав Милош, Тадеуш Ружевиц, Ярослав Ивашкевич, Эдвард Стахура. Поэзия Леончука объединяет остроэкспрессивные зарисовки экзистенциальных переживаний лирического «я» (телесность, чуждость, меланхолия, катастрофа) с культурным опытом латинско-византийского пограничья Европы.

Том содержит два вступления авторства профессоров Университета в Белостоке – Ярослава Лавского и Дариуша Кулеша. Редакция подготовлена общими усилиями Библиотеки «Кшенжница Подляска» им. Лукаша Гурницкого и Филологического факультета Университета в Белостоке.

Ян Леончук, «Вибрані поезії»,
Том I: 1970–1997, вступ Ярослав Лавський,
обробка текстів і редакційна співпраця: Марек Олесевич,
наукова редакція томів Ярослав Лавський, Даріуш Кулеша,
Філологічний факультет Університету в Білостоці,
Бібліотека «Кшёнжніца Подляска» ім. Лукаша Гурницького,
Білосток 2019

Анотація

Ця публікація є зібранням у двох томах поетичної спадщини Яна Леончука (1950 р. н.) – поета, прозаїка, перекладача, бібліотекаря та вченого-регіоналіста. Ян Леончук все своє життя пов'язаний з Підляшшям, північно-східною полікультурною Польщею, з рідним селищем Любники, містами Заблудів і Білосток.

Поет народився 24 червня 1950 року в Любниках біля Білостока, син Антонія і Юзефи з родини Даковіч. У 1970 році закінчив сільськогосподарський технікум в Білостоці, а пізніше почав навчання на Гуманітарному факультеті філії Варшавського університету в Білостоці за напрямком Польська філологія та історія. Диплом закінчення навчання на Факультеті Польської і слов'янської філології Варшавського університету отримав у 1975 році.

З 1975 року він викладав в Інституті Польської філології Варшавського університету в Білостоці, а після дворічної перерви, з 1985 року – в Інституті Історії того ж ВНЗ, після чого отримав призначення на місце директора Воеводської Публічної Бібліотеки ім. Лукаша Гурницького в Білостоці (1998). Цю функцію він виконував до 2016 року.

Співзасновник Кіцького поетичного салону, чинного в 1975–1976 роках при Варшавському університеті, а також Літературної групи НСП «Бакалаж» в Білостоці (1975–1977). Дебютував він на сторінках «Радар» циклом поезій в 1970 році.

Був засновником і першим головою Товариства Приятелів Заблудовської землі. З 1991 року – головний редактор регіонального двомісячника «З

Заблудовський землі», з 1994 року тісно співпрацює з журналами «Грифита», «Магазин Польські» (Гродно – Білосток) і щоквартальником «Рубежі» (Білосток). У 1991–2000 роках – член Капітула Літературної премії Президента міста Білосток ім. Веслава Казанецького. Член Спілки польських письменників з 1989 року, в 1992–1995 роках – заступник голови білостоцького відділення Спілки письменників, в 1995–1999 – голова того ж об'єднання. З 1990 року співпрацює з Радіо «Білосток», випускаючи на антені щотижневі фейлетони під назвою «З блокнота Яна Леончука».

Дворазовий лауреат Літературної Премії президента Міста Білосток ім. Веслава Казанецького (1990 і 1997 роки) та Премії Президента міста Білосток за підтримку й поширення культури (1997). У 1979 і 1987 роках був нагороджений Творчої премією Воеводи Білостоцького. У 1979 року – Воеводській премією Національної ради, в 1987 році – премією Директора Факультету Культури і мистецтв, в 1993 році – Дипломом Міністра культури і мистецтв. У 1991 році нагороджений Літературної премією ім. Влодзімежа Пьетшака. Лауреат загальнопольської літературної премії ім. Францішека Карпінського.

Він видав більше десяти томів поезії і VII томів прози під назвою «Блокнот». У його поезії помітне звернення до традицій таких поетів, як Юзеф Чехович, Чеслав Мілош, Тадеуш Ружевіч, Ярослав Івашкевич, Едвард Стахура. Поезія Леончука об'єднує гостроекспресивні замальовки екзистенціальних переживань ліричного «я» (тілесність, чужість, меланхолія, катастрофа) з культурним досвідом латинсько-візантійського прикордоння Європи.

Том містить два вступи авторства професорів Університету в Білостоці – Ярослава Лавського та Даріуша Кулеші. Редакція підготовлена спільними зусиллями Бібліотеки «Кшьонжніца Подляска» ім. Лукаша Гурницького та Філологічного факультету Університету в Білостоці.

Alfabetyczny spis utworów

- Afryka 460
Aneks 178
Antosiowi Rogowskiemu z Narwi 151
Antoś 195
Antyfona Ulicy 231
Apokalipsa 474
Ballada 230
Cmentarze 399
Cud 200
Czas usycha w tętnicach 42
Czas za czasem 212
Czerwiec 184
Do Joli Ługowskiej z wierszem drugim 146
Dom 191
Dwie Dżwiny 481
Dziupla 190
Elegia białostocka 463
Elżbiecie Drożdżewicz bez dedykacji 148
Epilog 262
Epitafium 263
Feretron pod wezwaniem matki i ojca 46
Fragment 508
Góry, góry 471
Grażynie Szymkiewicz-Olszewskiej z wierszem na dobranoc 149
Imieniny 218
Jemiola 185
Klasztor 482
Kolęda I 87
Kolęda II 88
Koniec 43
List do Ojca 451
Litania 101
Ludzie tak mówili 215
Madonna 103
Madonno mojej Ojczyzny 345
Małe miasteczko 203
Miasto 220
Milczenie 49
Misterium 52, 85, 208
Moja mama 409
Na początku było tylko słowo 461
Napis 192
Narodziny wiersza 217
Nie ma różnicy 449
Nie znam swych myśli 54
Niedługo świt 53, 90
Niedokończone podróże 186
Niepokój 76
Noc 144
Obrazek I 431
Obrazek II 432
Oczekiwanie 196
Odwiedziny 199
Ojciec 210
Pada deszcz 224
Piąta rocznica (4 czerwca 1977 r.) (fragment) 478
Pierwsza łąka 211
Pieśni poetów (elegie poetów) 453
Piosenka 104
Początek i koniec odpustu 183
Poeta 202
Porozmawiaj ze mną, mamó 470
Portret 83
Poza Ikarowym lotem 44

Pożegnanie Ojca w małym miasteczku wieczorem	102	Z wierszem do Janka J.	342
Pragnienie	476	Za groblą	187
Przebacz im Panie	343	Za siódmą górą	206
Przepowiednia	464	Zapis I	349
Reportaż o Beacie K.	198	Zapis II	350
Rzeczy	475	Zapis III	351
Sen odarty	254	Zapis IV	352
Sierpień	205	Zapis V	353
Skrucha	484	Zapis VI	354
Sny	466	Zapis VII	355
Sobota I	209	Zapis VIII	356
Sobota II	221	Zapis IX	357
Sokratowi Janowiczowi	150	Zapis X	358
Sołowiecka Golgota	483	Zapis XI	359
Sołowieckie schronienie	480	Zapis XII	360
Spotkanie liryczne	216	Zapis XIII	362
Starość	489	Zapis XIV	364
Suplika	201	Zapis XV	365
Syn	193	Zapis XVI	366
Sztambuch	213	Zapis XVII	367
Święta noc (fragmenty)	468	Zapis XVIII	368
Świt	467	Zapis XIX	370
Tam	197	Zapis XX	371
Teresie Cwalinie noc w wiersz wtłoczoną 147		Zapis XXI	372
Traktat o białej kartce papieru	487	Zapis XXII	380
Tym, którzy umarli nocą z 4 na 5 marca 1977 roku	140	Zima	225
Uciecha	74	Zmiany	450
Ucieczka	51, 219	Znieruchomienie	189
Umarli	503	Życiorys	406
W domu	207	I (noc latem przygnieciona)	154
W Łubnikach	204	I (za krtanią śpiewu drzewa płaczą)	308
W wiersz	181	II (moją chatę wojna rozstrzelała)	309
Wieczór I	222	II (w łazience sucha noc)	155
Wieczór II	223	III (krew brzoza śpiewa jednym tchem)	310
Wielki Post	188	III (miewam sny pokaleczone niepokojem)	156
Wiersz z poniedziałku – grudniowego przedpołudnia	472	IV (ciemny wiatr w słowa zakolała)	311
Wyspy Sołowieckie (fragmenty)	480	IV (cisza kapie z kranu słowami)	157
Z jasełek	335	V (kiedy śniesz)	158
Z listu	182	V (sen krwawi przypomnieniem krwawi)	312
Z listu opóźnionego	214	VI (Boża ewangelia z morałem a przed tym)	159
Z pamiętnika	194	VI (dym wiary – jutro klakiera – wewnątrz krew się burzy –)	313

VII (w starych albumach żyją jeszcze święci)	314
VII (zakręty słów z bagażem zadyszanych zdań)	160
VIII (za lasem już drzewa wybiegają kłusem)	315
VIII (żałnik)	161
IX (a kiedy ciemność zaskoczyła w drodze)	316
IX (tylko dom utknął w pamiętaniu)	386
X (nasze treblinka przyjaciół)	163
X (zawołaj ciemnym wierszem)	317
XI (biletem za 50 groszy do nieba)	164
XI (śpiew wspomnień wśród bieli)	318
XII (poplamione niebo)	319
XIII (imię w ciemności gwiazdka z serca)	320
XIV (księżyc trupio się zaśmiał)	321
XV (czerwonym snem zakwitły śniegi)	322
XVI (obudzono miasto tej nocy)	323
XVII (więzienia mego makatki)	324
XVIII (pulsuje niepokój)	325
XIX (zachodzące słońeczko)	326
XX (ciemnością – słyszysz – głosy powalone)	327
XXI (raz jeden jeszcze słowa pozawracać)	328
XXII (pękają lustra)	329
XXIII (zapisz – nad ranem kiedy sen Judasza)	330
XXIV (kiedy powrócę w czarną ziemię)	331
1. (gdę wypowiem spęczniałą krtani)	274
1 (konie rozbiegły się po starych pergaminach)	167
2. (pieśniom wyrwano tętnice)	275
2 (powtarzałeś)	169
3 (boję się mlaskających samców w rozpędzonych autach)	170
3. (pieśń zbłądzona w zdziwieniu przystaje)	275
4. (do cholery z muzyką)	276
4 (złotowłosy mój śnie)	173
5 (wiatr za oknem kręcił karnawałem)	175
5. (ściana siania się pijanym stropem)	276
6 (odpłynęły rzeki i pogasły lata)	176

6. (zapisałem datę splamionej sukmany)	277
7. (tyleż już lat – – –)	278
8. (tyle snów potłuczonych nad ranem)	278
9. (nie ma krwi nie ma królestwa)	279
10. (spojrzał władca zd-radziecki)	280
11. (idą ziemią przegraną)	281
12. (czy to sen w banalnym kazaniu)	282
13. (polowanie na smutne oczy)	283
14. (fotografie spalono)	283
15. (pod ośleplonymi oknami)	284
16. (tą drogą idą pielgrzymi by dotknąć czarnego)	285
17. (śmiech dam „z towarzystwa”)	286
18. (o Madonno o ciemnej twarzy)	286
19. (czerw dotyka skrwawionej skóry)	287
20. (Ojczyzna – deptana podkutym butem mojego brata)	287
21. (polej stole biesiadny)	288
22. (w widzie białej mej pani)	289
23. (kiedy płaczę nad sobą)	289
24. (panny w dłoni klaskają)	289
25. (szukam Pana i Cienia)	290
26. (tyle snów podeptanych)	290
27. (czemu milczysz mój bracie)	291
28. (wiatr na polach)	291
29. (posnęły panny nabożnie)	292
30. (a kiedy dokonano mordu)	292
31. (ruszyłem za głosem matki)	293
32. (jeszcze grają upadłe rymy)	293
33. (trąbiły archanioły czarnych)	294
34. (na skrzywionym horyzoncie)	294
35. (o Madonno ze sznycami na twarzy)	294
36. (Ojczyzna moja Ojczyzna)	295
37. (pochylone w nas domy)	295
38. (na górze róże na dole aniołki)	296
39. (w sztambuchu: a nas sen zmorzył dziki a wokoło pierniki)	296
40. (Ojczyzna moja)	297
41. (napisałem trącąc serca lukrowane)	297
42. (schnie lebioda wierszy)	297
43. (mole wiersze sztambuchowe płoszą)	298
44. (fotelowe czasy hotelową pianą)	298

45. (a śpiew rwał klusem polem kwiaty
mdlały) 299
46. (szukając języka wyłamano zęby) 300
47. (nazwisko) 300
48. (otworzył władca psiarnię) 301
49. (czemuż wiersze uległy) 301
50. (lalki ucichły) 302
51. (wypchany ptak miał żywe oczy) 302
52. (gazetowe chmury rehoty biesiadne)
302
53. (zbyt wiele bólu – las się zapadł) 303
- *** ...i stały tu rzędem furmanki 389
- *** ...śnieg opuści dach 385
- *** „Ja tylko szukam, Ojczy...” 410
- *** a do Damaszkru kręta droga 97
- *** a kiedy ciemność zaskoczyła w drodze
112
- *** a kiedy dokonano mordy 396
- *** a może Panie jedno słowo 109
- *** a wody przetaczają swoje światło 521
- *** anioły o ciężkich brzuchach 339
- *** błędząc w przeleknionej nocy 117
- *** Boże wielikij 134
- *** Brat w srebrze dobrego czasu 459
- *** chciałbym przyjąć miłość darowaną 444
- *** Chrystus przystanął 110
- *** ciepło wspomnień 492
- *** cmentarze wygaszone 498
- *** córeczko moja 438
- *** czas w tobie przeciąga się przykryty
błękitem 455
- *** czy po drugiej stronie 516
- *** dopaliła się głowa słońca 47
- *** dotknij moich słów 491
- *** drzwi jak z alfabetu śmierci 412
- *** drzwi oczekują jak człowiek 495
- *** gdy płoną nasze głowy Panie 108
- *** gdy wrzód narodu pęka 96
- *** Gdzie zagubiono rzeczy po wielkich
ludziach 465
- *** gdzieś się zapodziała 511
- *** historia wytaczająca się na ulice 413
- *** i ja idę krok po kroku 78
- *** I płoną wieże 392
- *** i szły samotne Marie 98
- *** i wszystko zaraz się uładza 105
- *** im bliżej dna 436
- *** jak ludzkie wędrowanie 505
- *** jednym oddechem 433, 490
- *** jeszcze jeden płacz nie zastygł 138
- *** jeszcze kłamiesz mój mały 143
- *** jeszcze w snach powracasz 517
- *** każdy dzień 437
- *** keli mój płacze 66
- *** kiedy gasną lampy 405
- *** kiedy odcięto pepowinę 425
- *** księżyc utulony 496
- *** lecą ptaki bielmem strąconym 93
- *** listem niosę nad błękitem 67
- *** maleńkie ziarenko gorzycy 388
- *** mała gałązka 497
- *** Mamo – – – 524
- *** matka w ziemię wrasta 71
- *** Miasto – litanie domów 391
- *** miedze żałobne 72
- *** moja ikono z poł sytego chleba 439
- *** moje krajobrazy do nieba uniesione
417
- *** mówią że najtrudniej pozostawać
w ostatnim zdaniu 494
- *** mówię do ciebie blizno 141
- *** najpierw strach zduszony nocą 139
- *** Nawet „białostockie praczki”... 395
- *** nie dotykaj czasu minionego 518
- *** nie przywoływałem słów ale przyszły
441
- *** nie uciekaj 434
- *** nie wiem czy patrzysz w ziemię 337
- *** nitką nerwu 457
- *** noc kocem reumatycznym 127
- *** nocą przyjdzie 458
- *** nocą wstrząśnięty dreszczu raną 125
- *** Od strony nieba miasto 401
- *** odchodząc zostawiasz czas 106, 390
- *** odlatywałem w ciemnych rymach 423
- *** odrzucając szczebiotliwe tło makatek
420
- *** Ogrody, o których napisano tak wiele
393
- *** oj dożali dożali 133

- *** Okna ślepy z dnia na dzień, gasła w nich nadzieja 383
- *** opuścił stare przytulisko 456
- *** oswajam rozpacz 515
- *** otwierając oczy 501
- *** Parkowe kobierce 394
- *** pieje we mnie kur tęsknoty 60
- *** płacz palce rozmienia 86
- *** przekłuty dzień 100
- *** przewalają się nawałnice wierszy 506
- *** przez płuca wolność 91
- *** przykryto tęsknoty kwiatami 499
- *** Rozbielone zimowym odkryciem 384
- *** rozpisuję życie rozpogodzonym wierszem 510
- *** samotne noce czarnych ortalionów 61
- *** sowi wór niebem pędzi 62
- *** spłonęło niebo żar w pościeli 336
- *** styczeń za styczniem 493
- *** szelest snu robaków 124
- *** szlachetny kamień 424
- *** szumi noc 95
- *** ślady na ziemi popękały 99
- *** śniegiem budzą się drzewa 145
- *** święty z Asyżu 368
- *** tak blisko 426
- *** tak szybko bledną zdania 422
- *** tną się drogi 80
- *** to tylko życie 429
- *** tu porodzi jabłoń jak matka nasza 55
- *** twarze wypełniające się życiem 520
- *** tylko dom utknął 386
- *** uciły wiersze jak bandaże 334
- *** ucihną kiedyś gazety 519
- *** uciekają drogi 428
- *** ugiąłem kolana 435
- *** Uwaga, uwaga 116
- *** w kolebce mroczno 65
- *** w księżym ogrodzie 48
- *** W nocnym pejzażu 387
- *** w twarzy 507
- *** w wystyglých bramach czekałeś na miłość 177
- *** w ziemię twarzą zanurzoną 70
- *** wielkiego miasta słów zapadłych 142
- *** wiersz opadł i nastała pierwsza cisza 92
- *** wiersze spękane wiatr w komorze 340
- *** wrastasz nocą pod powieką 68
- *** Wróć Panie do mnie w kalekim wierszu 111
- *** wszystko się zamknęło 416
- *** wśród słów 94
- *** wystarczy mały okruc 522
- *** z łupieżem czasu 129
- *** Z wiejskim zawstydeniem 382
- *** za oknem ta sama ulica 513
- *** za pagórkim 78
- *** za pagórkim/ na rozdrożu 50
- *** zaniemówić 514
- *** zapamiętałem dzieciństwo 512
- *** zbladła sztandarów wierna chusta 341
- *** została jak w wierszu nadętym 419
- *** zostawiłeś nas Panie 430

Madonna mojej Ojczyzny

Madonna Piętych Sklepi
Madonna rozdygotana
z kolejkami nóg ukłamy
z jej zapisami

Stois z jaskiniem świcie
wpięte tuż wieszanie
podaje ci się cięba
i to ma krawiec

Madonna Łany Gurygry
Madonna gniębiona
zangkon wstępo chienne
wron Ojczyzny Gurygry

Madonna Marygry Unierici
nad miasto, jaskiniem
chicko wstępo z głębi
modlitwy jaskiniem

Madonna Cocienymy faret
Madonna nienawie
miniarz siętko z wieszaniem
wpięwane zapisany

Madonna Marygry Pimici
Madonna wstępo wstępo
stwierca krawiec nienawie
nad nami jaskiniem

Poprawski pocięto Madonno
pocięto pocięto jaskiniem
nie pocięto pocięto z krawiec
pocięto cięba pocięto wstępo

Madonna Długich Kolejek
Madonna cięba wstępo
krawiec pocięto krawiec
nie pocięto wstępo wstępo

Madonna mojej Ojczyzny
Madonna mojego nienawie
cięba pocięto wstępo
i krawiec pocięto

Madonna Kłette Madonno
Pocięto o cięba krawiec
cięba pocięto nienawie
od wstępo krawiec

Madonna cięba Madonno
Madonna pocięto wstępo
cięba pocięto pocięto
pocięto pocięto wstępo

Madonna mojej Ojczyzny
Madonna mojego nienawie
cięba pocięto wstępo
i krawiec pocięto

1950 r.

Stamant

Indeks nazwisk

A

Abel – 111, 244, 308, 313, 484
Agata, św. – 185
Al-Dżanabi Hatif – 337, 449-454
Aleksander Macedoński – 465
Andreew Georgi – 35
Artymowicz Nadzieja – 455-459
Augustyn, św. – 410

B

Balcer Adam – 16
Bałus Wojciech – 29
Batura Juliusz – 35
Beckett Samuel – 162, 386
Brodski Josif – 478-479
Brzozowski Jacek – 29, 30
Budziński Józef Zenon – 6, 9

C

Chojnowski Zbigniew – 4
Chopin Fryderyk – 323
Chudzik Sławomir – 35
Cwalina Teresa – 147
Cyncynnat Lucjusz Kwinkcjusz – 15
Czechowicz Józef – 8, 19, 22, 29, 31, 526, 528, 530
Czykwin Jan – 36, 463-465

D

Dakowicz Przemysław – 31
Dawidowicz Grażyna – 6
Dawidowicz Ireneusz – 6
Dąbrowski Wiesław – 26
Drożdżewicz Elżbieta – 148
Dziadek Adam – 13

Dzielska Maria – 27

E

Evdokimov Paul – 27

F

Feliksiak Elżbieta – 7, 19
Franciszek z Asyżu, św. – 368, 397
Frankiewicz Małgorzata – 28
Frymus-Dąbrowska Ewa – 4

G

Gadek Jolanta – 6, 9
Gauguin Paul – 406
Geniusz Jerzy – 460-462
Gicgier Tadeusz – 34
Gleń Adrian – 13
Gloger Zygmunt – 31
Głowiński Michał – 29
Goethe Johann Wolfgang – 376
Gombrowicz Witold – 28
Grabowska Jolanta – 142
Grochowski Grzegorz – 29
Grzelak Agnieszka – 30
Gutauskas Leonardas – 17

H

Herbert Zbigniew – 8, 31
Hernas Czesław – 13
Horodeński Bogusław Maria – 404
Herod – 194, 282, 335

I

Ikar – 363
Iwaszkiewicz Jarosław – 8, 22, 25, 28, 31

J

Jan, św. – 235
Janicka Anna – 6
Janicki Wiesław – 14
Janiuk Jan Z. – 108, 114
Janowicz Sokrat – 14, 35, 58, 150, 156, 166,
466-467
Jerzy, św. – 43, 59
Jezus Chrystus – 24, 29, 49, 60, 76-77, 87-88,
110, 122, 148, 178, 236, 287, 310, 483,
486
Judas – 48, 110, 148, 236, 330, 461

K

Kain – 244, 256, 484
Karczeńska Anna – 31
Karpiejko Beata – 198
Kazanecki Wiesław – 7, 14
Kluczeńska Janina – 60
Kluz Halina – 80
Kolumb Krzysztof – 465
Kopacki Andrzej – 20
Kopernik Mikołaj – 465
Kossak Joanna – 24
Kozłowska-Świątkowska Elżbieta – 35
Krasnopolski Walery – 480-484
Kraszewski Józef Ignacy – 31
Krukowska Halina – 24
Kühl Olaf – 28
Kulesza Dariusz – 3, 6, 9
Kunicki Waldemar – 70
Kurkiewicz Marek – 30

L

Lechoń Jan – 19
Lechowski Andrzej – 35, 381
Lengiewicz Jerzy – 14
Lennon John – 177
Leończuk Antoni – 12
Leończuk Barbara – 8, 228
Leończuk Grzegorz – 487
Leończuk Jadwiga – 486
Leończuk Józefa z domu Dakowicz – 12, 15,
83, 409, 525, 527, 529
Liduchowska Alina – 27
Ligeza Wojciech – 4

Ł

Ławski Jarosław – 2-4, 6, 9, 11, 12, 26, 30, 31
Łukasiewicz Małgorzata – 28

M

Magdalena, św. – 64, 132, 236
Makhlouf Szarbel, właśc. Jusuf Antun Ma-
chluf – 24
Maksimowicz Bogusława – 306
Maria, Matka Boska – 200, 225, 230, 231-234,
245, 267, 286, 289, 294, 335, 345-346,
376-377, 439-440
Marion – 261
Maroszek Józef – 14
Miałkowski Waldemar – 166, 180
Michał Anioł Buonarroti – 465
Mickiewicz Adam – 328
Milczewski-Bruno Ryszard – 12, 22
Miłosz Czesław – 8, 22
Minko Zbigniew – 166
Mojżesz – 365

N

Naumiuk Włodzimierz – 24
Newton Izaak – 465
Nike – 277
Nikifor (właśc. Epifaniusz Drowniak) – 20
Noworolska Barbara – 13
Nowotniak Justyna – 11

O

Olesiewicz Marek – 3, 4, 6, 8, 13, 17
Orzechowicz Pola – 34
Ostasz Gustaw – 19

P

Pacewicz Olga – 17
Palicyn Antonina – 354
Paweł, św. – 97, 108-112, 148, 308, 380
Pezowicze, rod – 156
Piechowska Barbara – 34
Pietrzak Włodzimierz – 526, 528, 530
Pietrzuk Władysław – 35
Piotr, św. – 60, 215, 271, 328
Piwowarski Krystian – 65
Platon – 21

Plutowicz Jerzy – 22
Poniatowski Józef – 360
Popiełuszko Jerzy – 14, 396
Proniewska Ewa – 159
Przychodniak Zbigniew – 30
Pseudo-Dionizy Areopagita – 27
Purta Dionizy – 25, 30-32

R

Ratoń Kazimierz – 22
Redliński Edward – 14
Rejtan Tadeusz – 277
Remstedt Ralph – 472-477
Rilke Reiner Maria – 11
Ritz German – 20, 28
Rogowski Antoni – 151
Różewicz Tadeusz – 8, 13, 31, 526, 528, 530
Rusek Iwona E. – 31

S

Salome – 194, 249-250, 312, 321, 342
Sandel Ernie – 83, 163
Savonarola Giralamo – 465
Sawicki Piotr – 35, 381
Serczyk Władysław – 35, 381
Shakespeare William – 171, 465
Siedlecki Michał – 15
Siemaszko Piotr – 30
Sienkiewicz Jan – 17
Sikora Jerzy – 20
Sitarska Anna – 13
Skrzypczyk Mirosław – 29
Słowacki Juliusz – 29, 30
Smaszcz Waldemar – 334
Sołowiej Dominik – 31
Srokowski Stanisław – 17
Stachura Edward – 8, 12, 22, 31
Stanisz Marek – 29
Stec Wiesław – 13
Stępień Tomasz – 27

Strynkowska Anna – 34
Suchowolec Stanisław – 14
Sybilla – 276
Szachowicz Michał – 468-469
Szaciłło Jan – 35
Szczesiul Ewa – 25
Szturc Włodzimierz – 24
Szwed Wiktor – 470- 471
Szymkiewicz-Olszewska Grażyna – 149

Ś

Śliwowski Mariusz – 6, 9, 35

T

Tadus Bogdan – 98
Taranienko Janusz – 16
Trzy Marie – 94, 96, 98, 122, 240, 285, 317,
357
Tuwim Julian – 22

W

Weil Simone – 27-29
Wernyhora – 234
Wirpsza Witold – 377
Worowska Anna – 6, 8, 15, 24-26, 34
Wróbel Wiesław – 14
Wyszyńska Mareta – 74

Y

Yoko Ono – 177

Z

Zabielski Łukasz – 6, 12

Ż

Żak Renata – 145
Żeszko Anna – 438
Żeszko Maria – 438



Spis treści

Od Redakcji	7
Jarosław Ławski, <i>Jan Leończuk – nowoczesny poeta Wschodu</i>	11
Zasady wydania	33
Jan Leończuk. Nota biograficzna	37
DEBIUT POETYCKI: „KONTRASTY” (1970)	41
Czas usycha w tętnicach	42
Koniec	43
Poza Ikarowym lotem	44
RACHUNEK (1973)	45
Feretron pod wezwaniem matki i ojca	46
* * * dopaliła się głowa słońca	47
* * * w księżym ogrodzie	48
Milczenie	49
* * * za pagórkiem	50
Ucieczka	51
Misterium	52
Niedługo świt	53
Nie znam swych myśli	54
* * * tu porodzi jabłoń jak matka nasza	55
ŻALNIK (1979)	57
Gorzkie żale	59
* * * pieje we mnie kur tęsknoty	60
* * * samotne noce czarnych ortalionów	61
* * * sowi wór niebem pędzi	62
* * * w kolebce mroczno	65
* * * keli mój płacze	66
* * * listem niosę nad błękitem	67
* * * wrastasz nocą pod powieką	68

*** w ziemię twarzą zanurzoną	70
*** matka w ziemię wrasta	71
*** miedze żałobne	72
Świętowanie	73
Uciecha	74
Niepokój	76
*** i ja idę krok po kroku	77
*** tną się drogi	80
*** za pagórkiem na rozdrożu	82
Portret	83
Misterium	85
*** płacz palce rozmienia	86
Kolęda I	87
Kolęda II	88
Niedługo świt	89
Niedługo świt	90
*** przez płuca wolność	91
*** wiersz opadł i nastała pierwsza cisza	92
*** lecą ptaki bielmem strąconym	93
*** wśród słów	94
*** szumi noc	95
*** gdy wrzód narodu pęka	96
*** a do Damaszku kręta droga	97
*** i szły samotne Marie	98
*** ślady na ziemi popękały	99
*** przekłuty dzień	100
Litania	101
Pożegnanie Ojca w małym miasteczku wieczorem	102
Madonna	103
Piosenka	104
*** i wszystko zaraz się uładza	105
*** odchodząc zostawiasz czas	106
W DRODZE DO DAMASZKU (1980)	107
*** gdy płoną nasze głowy Panie	108
*** a może Panie jedno słowo	109

*** Chrystus przystanął	110
*** Wróc Panie do mnie w kalekim wierszu	111
*** a kiedy ciemność zaskoczyła w drodze	112
DUSZNA NOC (1981)	113
Duszna noc	115
*** „Uwaga, uwaga...”	116
*** błędząc w przełkniętej nocy... ..	117
*** szelest snu... ..	124
*** nocą wstrząśnięty... ..	125
*** noc kocem reumatycznym... ..	127
*** z łupieżem czasu... ..	129
*** oj dożali dożali... ..	133
*** Boże wielikij... ..	134
Listownik	137
*** jeszcze jeden płacz nie zastygł... ..	138
*** najpierw strach... ..	139
Tym, którzy umarli nocą z 4 na 5 marca 1977 roku	140
*** mówię do ciebie blizno... ..	141
*** wielkiego miasta słów... ..	142
*** jeszcze kłamiesz mój mały... ..	143
Noc	144
*** śniegiem budzą się drzewa... ..	145
Do Joli Ługowskiej z wierszem drugim	146
Teresie Cwalinie noc w wiersz wtłoczoną	147
Elżbiecie Drożdżewicz bez dedykacji	148
Grażynie Szymkiewicz-Olszewskiej z wierszem na dobranoc	149
Sokratowi Janowiczowi	150
Antosiewi Rogowskiemu z Narwi	151
Sen	153
I (noc latem przygnieciona)	154
II (w łazience sucha noc)	155
III (miewam sny pokaleczone niepokojem)	156
IV (cisza kapie z kranu słowami)	157
V (kiedy śniesz)	158
VI (Boża ewangelia z morałem a przed tym)	159

VII (zakręty słów z bagażem zadyszanych zdań)	160
VIII (żałnik)	161
IX (tylko dom utknął w pamiętaniu)	162
X (nasze treblinka przyjaćół)	163
XI (biletem za 50 groszy do nieba)	164
BIAŁA SUKIENKA (1986)	165
1. (konie rozbiegły się po starych pergaminach)	167
2. (powtarzałeś)	169
3. (boję się mlaskających samców w rozpędzonych autach)	170
4. (złotowłosy mój śnie)	171
5. (wiatr za oknem kręcił karnawałem)	175
6. (odpłynęły rzeki i pogasły lata)	176
* * * w wystyglých bramach czekałeś na miłość	177
Aneks	178
ZA HORYZONTEM (1986)	179
W wiersz	181
Z listu	182
Początek i koniec odpustu	183
Czerwiec	184
Jemioła	185
Niedokończone podróże	186
Za groblą	187
Wielki Post	188
Znieruchomienie	189
Dziupla	190
Dom	191
Napis	192
Syn	193
Z pamiętnika	194
Antoś	195
Oczekiwanie	196
Tam	197
Reportaż o Beacie K.	198
Odwiedziny	199

Cud	200
Suplika	201
Poeta	202
Małe miasteczko	203
W Łubnikach	204
Sierpień	205
Za siódmą górą	206
W domu	207
Misterium	208
Sobota I	209
Ojciec	210
Pierwsza łąka	211
Czas za czasem	212
Sztambuch	213
Z listu opóźnionego	214
Ludzie tak mówili	215
Spotkanie liryczne	216
Narodziny wiersza	217
Imieniny	218
Ucieczka	219
Miasto	220
Sobota II	221
Wieczór I	222
Wieczór II	223
Pada deszcz	224
Zima	225
ŻERTWA (1987)	227
Żertwa	229
Ballada	230
Antyfony Ulicy	231
Sen odarty	253
Sen odarty	254
Epilog	262
Epitafium	263

PIEŚNI Z KARNAWAŁU (1991)	273
1. (gdym wypowiem spęczniałą krtań)	274
2. (pieśniom wyrwano tętnice)	275
3. (pieśń zbłądzona w zdziwieniu przystaje)	275
4. (do cholery z muzyką)	276
5. (ściana słania się pijanym stropem)	277
6. (zapisałem datę splamionej sukmany)	277
7. (tyleż już lat – – –)	278
8. (tyle snów potłuczonych nad ranem)	278
9. (nie ma krwi nie ma królestwa)	279
10. (spojrzał władca zd-radziecki)	280
11. (idą ziemią przegraną)	281
12. (czy to sen w banalnym kazaniu)	282
13. (polowanie na smutne oczy)	283
14. (fotografie spalono)	283
15. (pod oślepyłymi oknami)	284
16. (tą drogą idą pielgrzymi by dotknąć czarnego)	285
17. (śmiech dam „z towarzystwa”)	286
18. (o Madonno o ciemnej twarzy)	286
19. (czerw dotyka skrwawionej skóry)	287
20. (Ojczyzno – deptana podkutym butem mojego brata)	287
21. (polej stole biesiadny)	288
22. (w widzie białej mej pani)	289
23. (kiedy płaczę nad sobą)	289
24. (panny w dłonie klaskają)	289
25. (szukam Pana i Cienia)	290
26. (tyle snów podeptanych)	290
27. (czemu milczysz mój bracie)	291
28. (wiatr na polach)	291
29. (posnęły panny nabożnie)	292
30. (a kiedy dokonano mordu)	292
31. (ruszyłem za głosem matki)	293
32. (jeszcze grają upadłe rymy)	293
33. (trąbiły archanioły czarnych)	294
34. (na skrzywionym horyzoncie)	294
35. (o Madonno ze sznytami na twarzy)	294

36. (Ojczyzna moja Ojczyzna)	295
37. (pochylone w nas domy)	295
38. (na górze róże na dole aniołki)	296
39. (w sztambuchu: a nas sen zmorzył dziki a wokoło pierniki)	296
40. (Ojczyzna moja – – –)	297
41. (napisałem trącając serca lukrowane)	297
42. (schnie lebioda wierszy)	297
43. (mole wiersze sztambuchowe płoszą)	298
44. (fotelowe czasy hotelową pianą)	298
45. (a śpiew rwał kłusem polem kwiaty mdlały)	299
46. (szukając języka wyłamano zęby)	300
47. (nazwisko)	300
48. (otworzył władca psiarnię)	301
49. (czemuż wiersze uległy)	301
50. (lalki ucichły)	302
51. (wypchany ptak miał żywe oczy)	302
52. (gazetowe chmury rechoty biesiadne)	302
53. (zbyt wiele bólu – las się zapadł)	303
ZAWOŁAJ RAZ JESZCZE CIEMNYM WIERSZEM (1991)	305
PIEŚNI I DNI. Część pierwsza (wiersze z lat 1975–1980)	307
I (za krtanią śpiewu drzewa płaczą)	308
II (moją chatę wojna rozstrzelała)	309
III (krew brzoza śpiewa jednym tchem)	310
IV (ciemny wiatr w słowa zakładał)	311
V (sen krwawi przypomnieniem krwawi)	312
VI (dym wiary – jutro klakiera – wewnątrz krew się burzy –)	313
VII (w starych albumach żyją jeszcze święci)	314
VIII (za lasem już drzewa wybiegają kłusem)	315
IX (a kiedy ciemność zaskoczyła w drodze)	316
X (zawołaj ciemnym wierszem)	317
XI (śpiew wspomnień wśród bieli)	318
XII (poplamione niebo)	319
XIII (imię w ciemności gwiazdką z serca)	320
XIV (księżyc trupio się zaśmiał)	321
XV (czerwonym snem zakwitły śniegi)	322

XVI (obudzono miasto tej nocy)	323
XVII (więzienia mego makatki)	324
XVIII (pulsuje niepokój)	325
XIX (zachodźże słońeczko)	326
XX (ciemnością – słyszysz – głosy powalone)	327
XXI (raz jeden jeszcze słowa pozawracać)	328
XXII (pękają lustra)	329
XXIII (zapisz – nad ranem kiedy sen Judasza)	330
XXIV (kiedy powrócę w czarną ziemię)	331
PIEŚNI I DNI. Część druga (wiersze z 1981)	333
* * * ucichły wiersze jak bandaże	334
Z jasełek	335
* * * spłonęło niebo żar w pościeli	336
* * * nie wiem czy patrzysz w ziemię	337
* * * anioły o ciężkich brzuchach	339
* * * wiersze spękane wiatr w komorze	340
* * * zbladła sztandarów wierna chusta	341
Z wierszem do Janka J.	342
Przebacz im Panie	343
Madonno mojej Ojczyzny	345
ZAPISANE. WIERSZY Z LAT 1981–85 (1991)	347
Zapis I	349
Zapis II	350
Zapis III	351
Zapis IV	352
Zapis V	353
Zapis VI	354
Zapis VII	355
Zapis VIII	356
Zapis IX	357
Zapis X	358
Zapis XI	359
Zapis XII	360
Zapis XIII	362
Zapis XIV	364

Zapis XV	365
Zapis XVI	366
Zapis XVII	367
Zapis XVIII	368
Zapis XIX	370
Zapis XX	371
Zapis XXI	372
Zapis XXII	380

BIAŁYSTOK W FOTOGRAFII PIOTRA SAWICKIEGO (1995) 381

* * * Z wiejskim zawstyżeniem	382
* * * Okna ślepy z dnia na dzień, gasła w nich nadzieja	383
* * * Rozdzielone zimowym odkryciem	384
* * * ...śnieg opuści dach	385
* * * tylko dom utknął	386
* * * W nocnym pejzażu	387
* * * maleńkie ziarenko goryczy	388
* * * ...i stały tu rzędem furmanki.	389
* * * odchodząc	390
* * * Miasto – litania domów	391
* * * I płoną wieże	392
* * * Ogrody, o których napisano tak wiele.	393
* * * Parkowe kobierce	394
* * * Nawet „białostockie praczki”	395
* * * a kiedy dokonano mordu	396
* * * święty z Asyżu	397
Cmentarze	398
* * * Od strony nieba miasto	399

W DRODZE DO DOMU (1996) 403

* * * kiedy gasną lampy	405
Życiorys	406
Moja mama	407
* * * Ja tylko szukam, Ojczy... ..	410
* * * drzwi jak z alfabetu śmierci	411
* * * historia wytaczająca się na ulice	413

*** wszystko się zamknęło	416
*** moje krajobrazy do nieba uniesione	417
*** została jak w wierszu nadętym	419
*** odrzucając szczebiotliwe tło makatek	420
*** tak szybko błędną zdania	422
*** odlatywałem w ciemnych rymach	423
*** szlachetny kamień	424
*** kiedy odcięto pępownię	425
*** tak blisko	426
*** uciekają drogi	428
*** to tylko życie	429
*** zostawiłeś nas Panie.....	430
Obrazek I	431
Obrazek II	432
*** jednym oddechem	433
*** nie uciekaj	434
*** ugiąłem kolana	435
*** im bliżej dna	436
*** każdy dzień	437
*** córeczko moja	438
*** moja ikono z pół sytego chleba	439
*** nie przywoływałem słów ale przyszły	441
*** chciałbym przyjąć miłość darowaną	444
WIERSE WYBRANE (1996)	445
Z tłumaczeń (1979–1996)	447
<i>Z arabskiego</i>	
Hatif al-Dżanabi	
Nie ma różnicy	449
Zmiany	450
List do Ojca	451
Pieśni poetów (elegie poetów)	453
<i>Z białoruskiego</i>	
Nadzieja Artymowicz	
*** czas w tobie przeciąga się przykryty błękitem	455

*** opuścił stare przytulisko	456
*** nitką nerwu	457
*** nocą przyjdzie	458
*** Brat w srebrze dobrego czasu	459
Jerzy Geniusz	
Afryka	460
Na początku było tylko słowo	461
Jan Czykwin	
Elegia białostocka	463
Przepowiednia	464
*** Gdzie zagubiono rzeczy po wielkich ludziach	465
Sokrat Janowicz	
Sny	466
Świt	467
Michał Szachowicz	
Święta noc (fragmenty)	468
Wiktor Szwed	
Porozmawiaj ze mną, mamó	470
Góry, góry	471
Z niemieckiego	
Ralph Remstedt	
Wiersz z poniedziałku – grudniowego przedpołudnia	472
Apokalipsa	474
Rzeczy	475
Pragnienie	476
Z rosyjskiego	
Josif Brodski	
Piąta rocznica (4 czerwca 1977 r.) (fragment)	478
Walery Krasnopolski	
Wyspy Sołowieckie (fragmenty)	480
Sołowieckie schronienie	480
Dwie Dźwiny	481
Klasztor	482

Sołowiecka Golgota	483
Skrucha	484
DOTYKANIE ZIEMI (1997)	485
Traktat o białej kartce papieru	487
Starość	489
* * * jednym oddechem	490
* * * dotknij moich słów	491
* * * ciepło wspomnień	492
* * * styczeń za styczniem	493
* * * mówią że najtrudniej pozostawać w ostatnim zdaniu	494
* * * drzwi	495
* * * księżyc utulony	496
* * * mała gałązka	497
* * * cmentarze wygaszone	498
* * * przykryto tęsknoty kwiatami	499
* * * otwierając oczy	501
Umarli	503
* * * jak ludzkie wędrowanie	505
* * * przewalają się nawałnice wierszy	506
* * * w twarzy	507
Fragment	508
* * * rozpisuję życie rozpogodzonym wierszem	510
* * * gdzieś się zapodziała	511
* * * zapamiętałem dzieciństwo	512
* * * za oknem ta sama ulica	513
* * * zaniemówić	514
* * * oswajam rozpacz	515
* * * czy po drugiej stronie	516
* * * jeszcze w snach powracasz	517
* * * nie dotykaj czasu minionego	518
* * * ucichną kiedyś gazety	519
* * * twarze wypełniające się życiem	520
* * * a wody przetaczają swoje światło	521
* * * wystarczy mały okruc	522
* * * Mamo	524

Summary	525
Аннотация	527
Анотация	529
Alfabetyczny spis utworów	532
Indeks nazwisk	537